

MELANIE RAWN

WYPRAWA

MELANERAWN

WYPRAWA

Przekład Maciej Antosiewicz

&

AMBER

Część druga
968-969

Drabiny

1

Z pieca w Kuźni Caitiri bije żar czerwony, A w mroczną pustkę iskier wzlatają miliony, I oto gwiazd miliony na niebie już płoną W ową noc tak czarną, w ową noc szaloną.

Ciesz się Siralla, a jej śmiech perlisty Pozamieniał w diamenty krwawozłote iskry, Jeszcze ogniem parzą, choć jak lód już białe Pośród nocy czarnej, nocy rozszalałej. Lirance szepcze w ciemnościach, z wiatrem jej oddechu Diamentowe iskry szybują daleko, Wiatr gorący wzywa, by zmagął się z chłodem Owej nocy czarnej, nocy skutej lodem.

Delilah ściga iskry spojrzeniem płomiennym I prowadzi je w tańcu przez pustkę i ciemność Ponad morzem, nad wzgórzem, nad leśną polaną -Przez całą noc czarną, noc nieokiełznaną.

Velenna pośród mroków w pieśń układa słowa.

Aby iskier ognistych lotem pokierować,

I oto roztańczone na niebie już płoną

W ową noc tak czarną, w ową noc szaloną.

Sarra nuciała tę starą balladę głośno, ponieważ w pobliżu nie było nikogo, nikt więc nie mógł skrzywić się boleśnie. Nie umiała śpiewać, ale noc wydawała się stworzona do pieśni;

gwiazdy lśniły niemal w zasięgu ręki, aż chciało się ich dotknąć, pozrywać z nieboskłonu i rozrzucić dookoła niczym krople rosy. Wyglądało na to, że ktoś hojną ręką cisnął już przynajmniej milion owych światełek, a może nawet więcej, na ciemny przestwór morza. Sarra, oparta o rzeźbioną ramę okienną w Roseguardzie, czuła, że tej nocy mogłaby dosięgnąć ich wszystkich.

Znajdowała się w Pokoju na Słówko - ten przywilej mieszkańcy Sheve cenili sobie bardzo wysoko. Każdego tygodnia Pani Agatine spędzała tu wiele godzin.

Ktokolwiek chciał z nią rozmawiać, przybywał tu jednym z sześciu wejść, niewidocznych ani z samej wieży, ani spoza niej. Sam na sam ze swoją Panią, w całkowitym odosobnieniu, mógł mówić na zupełnie dowolny temat przez dowolnie długi czas. Skargi, projekty, kłopoty osobiste, kwestie publiczne -a także soczyste plotki -wPokoju na Słówko można było usłyszeć wszystko. I nic nie wychodziło stąd na zewnątrz bez specjalnego zezwolenia na piśmie.

Do tej pory Sarra odwiedziła to miejsce tylko raz. Wkrótce po ukończeniu osiemnastu lat przyszła tutaj, a mieszkańcy Roseguardu składali jej życzenia. Ale kiedyś ten pokój będzie należał do niej. Agatine, ostatnia z rodu Sleginów, poprosiła Radę o pozwolenie uczynienia Sarry swoją spadkobierczynią. Czyniąc to, oczekiwała zarazem w skrytości na moment, gdy nazwisko „Liwellan" zostanie zastąpione przez „Ambrai" -oraz na wszystko, co się z tym wiązało, bo skoro Glenin nazywała się teraz Feiran, to Sarra stała się Pierwszą Córką Ambrai. A zjednoczenie Ambraishiru i Sheve zapewni obronę ukochanej ziemi Agatine.

Choć Sarra zgadzała się na to, upierała się jednocześnie, by Roseguard, Sleginhold i inne posiadłości rodowe przypadły czterem synom Agatine. Nie było żadnego powodu pozbawiać ich rodzinnych domów tylko dlatego, że mieli nieszczęście urodzić się mężczyznami. Agatine i Orlin ostrzegała ją przed zwracaniem się z tym do Rady w najbliższym czasie. Przeniesienie rządów nad całym shirem z jednego rodu na drugi nie miało miejsca od co najmniej dziesięciu pokoleń, a przeniesienie prawa własności tak rozległych dóbr na mężczyzn wywołałoby skandal w całym Lenfell.

Ta perspektywa nie martwiła Sarry w najmniejszym stopniu. Było to jej pierwsze posunięcie jako liczącego się uczest

nika gry, w której jak dotąd zwyciężała Anniyas, i to niemal bez wysiłku. Sarra zamierzała wstrząsnąć Lenfell jeszcze kilka razy na drodze do ostatecznego zwycięstwa.

Mimo to wstrzyma się z przekazaniem Ridonowi, Elo-mowi, Maugirowi i Jeymiemu posiadłości rodowych Sleginów. Stanie potulnie przed Radą i okaże im wdzięczność za wyświadczoną łaskę - choćby żołądek wywracał się jej na drugą stronę.

Oczywiście Urząd Cenzusu wszczął skrupulatne poszukiwania żeńskich przedstawicieli rodu Sleginów. Lecz Agatine była jedynym dzieckiem w bardzo długiej linii jedynych dzieci - zadziwiające, że sama miała ich aż czworo - i urzędnicy dotarli jedynie do bardzo odległej kuzynki z rodu Alvassy. A ponieważ ta bezdzienna dama obchodziła właśnie dziewięćdziesiąte czwarte urodziny, zdecydowano, że Sarra może zostać spadkobierczynią.

Są bardzo hojni, pomyślała Sarra cierpko. Tak jakby Agatine - lub jakakolwiek kobieta - musiała błagać o prawo dysponowania swoją własnością! Irytacja szybko ustąpiła miejsca podnieceniu i zadowoleniu. Oto bowiem Sara miała pretekst, by pojechać na dwór Ryka. Nareszcie.

Podniecenie bezlitośnie stłumił lęk. Między osiemnastym a dwudziestym drugim rokiem życia nauczyła się dyscypliny -ale nie czarów. Korzystanie ze zdolności magicznych było niepotrzebne i niebezpieczne. Pogodzenie się z tym stanowiło dla niej najważniejszą i najtrudniejszą zarazem lekcję dyscypliny.

Odwróciła się, gdyż za jej plecami otwarto drzwi. Przywitała uśmiechem przybranych rodziców.

- Wcale nie miałam zamiaru wymknąć się wcześniej! Po prostu z tych okien najlepiej widać Ziębę.

Agatine i Orlin podeszli i wraz z nią podziwiali konstelację, zawieszoną nisko nad horyzontem. Gwiazdzisty symbol świętej Rilli Przewodniczki - dwa potężne skrzydła, migoczący ogon i zadarty dziób - szybował na wschód po zimowym niebie.

- Modlę się, by czuwała nad tobą i przywiodła cię bezpiecznie do domu - szepnęła Agatine. Sarra klasnęła w dłonie.

- Nic mi się nie stanie. Dopóki Telomir Renne nie każe defilować przede mną wszystkim kandydatom na mężów z całej Ryki!
- Telo pragnie, abyś była szczęśliwa. Tak jak my - odparła Agatine.
- Dorównujesz przebiegłością mojemu bratu - rzekł Or-lin, a jego szeroką piersią wstrząsnął zduszony chichot. - Poza tym nie urodził się jeszcze mężczyzna godny ciebie.

Sarra roześmiała się głośno.

- Wychowałeś mnie - powinieneś tak myśleć!
- Telo ma dobre chęci - powiedziała Agatine. - A „defilada” będzie pożyteczną rozrywką.

Na chwilę zapadła cisza. Potem Orlin odezwał się z uśmiechem:

- Czy wciąż chcesz mieć dla siebie wszystkie gwiazdy? W końcu Aggie zadowolili się tylko jedną.
- Zarozumialec - oświadczyła Agatine, chichocząc.

Święta, której imię nosiła Sarra, zamieniła gwiazdy w diamenty, jak wynikało ze słów pieśni. Nie zostawiła dla siebie nawet jednej. Lecz Sarra to robi, jeśli tylko zdoła znaleźć kogoś takiego jak Orlin. Uprzejmy, silny, mądry, pomyślała; uważa Agatine za środek wszechświata... i nie ma w jego ciele nawet jednej skazy. A kogo ja spotykam? Cymbałów, jak Dalion Witte, lekkomyślnych indywidualistów, jak Taig Ostin, i jeszcze tego oszusta minstrela Rosvenira. A teraz Telomir każe mi oglądać wszystkich lalusiów na dworze Ryka. Kiedy już dawno zdecydowałam, że nikogo nie poślubię!

W dodatku nie mam na to czasu.

- Pamiętaj, nie daj się wciągnąć w żadną bijatykę - ostrzegła niespodziewanie Agatine.
- Nie będę miała okazji - westchnęła Sarra. - Od walki są inni. Ja mam tylko mówić. Co, trzeba przyznać, uwielbiała. Zaczęła swoją karierę na tym polu od narad z zarządcami Sleginów, potem uczestniczyła w konferencjach z przedstawicielami Rady, a tego lata przemawiała do grupy członków Rady, wśród których znalazł się też Garon Anniyas. Nie czuła się bardzo pewnie, rozprawiając z mężem siostry o niebezpieczeństwach płynących z ograniczenia wolności handlu (była to cienko zawołowana

aluzja do ciasnych ograniczeń, nałożonych na Magicznych). Lecz przedstawiona argumentacja dała jej prawo wystąpić przed dworem Ryka. Sarra oczekiwała, że tym razem wysłucha jej Pierwsza w Radzie we własnej osobie.

Agatine chwyciła ją za rękę i przyciągnęła do siebie.

- Masz szczery i przekonujący głos. Orlin i ja nauczyliśmy cię dobierać stów, ale prawda w nich zawarta jest twoją prawdą. Nie narażaj się, jeśli dojdzie do walki.

Obiecuj mi, że będziesz słuchać Tela.

- Znam swoje zadanie. Uspokojona Agatine dodała:

- Bądź szczególnie ostrożna w drodze powrotnej. To najważniejsza część twojej misji.

- Odnajdę go... jeżeli jeszcze żyje. - Wątpliwość zabrzmiała w jej głosie. - Od wielu lat nikt o nim nie słyszał.

- Och, na pewno żyje - mruknął Orlin. - I będzie pod ręką, dopóki jest potrzebny.

- Dopóki Caillet go potrzebuje - sprostowała Sarra. Ona jeszcze nic nie wie, prawda? Agatine potrząsnęła głową.

- Wolę nie myśleć, jaki przeżyje wstrząs, kiedy pozna prawdę, Sarro. Mam nadzieję, że będziesz wtedy przy niej.

- Będę, albo Gorynel Desse gorzko tego pożałuje. - Rozpromieniła się nagle. - Już nie mogę się doczekać sprowadzenia Caillet do domu. Kiedy Strażnicy Magii dotrą bezpiecznie do zakłetej ziemi Sleginów, zyska wielu nauczycieli - a Sprzy-sięzenie wreszcie będzie miało kwaterę główną.

Orlin zmarszczył brwi.

- Proste jak spacer po dziedzińcu Roseguardu. - Jego głos zazgrzytał niby ostrze piły.

Niezawodny jak zawsze instynkt pozwolił jej odgadnąć myśli Orlina.

- Nie martw się. Oni wyjechali do Dindenshiru. - Oni: jej ojciec i starsza siostra.

Rozległo się dyskretne kaszlnięcie i wszyscy odwrócili się od okna.

- Za pozwoleniem, Pani Agatine, Panie Orlinie. Już czas.

Sarra otworzyła szeroko oczy, kiedy zza gobelinu wynurzył się młody mężczyzna - do Pokoju na Słówko prowadziło jeszcze jedno wejście, o którym nie miała pojęcia.

- Już? Sądziłam...

- To jest Valirion Maurgen - przedstawiła młodzieńca Agatine. - On i jego wspólnik będą ci towarzyszyć, Sarro.

- Ale myślałam, że wyjadę dopiero jutro rano! Maurgen wzruszył ramionami.

- Plany mają to do siebie, że się zmieniają, *domna*. Przyjrzała mu się uważnie. Był średniego wzrostu - choć

w porównaniu z Orlinem wszyscy mężczyźni wydawali się niscy - umięśniony, o śniadej cerze, miał postawę zapaśnika i zwalistą sylwetkę. Jego ciemne oczy iskrzyły się zdecydowaniem, groźny podbródek wysuwał zawadiacko do przodu. Jak nakazywała skromność, przywdział nakrycie głowy i surdut, w lewym uchu nosił ciężki srebrny kolczyk, a u lewego biodra ciężkie srebrne ostrze.

- Ja, na przykład, cieszę się z tego - dodał Valirion Maurgen. - Powinienem już wrócić na Wielkie Pustkowie. Wśród tych wszystkich drzew czuję się nieswojo. Sarra pospiesznie szukała w pamięci. Maurgen: rodzina Trzeciego Stanu, dzięki małżeństwu powiązana z Ostinami -co zresztą dotyczyło niemal wszystkich, w tym również rodu Ambrai. Tak więc ona i Valirion byli zapewne kuzynami, chociaż nosząc nazwisko Liwellan nie powinna przyznawać się do pokrewieństwa.

- Ale... moje rzeczy, ubrania...

- Mój wspólnik ma dla ciebie płaszcz. Musi ci to wystarczyć. Pożegnaj się, *domna*. Do przystani daleka droga.

I wszystko stało się bardzo szybko: uściskała Agatine i Orlina, gobelin znów zasłonił przejście, drzwi zamknęły się za nimi.

- Wybacz mi niestosowne zachowanie - powiedział Valirion Maurgen przykładając zapalną do knota świecy, aby oświetlić im drogę w dół krętych żelaznych schodów.

- Jesteś Pierwszą Córką Liwellan i powinienem zwracać się do ciebie „Pani”. Bardzo mi przykro, jeżeli cię obraziłem. Ale tam, dokąd się udajemy, lepiej nie mieć zbyt wielu związków Krwi.

- To bez znaczenia - odparła, chwytając go mocno za ramię. Stopnie były gładkie i groziły upadkiem. - Nazywaj mnie Sarrą, jeśli chcesz. Czy jeszcze daleko?

Chciałabym włożyć płaszcz, chłodno mi.

- Mam nadzieję, że mój współnik nie owinął twoim płaszczem jakichś bezdomnych kociąt. - Parsknął. - Oczy jak sope lodu, a serce jak rozgotowana owsianka, to cały mój Alin-O.

Nie wydawało się to możliwe, ale musiała spytać; ta wersja imienia Alilen nie występowała tak znowu często.

- Alin Ostin?

- Nikt inny, i całe szczęście, że nie ma więcej nikogo takiego jak on! Znasz go? Bawiła się z nim w Ostinholdzie, gdy miała pięć lat, ale przecież nie mogła się do tego przyznać.

- Ze słyszenia- Będzie zdruzgotany. - Valirion uśmiechnął się do niej przez ramię. - Mój sprytny kuzynek uważa, że jest najbardziej przebiegłą, tajemniczą, nieznaną, anonimową, niewidzialną i jaką tam jeszcze chcesz postacią w całym Sprzysiężeniu. Ale ty jesteś przybraną córką Agatine, więc wiesz dużo rzeczy. To może trochę ukoić jego ból.

- Kilka lat temu spotkałam Taiga Ostina. - Sarra nie powiedziała mu, że właściwie nie zna nikogo ważnego w Sprzysiężeniu. A Sprzysiężenie jest chyba głównie przedsięwzięciem Ostinów, pomyślała z uśmiechem. Lilen, Taig, a teraz Alin i jego kuzyn Maurgen. I ja. Nareszcie!

Dotarli do żelaznej kraty. Po drugiej stronie ciągnęła się tonąca w ciemnościach aleja. Drobny, błydy i bardzo czymś zaniepokojony młodzieniec przykrywał właśnie swoje bujne jasne włosy czarną czapką. Gdy pojawili się Valirion i Sarra, podniósł wzrok.

- Najwyższy czas - mruknął.

- Uprzejmy jak zawsze - odrzekł Valirion.

- Nie wygłupiaj się, Val. O mało nie zamarzłem. - Okrył ramiona Sarry granatowym płaszczem. Odwdzięczyła się, pomagając mu ukryć niesforne kosmyki włosów prawie tak samo złotych jak jej własne. Tak, to bez wątpienia był Alin: jedyne spośród dzieci Lilen Ostin podobne do swego ojca -Tivy Senisona. Jego ciemnowłose, smagłe rodzeństwo dokuczało mu w Ostinholdzie, nazywając odmieńcem właśnie z powodu błękitnych oczu i jasnej, piegowatej cery. Lecz również jako jedyny z nich wszystkich Alin odziedziczył po matce prosty nos o szlachetnym rysunku (nosy pozostałych były

zakrzywione lub zadarte) i szerokie dumne brwi. Sarra opamiętała się na tyle, by nie snuć tych wspomnień głośno. Alin powinien sądzić, że spotykają się po raz pierwszy w życiu. A jednak...

- Nie jesteś bardzo podobny do swego brata, Taiga - powiedziała.

- Od dawna nikt go nie widział, więc trudno to stwierdzić - odparł Alin. - Uznajmy, że zostaliśmy sobie przedstawieni. - Nie uklonił się, wykonał w tył zwrot i ruszył przed siebie aleją.

- Nie jest nadzwyczaj rozmowny - wyjaśnił Valirion, rozkładając ręce.

- Onieśmiela mnie elokwencja Vala - odciął się Alin.

- Ani uprzejmy - dodał Valirion i mrugnął do niej. - Piękne dziewczęta też go onieśmielają. - Ujął Sarrę pod ramię i wyprowadził na ulicę, zupełnie jakby znajdowali się w wielkiej sali balowej w zamku Domburr.

Minęła właśnie trzynasta - godzina pomiędzy kolacją a porą spoczynku. Latem, kiedy zaczynało się ściemniać dopiero około czternastej, ulice były pełne ludzi odwiedzających sklepy, tawerny, domy przyjaciół, portowe doki lub po prostu spacerujących bez wyraźnego celu. Ale w zimie, gdy już o jedenastej zapadał zmrok, wszyscy siedzieli w domach i grzali się przy ogniu.

Klucząc i lawirując, na wypadek gdyby byli śledzeni - mało prawdopodobne przy niemal pustych ulicach, lecz Alin najwidoczniej lubił martwić się na zapas - wyszli wreszcie na przystań. Alin minął obojętnie trzy duże łodzie żaglowe, które zdaniem Sarry nadawały się do dalekich podróży. Doszedł niemal do końca głównego nabrzeża, przechylił się raptownie przez barierkę i zniknął.

- Drabina - szepnął Valirion.

Sarra zrobiła wielkie oczy. Potrząsnął głową, nakazując milczenie, i objął ją ramieniem. Obok nich przeszło dwóch rybaków, ojciec z czworgiem małych dzieci i para kochanków.

- Ci przytuleni to Gwardia Rady. - Valirion wciąż mówił szeptem.

Przechyliła głowę, jakby znów zapatrzyła się w gwiazdy.

- Spotkaliście się już kiedyś?

- W paskudnych okolicznościach. Alin naprawdę umie zapewnić przyjacielowi rozrywkę w Roseguardzie. Na dół. Szybko.

Sarra podążyła w ślad za Alinem, szczerze zadowolona, że ma na sobie spodnie, a nie sukienkę. Lecz zaraz przyszło rozczarowanie, była to bowiem zwyczajna, stara drabina, umieszczona tu, by ułatwić dokonywanie napraw drewnianej przystani. Sarra zeszła osiem szczebli niżej, nad samą powierzchnię morza, które tuż u jej stóp obmywało pale nabrzeża, kiedy Alin pociągnął ją w bok.

- Tędy - powiedział.

Ostrożnie postawiła stopę na wąskiej desce, zawieszanej na łańcuchach pomiędzy dwoma potężnymi belkami. Fala zmoczyła jej buty i rąbek płaszcza, Sara na policzkach poczuła rozpryskujące się krople. Gdy Valirion dołączył do nich, Alin zapalił zapałkę, nie pocierając jej przy tym o pudełko. Sarra nie wierzyła własnym oczom. W Pinderonie Pani Lilen powiedziała, że Margit była jej jedyną Magiczną Córką. Córką - nie synem. Dzięki takim subtelnym niedomówieniom, stwierdziła Sarra cierpko, można z powodzeniem zachowywać tajemnicę, mówiąc jednocześnie szczerą prawdę.

Wątki płomień oświetlił potężny drewniany bal, który nikał w falach jak inne wsporniki nabrzeża, lecz po jednej stronie wystawały z niego zardzewiałe zawiasy. Alin przez jakiś czas manipulował przy nich swymi długimi palcami, klnąc pod nosem.

- Wilgoć i sól są zabójcze dla mechanizmu - powiedział Valirion.

- Zamknij się, Val - syknął Alin i odsunął rygiel. Otworzyło się przejście, szerokie na dwie i wysokie na trzy stopy. Alin gestem nakazał jej wejść do środka.

Podciągnęła brzeg płaszcza i przeszła przez otwór. Val wgramolił się za nią i pospieszył z przeprosinami, ponieważ niechcący wepchnął ją na wilgotną ścianę. Alin bezceremonialnie wcisnął się za nimi i zatrzasnął kłapę.

Goryan polecił im zrobić to samo, kiedy uciekali z Ambrai. W ciągu czterech lat, jakie minęły od wydarzeń w Pindero Sarra usilnie starała się przypomnieć sobie każdy strzęp tego co mag usunął z jej pamięci - posiadała

więc żywe wspomnienie jego stanowczego głosu. Desse uporał się z zaklęciem w mgnieniu oka. Alinowi zajęło to sporo czasu.

Valirion postanowił ją uspokoić, zupełnie jakby wypowiedziała na głos swoje wątpliwości.

- Jest w tym naprawdę dobry, tylko sprawia wrażenie przygłupa.

- Ja też cię kocham, Val - mruknął Alin.

Sarra raptownie przestała widzieć, słyszeć, czuć. Szum fal uderzających o nabrzeże, ostra, słona woń morza, łaskotanie wiatru, wciskającego się przez szczeliny - wszystko zamarło. Nawet nie zdążyła się porządnie wystraszyć, kiedy poczuła mocny, przenikliwy zapach szaławii.

- Jesteś Magiczna - rzekł Alin oskarżycielskim tonem. Sarra otworzyła oczy i zdumiał ją oślepiający blask słońca

za oknami. Błogosławiona święta Rillo Przewodniczko, znajdowali się na drugim końcu Lenfell!

- Dlatego właśnie miałem kłopoty - wyjaśniał Alin Valirionowi. - Ona ma w sobie zakaz, a w dodatku ktoś zdrowo się nad nim napracował. Ale jest Magiczna, nie da się ukryć.

- Przepraszam - wybąkała, usiłując nie rozglądać się zbyt po otoczeniu.

Stwierdziła, że jest to górna kondygnacja młyna, tyle że nie mielono w nim ziarna od co najmniej dwudziestu lat. Jak wszystkie pomieszczenia, w których ukryte były Drabiny, i to również miało przekrój okrągły. W tym przypadku wybrano jednak naprawdę dziwaczne miejsce. - Nie sądziłam, że to ma jakiegokolwiek znaczenie. A zresztą nikt nie powinien wiedzieć.

- I nikt by się nie dowiedział. Poza Magicznym, który tego właśnie szuka lub próbuje przeprowadzić cię przez Drabinę. - Alin zmrużył błękitne oczy przed słonecznym światłem, ciężkim od kurzu i drobnutkich kawałków słomy, unoszących się w powietrzu. - Nienawidzę tego - oznajmił i kichnął.

- Do zamku Roke kawał drogi - powiedział Val. - Czy chcesz odpocząć, *domndl*

- Czuję się świetnie. Co my właściwie robimy w Ken-rokeshir?

Alin, który właśnie zaczął schodzić po rozklekotanych drewnianych schodach, ruchem brody wskazał Valiriona.

- Opowie ci po drodze.

Następnego ranka - to znaczy ranka, który już raz oglądała w Roseguardzie, ale który nie był jej teraźniejszym rankiem; ten obecny poranek należał już do przeszłości w Roseguardzie, lecz ciągle jeszcze trwał w Kenrokeshir (trudno było się w tym połapać, postanowiła więc nie roztrząsać zbytnio tej kwestii) - do Ryki wypływał statek, zawijający po drodze do Shellinkroth. Na jego pokładzie, oczywiście w teorii, znajdować się będzie Sarra, zamknięta w swojej kajucie i wycieńczona morską chorobą. W Havenport dojdzie do siebie na tyle, by odbyć nocny spacer po przystani. A kiedy wróci na statek, wraz z nią wślizgnie się na pokład siedmiu nowych pasażerów.

- Alin, ja i pięciu Strażników Magii - wyjaśnił Val. - Dwóch zabierzemy stąd, potem użyjemy Drabiny, by dostać się do Cantrashiru, gdzie czeka jeszcze dwóch. Ostatni jest już w Shellinkroth. Stamtąd płyniemy do Ryki. Następnie Drabiną do Ambrai, potem do Brogdenguardu i Dindenshiru, a stamtąd wracamy na statek z dziesiątką kolejnych magów.

- Dlaczego magowie nie mogą skorzystać z Drabin, by dostać się do Roseguardu?

- Ponieważ musieliby wiedzieć, dokąd się udają - rzekł Alin.

Raz jeszcze udzielanie wyjaśnień spadło na Valiriona. Nie można posłużyć się Drabiną, znając tylko jej położenie, należy jeszcze wiedzieć, dokąd prowadzi. Każdy, kto nie dysponuje taką wiedzą, przepada na wieki w magicznej pustce, zwanej Zakłębieniem Ochronnym. Zazwyczaj mag znał przeznaczenie tylko kilku Drabin, z których sam korzystał. A ponieważ w ciągu owych siedemnastu lat, jakie minęły od zburzenia Ambrai, straciło życie wielu Strażników Magii, wiedzę niezbędną do korzystania ze wszystkich Drabin posiadali obecnie bardzo nieliczni magowie.

- ...Oraz jeden nie wpisany do rejestru nowicjusz - dokończył Valirion i obrzucił swego kuzyna spojrzeniem pełnym dumy i troski. - Jak to się mówi, Alin jest prawdziwym szczurem drabinowym.

- Myślę, że rozumiem - powiedziała Sarra. - Magowie, których szukamy, musieliby odbyć wiele niepotrzebnych podróży znanymi sobie Drabinami, a to straszliwe ryzyko.

Val przeciągnął się.

- Mam tylko nadzieję, że nie wszystkie będą takie ciasne jak ta w Roseguardzie.
- A więc wyruszamy po magów. Znasz ich? - Chodziło jej o to, czy wiedział, że jednym z nich jest Gorynel Desse.

Potrząsnął głową, mocując się z zapięciem czapki.

- Och... przepraszam, *domna* - powiedział i zaczął z powrotem zawiązywać tasiemki.

- Zdejmij ją, jeśli chcesz. Nie obrażę się. Ty też, Alinie. Alin natychmiast zdjął nakrycie głowy, zmierzwił swoje

jasne włosy, a następnie przycesał je palcami. Val, układowy jak zawsze, podziękował jej w ich imieniu i doprowadził do porządku swoją czuprynę.

- Święci, co za ulga! Chodzenie w czapce jest zawsze męką - a nie wyobrażasz sobie nawet, co znaczy nosić coś takiego latem w Straconym Kraju!

- I nie mam zamiaru się o tym przekonać - roześmiała się Sarra.

- To w ogóle nie wchodzi w rachubę. - Val obrzucił ją niepokojąco zalotnym spojrzeniem i uśmiechnął się. - Myślałem już, w jaki sposób cię przebrać, ale z całą pewnością nie mogłabyś uchodzić za chłopca!

Sarra zeszytywniała. Ponoć z niezgrabnego dziecka wyrosła na względnie ładną dziewczynę - choć Tarise słyszała kiedyś, jak mówią o niej, że jest „zbudowana jak dom dla lalek z cegieł” - lecz mimo to irytowały ją takie uwagi. Valirion Maurgen miał wiele wdzięku, jego maniery jednak pozostawiały nieco do życzenia.

Alin popatrzył na nich spode łba, marszcząc brwi i wydymając wargi.

- Ręce przy sobie, Val. Ona jest z Krwi.

- Ty też, mój miły *domni*.

Ku zdumieniu Sarry, Alin zaczerwienił się jak piwonia, a następnie przyspieszył kroku i pokazał im plecy.

Dopiero gdy zapadł zmierzch i Val odkrył mały, osłonięty zagajnik, gdzie postanowili spędzić noc, Sarra zrozumiała. Kuzyni są nie tylko współnikami, lecz również kochankami. Alin był po prostu zazdrosny. Zacisnęła zęby, aby stłumić chichot. A więc Val zerka też jednym okiem na dziewczyny, co? Powinna jakoś uświadomić Alinowi, że jeśli chodzi o nią, może być zupełnie spokojny.

Granatowy płaszcz zapewniał dosyć ciepła, by dało się pod nim spać. Choć w Sneve panowała zima, tutaj, w Ken-rokeshir, zaczęło się już łagodne lato. Święta Lirance ukołysała ją do snu, szepcząc w gałęziach dębów, kwitnących drzew i w kępach szaławii. Gdy Sarra obudziła się następnego ranka, jej płaszcz oraz włosy były przemoczone rosą i obsypane płatkami kwiatów.

Po śniadaniu, przygotowanym z podróżnych zapasów Vala, ruszyli w dalszą drogę. Niebawem trakt dla wozów rozszczepił się na trzy odnogi, niby zęby ogromnego widelca; Alin poprowadził ich na zachód. Przeszli wiele mil wśród niewysokich wzgórz i o zmroku dotarli do opuszczonego dworu. Tam oczekiwała ich pierwsza dwójka magów.

Mag Scholar, uczony, odziany w czarno-szary, zniszczony płaszcz, nosił na wytartym kołnierzu srebrne insygnia w kształcie Kul Magicznych, oznaczające jego powołanie. Był z całą pewnością za stary na długie podróże Drabinami. Towarzyszyła mu energiczna, mniej więcej czterdziestoletnia kobieta, której każdy gest zdradzał Maga Rycerza. Swoją czarną płaszcz przewiesiła przez oparcie krzesła, czerwone podbicie i patka ze Srebrnym Mieczem wyraźnie rzucały się w oczy.

- Kanto Solingirt - przedstawił się starzec. Pochylił się z wdziękiem i musnął pocałunkiem nadgarstek Sarry, łaskocząc ją przy tym wąsami. Pozwoliła na tę poufałość, ponieważ od razu go polubiła.

- Bardzo odpowiednie imię dla Maga Scholar - uśmiechnęła się życzliwie.

Zachichotał z uznaniem.

- Smutny to był dzień, kiedy Eskanto bez Kciuka został usunięty z oficjalnego kalendarza. Niestety, introligatorzy muszą teraz znosić towarzystwo drukarzy, prawników i temu podobnych indywidualiów pod wspólną opieką świętego Gorynela.

- Powtórzę Gorshy Desse, co powiedziałaś, tato! - Mag Rycerz uśmiechnęła się do Sarry. - Jestem Imilial Gorrst. Spodziewaliśmy się was trochę później. - Zwróciła się do Vala, unosząc jasne brwi. - A ty wciąż paradujesz z mieczem, chłopcze?

- Z dwoma - odciął się i ucałował ją w oba policzki. - Ale więcej nie będę się z tobą próbował. Od ostatniego razu ciągle jeszcze mam świeże blizny.

Alin jedynie bąknął coś w rodzaju pozdrowienia, lecz udało mu się nikogo nie obrazić. Następnie spojrzął na Vala i spytał:

- Czas?

- Dwunasta, bez dziesięciu minut. Alin skinął głową.

- Odpoczniemy tutaj do pół do piątej. Scholarze Kanto, przypuszczam, że potrafisz zapewnić niewidzialność całej naszej piątce?

Białe wąsy uniosły się zawadiacko, gdy starzec wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To moja specjalność, a także największa przyjemność.

Valirion trzymał straż. Usadowił się w oknie, gdzie jego profil i podciągnięte kolana rysowały się niewyraźnie w świetle gwiazd. Sarra dołączyła do niego o drugiej - tak przynajmniej powiedział, gdy o to spytała; sama nie potrafiła bez zegara określić czasu - i przysiadła na jedynym, chwiejącym się krześle.

- Nie możesz spać? Napij się. - Wręczył jej kubek z herbatą, na którą Imilia Gorrst rzuciła zaklęcie ciepła.

Sarra wypła trochę i oddała mu kubek.

- Dlaczego wcześniej nie powiedziano mi o magach? - Machnęła ręką z irytacją. - Głupie pytanie. Nie odpowiadaj.

- Wcale nie takie głupie. Ktoś musi wiedzieć, co robią wszyscy pozostali! Stosujemy teraz system, który ty wymyśliłaś. - Roześmiał się, białe zęby błysnęły na tle ciemnej twarzy. - Alin i ja jesteśmy pierwszymi elementami twojej organizacyjnej piramidy, Sarro. Może kilku młodszych magów, których spotkamy podczas naszej podróży, też do niej należy? Nie wiem.

- Nie możesz wiedzieć. Na tym to właśnie polega. - Sarra nie czuła się zaskoczona, że Sprzysiężenie przyjęło jej schemat. Był praktyczny, skuteczny i względnie bezpieczny. - W jaki sposób ty i Alin się w to włączyliście?

- Taig.

- Dlaczego oczekiwałam takiej odpowiedzi? - uśmiechnęła się.

- On jest jak jedna z sił natury, prawda? Lilen twierdzi, że jego ojciec był taki sam. Wdziera się w twoje życie niczym

wzajem. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic. To rodzaj instynktownej więzi, rozumiesz*? Nie rozumiała, ale skinęła głową.

- Trwa to już od czasów szkolnych - ciągnął Val z zadumą. - On ma nieprawdopodobną pamięć, dostawał najlepsze oceny w dziejach Akademii w Longriding. Ja zaś nie mam głowy do książek. Więc, rzecz jasna, zacząłem się z nim przyjaźnić. - Roześmiał się ochryple. - I nagle odkryłem, że naprawdę lubię tego małego spryciarza. Zainteresowało mnie to, czym on się pasjonował, więc rozmawialiśmy o naszych studiach... moje oceny od razu się poprawiły, i to bez żadnych sztuczek z mojej strony.

- Ależ musiałeś się wstydzić! - zadrwiła. - Mów dalej.

- Pewnej jesieni w Ostinholdzie pojawił się Mag Scholar, który miał nauczyć go czarów. We mnie ich nie ma, bo trudno uznać za czary to, że zawsze potrafię określić dokładny czas. Nienadzwyczajny dar - chyba że jesteś współnikiem szczura drabinowego.

- To byłoby krępujące, pojawić się bez zapowiedzi w porze kolacji.

- Całkowity brak wychowania - zgodził się.

- Ale również ochraniaś Alina.

Na potwierdzenie Val pogłodził rękojeść miecza.

- On zupełnie nie umie obchodzić się z bronią. Kaleczy się nawet smarując chleb masłem. Lepiej jednak unikać jego pięści. - Zachichotał do swych myśli. - Jest jeden gwardzista Rady w Dinn, który już nigdy nie doliczy się swoich zębów, chyba że ktoś zrobi sobie z nich guziki do koszuli.

A więc miecz nie jest wyłącznie na pokaz, a na obu przyjaciół można będzie liczyć, gdyby zrobiło się naprawdę gorąco. Ucieszona tym stwierdzeniem, przeszła do następnej zasadniczej kwestii.

- Powiedz mi, jakie jeszcze czary zna Alin.

- Rozniecanie ognia, lecz słabo. Zresztą sama widziałaś. To podstawa, którą każdy musi opanować jako wstęp do zapalania Kuli Magicznej. Ale tego nie umie.

Właściwie nic więcej nie umie. Och, zna na pamięć wszystkie zaklęcia. Tylko

ku jest w tym tak dobry, jak ja w określaniu czasu... -Urwał na chwilę. - Nigdy tego nie zapomnę. Zdarzyło się to w dniu świętego Aguirra w Ostinholdzie. Przyszedłem na ucztę. Nikt nie słyszał jego krzyku oprócz mnie i Cai - przybranej córki Ostinów, Caillet Rille.

- Jest Magiczna? - spytała obojętnie, doskonale znając odpowiedź.

- I to jeszcze jak, jeśli wierzyć Alinowi. Ja nie bardzo znam się na czarach, w każdym razie scholar, który miał przekazać mu wiedzę o Drabinach, zrobił to właśnie w tym dniu - szybko, brutalnie i nieudolnie. Zadał Alinowi wiele bólu, chociaż nigdy nie potrafiłem pojąć, co się naprawdę stało. Desse kipiał z gniewu, kiedy się o tym dowiedział, i omal nie pogruchotał kości głupiemu scholarowi. Sarra nie zdawała sobie dotąd sprawy, że czary mogą sprawiać ból. Czy to samo czekało Caillet?

- Widzisz, był im potrzebny natychmiast - ciągnął Val spokojnie. - Jedyne mag, który znał położenie wszystkich Drabin, umierał. Scholar wyczyścił umysł tej starej damy - za jej zgodą, jak słyszałem, ale... Hm, szukali więc kogoś, kto przechowywałby w sobie tajemnicę Drabin. I tak Alin został pozbawiony innych magicznych zdolności poza rozniecaniem ognia.

Sarra pokiwała głową.

- To musiało zboleć go najbardziej.

- Mówisz z własnego doświadczenia, *domnal* Machnęła ręką, zbywając tę uwagę.

- Przyzwyczaiałam się do tej myśli. Czary nie są dla mnie -przynajmniej na razie, dopóki nie jest bezpiecznie być Magicznym. - Oparła się na krzesło i dodała: - Nazywaj mnie Sarra, kiedy jesteśmy sami.

- Mam nadzieję, że twoje imię nie jest aż tak odpowiednie jak Kanto Solingirta? - Jego ton był niedbały i kpiący, więc Sarra nie miała pewności, czy kryje się w nim propozycja. Ta wątpliwość rozwiązała się w chwilę później. - Bo jeśli tak...

Mężczyźni, stwierdziła, stają się ostatnio nader bezczelni. Mimo to lubiła Vala, toteż jej odpowiedź nie brzmiała tak ostro, jak powinna.

- Tego się nie dowiesz, Valirionie Maurgen. Poza tym twój Alin-0 by tego nie pochwalił.

Wyczuła raczej, niż zobaczyła zdumienie na jego twarzy.

- Skąd ty...?

- Mój dar polega na wyciąganiu prawidłowych wniosków, opartych na wątych poszlakach - mruknęła Sara. - Jak to się mówi, „przeskoki myślowe”. Poproszę o herbatę.

3

Następna Drabina znajdowała się w odległości czterdziestu trzech mil od opuszczonego dworu. Solingirt wyteżał wszystkie siły, ale ponieważ dobiegał już osiemdziesiątki, trudno było oczekiwać, że będzie poruszał się tak samo żwawo jak pozostali. Nie potrafił zwijać drogi, Imilial Gorrst zaś mogła robić to jedynie na własny użytek. Sarra zanotowała sobie w pamięci - zdolności poszczególnych magów bardzo się od siebie różniły, nawet gdy chodziło o najbliższych krewnych. Pokonali prawie połowę drogi i zapadł już wczesny wieczór, kiedy ujrzeli przed sobą pasterski szałas, pusty o tej porze roku, bowiem owce wypędzono na wyżej położone letnie pastwiska. Następnego ranka Alin obudził ich wcześniej. Wyruszyli o czwartej, zanim jeszcze słońce wyszło zza wzgórz. Gdy ukazały się ich oczom iglice zamku Roke, Sarra wysłała Imilial przodem, by znalazła sposób podejścia do Drabiny i zabezpieczyła ją, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Czy mogłabyś również zdobyć dla nas coś do jedzenia?

- Bezwzględnie, *domna*. Alinie, najdroższy, pokaż mi, gdzie zatrzymamy się na tę noc. - Ustawiła przed nim srebrzystozieloną Kulę Magiczną i czekała, by ją zapalił. Alin nawet nie drgnął, lecz jego i tak blada skóra przybrała odcień chorobliwej bieli

- bynajmniej nie za sprawą czarów.

- Nie będzie ci to potrzebne - powiedział lodowatym tonem i zaczął rysować mapę na piaszczystej ścieżce.

25

Kłopotliwe milczenie przeciągało się, chociaż Imilia już dawno odeszła. Sarra maszerowała obok Kanto Solingirta, natomiast Val ruszył przodem wraz z Alinem. Zwróciło jej uwagę, że nie padły żadne słowa, nie pojawił się żaden gest, nic, co można by uznać za próbę pocieszenia. A jednak Alin wkrótce się odprężył, po pewnym czasie jego ręka zetknęła się z ręką Vala w krótkim uścisku. Kiedy świt wyjrzał wreszcie spoza wzgórz, Alin zwolnił, by porozmawiać ze starym scholarem, natomiast Sarra podeszła do Vala.

- Ty i Alin... - zaczęła, czując się trochę niezręcznie. -Wiesz, nigdy jeszcze nie spotkałam...

- ...tego rodzaju mężczyzn? - przerwał z goryczą.

- Dwojga ludzi, poza Agatine i Orlinem, którzy tak się

o siebie troszczą - dokończyła cicho. - Jesteście zupełnie wyjątkowi.

Valirion rozluźnił się.

- Przepraszam. Po prostu... czasem się wściekam. Wszchemocna Pierwsza Córka Geria Ostin nas potępia. -W ciemnych oczach pojawił się niebezpieczny błysk. - Ma męża, a jednak co tydzień znajduje sobie nowego kochanka.

I nadal uważa, że to my jesteśmy niemoralni.

Sarra nie pochwalała stosunków pozamałżeńskich, lecz nie widziała niczego niezwykłego w seksualnych obyczajach Gerii. Kobieta brała sobie kochanków, jeśli miała na to ochotę, a skandal powstawał tylko wtedy, gdy nie posiadała dzieci, które nosiłyby jej nazwisko. Co się zaś tyczy męża... cóż, nie musiało mu się to podobać, ale to był jego problem. Sarra pamiętała jednak Gerię, wiedziała zatem, jaka jest prawdziwa przyczyna niezadowolenia Pierwszej Córki. Wiedziała też, co Val za chwilę powie.

- Za Alina można by uzyskać dobrą cenę. Jest z Krwi. Tacy mężowie dużo kosztują. Geria znalazła dla niego dziewczynę, lecz Alin powiedział jej... no, można rzec, po prostu wyjechał z Ostinholdu.

- A... twoja rodzina?

- Matka jest zadowolona, bo nie musi płacić, żeby mnie ożenić.

I tak właśnie wygląda ślubny prezent Glenin, zniesienie Krwi i Stanów, pomyślała Sarra. System przetrwał, ponieważ wszyscy doskonale wiedzieli, kim są inni.

Synowie o skłonnoś-

ciach Vala byli wciąż mile widziani wśród niższych stanów, odpadała bowiem konieczność inwestowania w ich małżeństwa. Targowisko ślubnych kontraktów istniało nadal. Było to wstrętne, prawie tak samo złe jak niewolnictwo. Już dawno temu umieściła to na swojej „liście rzeczy, które należy zmienić”, z powodów zresztą czysto osobistych. I oto miała przed sobą kolejny przykład.

Zasadniczą przyczynę jej misji do Ryki też stanowiło coś, co zamierzała zmienić. Wojny, choroby lub brak żeńskich potomków zniszczyły tysiące rodów. Sleginowie przestaną istnieć wraz ze śmiercią Agatine. Z pewnością Urząd Cenzusu, podlegający Urzędowi Krwi i Stanów, będzie poszukiwał krewnych i sprzyjał odradzaniu się wymarłych rodów. A w rodzinach, którym zagrażało wygaśnięcie, synowie uzyskują pozwolenie, by przekazywać swoje nazwisko drugiej lub trzeciej córce...

Sarra spostrzegła, że jej towarzysz zasepił się jeszcze bardziej. Uśmiechnęła się.

- Głowa do góry, Val. Mogę się założyć, że Geria pęka ze złości widząc, jak jej brat Krwi zadaje się z synem Trzeciego Stanu!

Prychnął, a potem wybuchnął śmiechem.

- I nie tylko dlatego!

Solingirt starał się, jak mógł, ale i tak zbliżała się już dziesiąta, kiedy dotarli do Starego Muru. Wiele stuleci temu, w szalonych czasach samozwańczej Wielkiej Księżnej Vellery Ganfallin, obrońcy zamku Roke wytrzymali długie oblężenie, kryjąc się w niedostępnej wieży. Armia Wielkiej Księżnej zburzyła Stary Mur, ale nie udało jej się zdobyć samego zamku. Kamienie ze Starego Muru posłużyły następnie do budowy domów. Właśnie w jednym z nich oczekiwała Imilia Gorrst. Alin dosłownie rzucił się na rozchybotany stół, nakryty do kolacji.

- Spokojnie, chłopcze! - roześmiała się Strażniczka Magii. - Starczy dla wszystkich! Bałam się kupować porcje dla pięciu osób, ale za to jest duży wybór.

- Och, znasz go - powiedział Val. - Zje wszystko, co mu się nawinie pod widelec. — Wyrwał Alinowi z ręki pasztecik z krabami, pogryzł, przełknął i oznajmił: - W Cantrze jest za

trzy minuty piąta. Mamy mnóstwo czasu na posiłek, zanim miasto zbudzi się ze snu. Alin natychmiast się zemścił, kradnąc Valowi kromkę cebularza.

- Mamy również czas na wypoczynek. Planuję wyruszyć w środku nocy.

Pokusa, by zapytać, której nocy, ustąpiła miejsca pierwotnemu postanowieniu Sarry, że dla zachowania zdrowego rozsądku lepiej nie wiedzieć. Alin wyznaczał kierunek, Val zaś troszczył się o to, by dotarli na miejsce we właściwym czasie.

Sarra wobec tego zajęła się kolacją; pomiędzy jednym kęsem a drugim spytała tylko, dlaczego dom jest opuszczony.

- Ponieważ zadbaliśmy o to - odparł Val. - W całym Lenfell są takie miejsca. Mniej lub bardziej wygodne, ale wszystkie zaklęte i bezpieczne. Imi zdjęła zakazy, nim tu dotarliśmy, a gdy będziemy odchodzić, postawi je znowu.

- Ach tak - rzekła Sarra, tak jakby rozwiały się wszystkie jej wątpliwości. Kiedy spotkam Gorynela Desse, niejedno będzie mi musiał wyjaśnić! Zwracając się do Maga Rycerza, zadała następne pytanie: - Czy znajdują się tu jakieś ubrania na zmianę? Chodzi mi przede wszystkim o płaszcze. Te, które nosicie, są jak zaproszenie dla Gwardii Rady, żeby zaczęła nas ścigać.

Kanto Solingirt przyjął dumną postawę, wąż mu się zjeżył, a krzaczaste brwi powędrowały w dół.

- Wyrzekłem się swojego munduru, kiedy Mag Dziekan wydał taki rozkaz ze względu na bezpieczeństwo, choć była to decyzja tchórza. Podobnie wyrzekłem się swojej funkcji w Akademii Świętego Mitru, mimo że jestem nauczycielem z powołania. Ale nie wyrzeknę się swoich barw ani zaszczytnych insygniów scholara. Jestem Magiczny i nie wstydzę się tego, tym bardziej że przez długie lata służyłem Lenfell najlepiej, jak...

- Tato - powiedziała cicho Imilial. - W ten sposób narażamy innych.

Odchrząknął i zrobił markotną minę, lecz w końcu skinął głową. Sarra podziwiała w duchu jego upór i ubolewała nad nim jednocześnie. Sama też nie mogła używać swego starożytnego nazwiska, barw oraz godła i ciążyło jej to nieznośnie.

Lecz obnoszenie się z nimi stanowiło najlepszy sposób, by pozwolić się schwytać. Wybór tchórza, czy jedyny wybór umożliwiający przetrwanie? Zmieniła temat.

- Czy byliście już kiedyś w Cantrze?

- Opuściliśmy Akademię Magów, kiedy umarła matka -powiedziała Imial. - Podczas Tygodnia Łowów, w 941 roku. Od tej pory mieszkamy w Kenrokeshir.

Spokojne życie, niewielu gości spoza Shiru, więc nie sędzę, abyśmy zostali rozpoznani, jeśli to masz na myśli.

- Tak, o to mi chodziło. Nie chcę was obrażać, ale jesteście teraz moimi rnewolnikami. Scholar Solingirt może być ochmistrem. Rycerz Gorrst zupełnie nie wygląda na pokojówkę, odegra więc rolę straży przybocznej, podobnie jak obaj kuzyni. A teraz chcę usłyszeć, o co chodziło z tą niewi-dzialnością?

Valirion odstawił butelkę z winem, której zawartość wlewał sobie do gardła, i mrugnął do Alina.

- Mówiłem ci.

Jego kuzyn wzruszył ramionami.

- Mówiłeś mi tylko, że ona zadba o wszystko. Nie rozmawialiśmy jak dotąd o tym, w jaki sposób dostaniemy się do archiwów w Ryce.

Sarra zakrztusiła się nagle.

- Dokąd? Po co?

- Po dowody - wyjaśnił Alin. - Musimy wykraść obciążające dokumenty.

- Aby uzyskać poparcie dla Sprzysiężenia ze strony tych, którzy potrzebują dowodów na piśmie - dokończył Val. - Masz jakieś pomysły, Sarro?

- Moje drogie dzieci - uśmiechnął się Solingirt. - A od czego ja tu jestem?

Alin i Val wymienili spojrzenia, po czym Val chrząknął z zakłopotaniem.

- Proszę o wybaczenie, ale...

- Och, nie będę siedział beczynn timer całą noc. Są prostsze sposoby zdobywania dokumentów. I nie wymagają wcale wiele wysiłku. Niby w jaki sposób ród

Czwartego Stanu, taki

jak mój, zdołał „udowodnić” swoje prawa do dziesięciu mil t kwadratowych gruntów w Rokemarsh?

- Tato... - odezwała się Imilia słabym głosem. - Czy chcesz powiedzieć, że sfalszowałeś...?

Wzruszył ramionami.

- To łatwe. Wystarczy umiejętność kaligrafii oraz zaklęcie, aby papier i atrament wyglądały na stare. Krew Vekke nawet nie odczuła tej straty, ponieważ odsprzedaliśmy im ziemię, a pieniądze poszły na mój posąg. Widzisz, Imi, twoja nieodżałowanej pamięci babka zażądała nie byle jakiej ceny, by wynagrodzić sobie utratę córki rodu Gorrst, która poślubiła jakiegoś nędznego Solingirta.

Val wyszczerzył zęby.

- Więc sprzedaliście ziemię, która do was nie należała, ludziom, do których ona naprawdę należała.

- Nie, najpierw ją kupiliśmy - sprostował starzec. - Chociaż ród Vekke dostarczył na to środków.

- A co z twoim udziałem w Funduszu Posagowym Solin-girtów?- spytała Sarra, zaintrygowana oszustwem, rozgniewana jego koniecznością... i bardziej niż trochę zmieszana.

- Och, moja droga, nie znasz Solingirtów. Nasz Fundusz Posagowy był kpina od trzech pokoleń. Wszystkie Pierwsze Córki oczywiście płaciły, jak tego wymaga prawo - ale płaciły obietnicami, nie gotówką. Tego samego roku, gdy matka Imi poślubiła mnie, szesnastu lub siedemnastu moich kuzynów również wzięło ślub. Jako trzeci syn piątej córki młodszej gałęzi rodziny, byłem ostatnim na liście, który miał dostać udział.

- Ale... to niezgodne z prawem - zaproponowała Sarra.

- Od razu widać, że nie masz jeszcze pojęcia o kontraktach małżeńskich - powiedział z uśmiechem. - Mój przypadek nie był odosobniony. Poza tym ród Gorrst ma osobliwe podejście do pieniędzy. To, co rodzi ziemia, ma dla nich znacznie większą wartość. Gdybym, dajmy na to, pochodził z rodziny Talenirów, do których należy pięć jałowych pagórków w Shellinkroth, zmieniłoby to zupełnie postać rzeczy.

- Przecież Talenirowie to Czwarty Stan - i jedna z najbiedniejszych rodzin w Lenfell! - wykrzyknęła Sarra.

- Ich ubóstwo związane jest z ziemią - powiedział Solin-girt. - Pieniądze mojego rodu pochodzą z handlu. To ich zasadnicza wada.

Val rozpromienił się z podziwu.

Uporządkujmy to. W tajemnicy kupiłeś ziemię od rodu Vekke, za pieniądze dostarczone w tajemnicy przez ród Vekke, a następnie sprzedałeś im tę ziemię, aby zdobyć posag i poślubić córkę rodu Gorrst. To mi się podoba!

Kuzyn Mittrian Solingirt wpadł na ten pomysł. Działał jako mój prawnik w całej tej sprawie, wiesz, był mężem Tevis Vekke. Ich oboje niezmiernie bawiło, że mogą wystrychnąć na dudka Marę Gorrst. Tak przy okazji, Alinie, masz siostrę, która nosi imię po Tevis. Ta sama Tevis była twoją praprababką - oznajmił zdumionemu Valirionowi.

Och, Val! Czy to znaczy, że jesteśmy zbyt blisko spokrewnieni, aby wziąć ślub? - zadrwiła Imi. Westchnął tęsknie.

- Niestety, najdroższa *domna*, możemy jedynie cieszyć się sobą wszetecznic

- Wszetecznie? - powtórzyła. - Dajesz słowo? Alin skrzywił się i wzniosł oczy do sufitu. Solingirt zabębnił palcami w ścianę.

- Wracajmy do rzeczy! Wygląda na to, że nie będę się rozstawał z papierem i piórem aż do wiosny, kiedy już dotrzemy do celu naszej podróży, gdziekolwiek się on znajduje.

Sarra zastanowiła się nad tym.

- Czy znasz charakter pisma Annyas? Papier, jakiego używa? Atrament? Pióro?

- Mam kilka wzorów jej podpisu...

Sarra zdumiała się na te słowa, ale pytała dalej:

- Alinie, potrzebne ci są oficjalne protokoły Rady czy prywatne papiery Annyas?

Zastygł w bezruchu. Valirion zaczął coś mówić, lecz Sarra uciszyła go gestem ręki. W błękitnych oczach Alina zapaliły się złe ogniki.

- Bardzo sprytnie, *domna*. Nie chcemy skompromitować całej Rady. W większości są nieszkodliwi. Powiedziano mi, że bym brał wszystko, co wyda mi się podejrzane. Ale jeżeli...

- Ha! - wpadł mu w słowo Valirion. - Pokoje Annyas! Wchodzimy, zabieramy kilka jej listów dla naszego uczonego fałszerza i szybko znikamy. Może się zdarzyć, że przy okazji znajdziemy coś ciekawego, wtedy oczywiście też to weźmiemy.

Sarra skinęła głową.

Wyprawa

33

- Nie wiemy, czy jest na tyle głupia, żeby pisać coś obciążającego. Jeśli jest i jeśli coś takiego znajdziecie, to dobrze. Jeżeli nie - potrzebujemy tylko próbki jej pisma do sporządzenia kompromitujących dokumentów.

Alin wyszczerzył się jak złotowłosey wilk.

- *Domna*, szybko się uczysz.

- Przeskoki myślowe - mruknął Valirion, jego ciemne oczy błyszczały.

- Dziękuję - odparła Sarra. - Dopracujemy to, kiedy już dotrzemy do Ryki. Nadal chciałabym usłyszeć, dlaczego musimy być niewidzialni w Cantrze.

4

Tej nocy Alin pełnił straż. Sarra znów obudziła się wcześniej i znów dowiedziała się czegoś o kuzynach, do których się nie przyznawała. Alin nie mówił tak chętnie jak Valirion, ale kiedy już zdecydował się z nią porozmawiać, był absolutnie szczery. Sarra straciła jednak pół godziny, nim zdołała go do tego nakłonić.

Zaczęła od najbardziej oczywistego miejsca: od Ostinhol-du. Wypytywała go o matkę, potem opowiedziała swoją wersję historii o wydarzeniach w Pinderonie i o minstrelu, i wreszcie rozmowa zesła zesła na rodzeństwo Alina. Wyjawiał jej, nie bez zachęty z jej strony, że Lenna i Tevis mają już mężów, Miram natomiast wciąż się opiera.

- Jest w twoim wieku, *domna* - rzekł Alin. -**1** sama myśl **0** tym ją brzydzi.

- Mnie też nie interesuje małżeństwo - wyznała Sarra. -To niewiarygodna masa kłopotów, a w zamian dostaje się bardzo niewiele.

- Jesteś zbyt młoda na taki cynizm.

- Mam dwadzieścia dwa lata - jestem o rok starsza od ciebie!

- Podróżowałaś po świecie z wielką pompą - odparł, wzruszając ramionami. -

Witano cię jako Pierwszą Córkę, otaczano czcią, szanowano. Ja przemykam się w cieniu, a ostatnia rzecz, jakiej bym chciał, to zostać rozpoznany jako gyn Krwi Ostinów. Dokonałem wyboru - chociaż każdy rok takiego życia postarza cię o pięć lat.

- Val wygląda na zadowolonego.

- To syn marnotrawny w każdym sensie tego słowa, lecz ma na tyle poczucia przyzwoitości, że z radością to przyznaje. Maurgenowie wyrzekli się go bez żalu. - Alin roześmiał się prawie bezgłośnie.

- Słyszałam, że znacie się od dziecka.

- Mam wrażenie, że znaleźliśmy się, zanim jeszcze przyszliśmy na świat. - Obrzucił ją niespokojnym spojrzeniem. - Czy to brzmi...?

- Nie, Alinie. To wcale nie brzmi śmiesznie - uspokoiła go i pomyślała: Agatine i Orlin są tacy sami... i moi rodzice tacy byli, zanim... zanim. - Chciałabym kiedyś przeżyć coś takiego. Tylko że bałabym się to stracić - wyznała. - Patrząc, jak się zużywa. Albo umiera.

- To po prostu jest, Sarro. Nie zużywa się ani nie umiera. Nie można tego stracić. - Zawahał się i przez jakiś czas milczał, odłupując drewniane drzazgi wokół zamka u drzwi, żeby zająć czymś ręce. - Zaraz po tym jak dowiedziałem się o swoich czarach, Val wyjechał ze Straconego Kraju prawie na cały rok. Uknuły to jego babka i moja siostra Geria. Czary nieźle dały mi się we znaki. A gdy w dodatku jego zabrakło, myślałem, że oszaleję. Już nawet czekałem, żeby to się stało. Ale się nie stało. Ponieważ Val był tutaj. - Alin przyłożył dwa palce do czoła, a następnie dotknął nimi piersi.

Czy Auvry Feiran wciąż pamiętał Maichen Ambrai? Czy był jej częścią, zanim umarła?

- Macie szczęście obaj - mruknęła.

- Wiem. To nie znaczy, że żaden z nas się nie boi. Ale każdy się boi, w ten czy inny sposób. Po prostu razem dajemy sobie radę ze wszystkim.

Sarra wepchnęła zmarznięte ręce w kieszenie.

- Jesteś za młody na taką mądrość, Alinie-0 - powiedziała z czułością.

Po raz pierwszy zobaczyła, jak Alin się uśmiecha - miło, łagodnie, trochę z siebie drwiąc; jego uśmiech koł zbolące serca, nie łamał ich.

- Gdybym był mądry, czy popełniałbym te wszystkie szaleństwa? - Podeszedł do okna i spojrzał przez brudną szybę na pole zalane księżycową poświatą. Gdy się ponownie odwrócił, po czarującym uśmiechu nie pozostał już nawet ślad. - Śpiewałaś coś wcześniej. Co to było?

- Naprawdę śpiewałam? Zanucił kilka taktów.
- Czy znasz dalszy ciąg? Słowa?
- To piosenka, którą mój młodszy brat Jeymi śpiewał tego ranka, gdy wyjeżdżałam z Roseguardu. - Jak dawno to było? Alin miał rację: takie życie zmieniało dni w tygodnie. -Dziecinna piosenka.
- Wiem.
- Więc dlaczego pytałeś...?
- Czy znasz wszystkie zwrotki? - przerwał jej.
- Niektóre. - Zaczęła przypominać sobie słowa, a gdy się to jej udało, omal nie spadła z krzesła. - Alinie! To jest...
- Tak. „Piosenka o Drabinach”. Zaśpiewaj to, co pamiętasz.
- Och, nie proś mnie o to. Nie potrafiłabym utrzymać rytmu, nawet gdybyś walił mi go kijem na plecach. Więc po prostu ci powiem.
Absurdalna piosenka towarzyszyła dziecięcej grze, w którą nie bawił się już nikt, kto skończył dziesięć lat. Sarra przypuszczała, że następujące po sobie powtórzenia przeciwieństw miały ułatwiać nauczenie się jej na pamięć, inaczej trudno było doszukać się w nich większego sensu.
Łatwa lub trudna, trudna lub łatwa Jest o Drabinach piosenka-zagadka.
Wzdłuż albo wszere, wszere albo wzdłuż Jesteś tak daleko, możesz być tuż-tuż,
Wszere albo wzdłuż, wzdłuż albo wszere, Nieważne gdzie jesteś, możesz być, gdzie chcesz.
Na dół lub do góry, w górę albo w dół Drabina wiruje i pęka na pół. W górę albo na dół, na dół lub do góry, Bo Drabina wpadła do głębokiej dziury.
- Jak dotąd, zgadza się - zadumał się Alin. Zrobiła zdziwioną minę, więc wyjaśnił: - Każdy dwuwiersz opisuje jedną Drabinę. „Wiruje i pęka na pół” odnosi się do Podwójnych Spiralnych Schodów na Ośmiokątnym Dworze. „Głęboka dziura” to wyschnięta studnia w Bleynbradden.

- Oczywiście! Alinie, to genialne! Kto by podejrzewał, że w dziecinnej piosence ukryta jest lista Drabin?

- Rzeczywiście, Sarro. Ale są liczne wersje, zwrotki śpiewa się inaczej w różnych częściach Lenfell. Dzieci dodają lub opuszczają jakieś fragmenty, czasem mylą słowa. Bardowie nazywają to poetyckim przekształceniem. Chcę usłyszeć wersję, którą śpiewają w Roseguardzie.

Znów zaczęła recytować, przywołując wspomnienia sprzed dziesięciu lat. Nabrała już w tym dużej wprawy.

Choroba lub zdrowie, zdrowie lub choroba, Ktoś o zręcznych palcach Drabinę zbudował...

Sarra aż podskoczyła na krześle z podniecenia.

- Święta Maurget o Zręcznych Palcach!

- Też tak sędzę, ale nie potrafię powiązać tego z żadnym miejscem. Mów dalej.

Zdrowie lub choroba, choroba lub zdrowie, Poszukaj Drabiny wśród pasterzy owiec.

Głodna albo syta, syta albo głodna, Świnka na Drabinie jest zawsze pogodna. Syta albo głodna, głodna albo syta, Drabina wśród kruchych żołądzi ukryta.

Urwała.

- Ten kawałek zawsze wydawał mi się dziwaczny. To znaczy, kruche ciasteczka robi się z różnych rodzajów orzechów i nasion, ale żołądzie są za twarde. Określenie „kruche” jest zupełnie nieodpowiednie.

Subtelności kulinarne nie interesowały Alina.

- Żołądzie? Nie migdały?

- Żołądzie. Co się tyczy pogodnej świnki... - zamilkła, a następny przeskok myślowy sprawił, że jej umysł prawie stanął dęba. - Skąd się wzięły żołądzie? - Roześmiała się, gdy jasne oczy Alina pociemniały pod zmarszczonymi brwiami. -Jakie jest twoje rodowe godło, Alinie Ostin?

Jęknął cicho i ukrył twarz w dłoniach.

- Święta Alilen, patronko szaleńców, zlituj się nad bied-uyim idiotą! Jeszcze jedna Drabina na ziemi Ostinów?

- Potrząśnij rodzinnym dębem, kiedy następnym razem przyjedziesz do domu, a zobaczysz, co z niego spadnie -poradziła Sarra. - Byłeś kiedyś w Domburronie? Alin opuścił ręce.

- Omijam to miejsce, jeśli tylko mogę. Czemu pytasz?

- Tuż obok rynku jest sklep z zabawkami, nazywa się „Różowy Prosiaczek”. Nigdy w życiu nie widziałam bardziej radosnego uśmiechu na szyldzie sklepowym.

Prawdziwe świnie w ogóle się nie śmieją, skoro już o tym mowa.

- „Różowy...”? - Parsknął śmiechem. - Co robiłaś w sklepie z zabawkami?

Ukryła rumieniec, zastanawiając się, czy Alinowi też zdarzają się przeskoki myślowe. Nie miała jeszcze czternastu lat, gdy Agatine i Orlin zabrali ją do Domburronu, a w tym wieku nowa sukienka dla ulubionej lalki była rzeczą jak najbardziej godną pożądania...

- Kupowałam prezenty dla młodszych braci, oczywiście. Weźmy się lepiej za następne zwrotki. Może przez noc uda nam się rozwiązać wszystkie zagadki!

5

Nie udało im się, rzecz jasna. Ustalenie położenia Drabin ukrytych w zwrotce „głodna albo syta” ukoronowało ich wysiłki. I chociaż Sarra była wyraźnie rozczarowana, Alin cieszył się jak prosiaczek ze sklepu z zabawkami.

Alin wiedział tylko o tych Drabinach, które nie zostały zniszczone bądź zapomniane. Niegdyś były ich prawdopodobnie setki, obecnie funkcjonowało zaledwie dwadzieścia sześć, trzynaście par. Wiele uległo zagładzie w czasie pożaru Ambrai - dlatego właśnie podpalono miasto - a jeszcze więcej, kiedy ten sam los spotkał zamek Malerris. Albowiem, jak zapewniała ostatnia linijka wszystkich wersji piosenki, „Drabiny w płomieniach szybko umierają”. Alin przypuszczał, że Ambrai i zamek Malerris stanowiły dwa z trzech największych skupisk Drabin w Lenfell - to pierwsze, ponieważ tam mieściła się siedziba Magów, Bardów i Uzdrowicieli, ten drugi, gdyż zamieszkiwali w nim Panowie. Był także pewien, że trzecim takim miejscem jest Ryka. Choć wiedział tylko o dwóch z tamtejszych Drabin, do Ambrai i do Shellinkroth, to jednak Ryka, jako siedziba rządu, musiała posiadać Drabiny prowadzące do wszystkich shirów.

Na ile Sarra mogła ocenić, miało to sens. Pragnęła wrócić do Roseguardu i zagrabionej przez siebie biblioteki, aby tam poszukać najstarszych i najbardziej wiarygodnych wersji piosenki. Wówczas Alin nie musiałby się już martwić poetyckim przekształceniem, dodanymi zwrotkami bądź opuszczonymi linijkami. Jej szczer drabinowy rozwiązałby wszystkie zaga-

dki, Sprzysiężenie zyskałoby sieć szybkiej komunikacji, a korzyści płynące z ich podróży przekroczyłyby najśmielsze oczekiwania.

Latarnia morska w zamku Roke („Daleko lub blisko, blisko lub daleko, Drabina żeglarzy otacza opieką”) wznosiła nic co prawda w miejscu łatwo dostępnym, lecz za to wejść do środka było praktycznie nie sposób. Chyba że w towarzystwie maga, któremu trzech dziekanów zazdrościło zaklęcia niewi-dzialności. O pół do ósmej, kiedy latarnicy jedli wspólnie obiad, dwoje Strażników Magii, dwoje pozbawionych mocy Magicznych oraz syn marnotrawny wspięło się po krętych schodach na sam szczyt wieży.

" Tym razem Sarra bez większych trudności przeszła przez zaklęcie ochronne, wiedziała bowiem, czego oczekiwać. Z tego powodu Alinowi też poszło znacznie łatwiej. Gdy otworzyła oczy, znajdowała się w miejscu, które od zamku Roke dzieliły tysiące mil, dwie pory roku i osiem godzin różnicy czasu -w Cantrze. Zgodnie z zapowiedzią, był środek nocy. Mimo to Kanto Solingirt znów musiał użyć zaklęcia niewidzialności, ponieważ Drabina umieszczona została w piwnicy domostwa rodziny Affe. Affe, należący do Czwartego Stanu i prawie tak liczni jak Ostinowie, trzymali lojalnie stronę Pierwszej w Radzie Anni-yas, gdyby więc odkryli na swoim terenie zbiegłych magów, mogłoby to spowodować naprawdę katastrofalne skutki.

Ledwie jednak wydostali się poza obręb posiadłości, stary scholar niezwłocznie zdjął zaklęcie - i omal nie upadł na bruk z wyczerpania. Jego córka i Val podtrzymywali go aż do głównej ulicy tej podłej części miasta, a tam cała piątka odegrała scenę powrotu z nocnej popijawy. Sarra miała ochotę zapaść się pod ziemię, gdy Alin, który wspierał ją ramieniem, zaczął nagle wywrzaskiwać niewypowiedziane sprośny refren „Skargi ulicznego kochasia". Trzaskały otwierane okiennice i na dół sypał się deszcz przekleństw, a raz nawet cegła upadła tuż pod stopami Imilial. Nie pojawił się jednak żaden konstabl ze Straży Miejskiej, aby wlepić im grzywnę, udzielić ostrzeżenia, aresztować lub w jakikolwiek inny sposób przywołać do porządku.

Granica pomiędzy Starą a Nową Cantrą, choć nie oznaczona, była widoczna wyraźnie jak zimowy księżyc w bezchmurną noc. Zataczając się, przeszli wzdłuż ciągu ubogich

kramów po wyłożonej tłuczonym kamieniem ulicy, minęli skrzyżowanie i nagle otoczenie zmieniło się zdecydowanie na korzyść. Przed witrynami schludnych sklepów rosły szpalerem drzewa, farba wszędzie wyglądała na świeżą, a dwie ulice dalej ujrzeli posterunek straży. Alin natychmiast umilkł, pozostali wyrównali krok. Za szóstą przecznicą czekało ich serdeczne powitanie w domu rodziny Garvedian.

- Wybacz nam tę porę, Luse - pospieszyła z przeprosinami Imilia, kiedy młoda kobieta zaprosiła ich do środka. - Tam, skąd przybyliśmy, było południe. - Posadziła utrudzonego ojca na wygodnym krześle w sieni.

- Więc odpocznijcie przynajmniej przez resztę nocy. Głodni? Nie, możesz nie odpowiadać, Alinie Ostin! - Lusira Garvedian poufale szturchnęła go w żebra. Udał, że pada na kanapę śmiertelnie ranny, zadając kłam stwierdzeniu Vala, iż onieśmielają go ładne dziewczyny.

Choć byłoby wielką niesprawiedliwością nazwać Lusirę ładną. Była, mówiąc po prostu, oszałamiająco piękna. Nie ; miała więcej niż dwadzieścia pięć lat, a cały jej strój stanowiła; śnieżnobiała nocna koszula, która bynajmniej nie skrywała wspaniałej figury, podkreślała natomiast ciemnobrązową cerę. Smukłe ciało, oczy łani i pełne wargi składały się na ideał piękna, jaki zawsze budził zazdrość Sany, bolejącej nad swymi okrągłymi policzkami, zadartym nosem i zdecydowanie niskim wzrostem.

- Advar i Elomar przybyli wczoraj - oznajmiła Lusira. - Śpią na górze. A ty powinieneś zrobić to samo! - powiedziała z wyrzutem do Kanto Solingirta. - Val, choć raz przydadź się na coś i zaprowadź go do narożnej sypialni!

Kiedy już dokonano niezbędnych prezentacji, pojawił się służący z jedzeniem. Swój ostatni posiłek, czyli resztki kolacji z poprzedniego wieczora, zjedli o świcie w Kenrokeshir, tak więc omlety z kaczych jaj, smażone paski dziczyzny, sałatka ziemniaczana i aromatyczna lemoniada powitane zostały entuzjastycznie. A jednak Sarra, jedząc śniadanie w blasku płonącej lampy, przekonana w dodatku, że jest wczesne popołudnie, zaczęła podejrzewać, czy przypadkiem nie padła ofiarą tego, co Alin nazwał efektem Drabiny. Jeszcze kilka takich skoków z jednego krańca świata na drugi i jądanie obiadu o północy naprawdę wejdzie jej w nawyk.

Po posiłku Lusira Garvedian zaprowadziła ją do niewielkiego, przytulnego pokoiku w głębi domu. Sarra położyła się do łóżka, ale nie mogła zasnąć.

Wyglądało na to, że wszyscy ci ludzie doskonale się znali. Dlaczego nigdy o nich nawet nie słyszała? Dlaczego Agatine i Orlin trzymali ją z daleka od Sprzysiężenia? A może była to o wiele dalej sięgająca zмова - i rozkazy wydawał Gorynel Dcsse? I przed czym tak usilnie jej strzegli?

Może ją oszczędzali?

W jakim celu?

Było zupełnie naturalne, że trafili do tego właśnie domu. Sarra całkiem dobrze pamiętała Maga Dziekana Leninor Garvedian. W ilu jeszcze domach mieszkali krewni Strażników Magii zabitych w Ambrai? Czy wszyscy oni udzielali po kryjomu gościny emisariuszom Sprzysiężenia? Czy może drżeli ze zgrozy na wspomnienie umarłych i zatrzaskiwali drzwi?

Nagle poderwała się z łóżka, zupełnie rozbudzona, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że spała. Wąty zimowy świt sączył się przez firanki, ale w domu panowała cisza. Nie -przecież jakiś dźwięk wytrącił ją z drzemki i zaniepokoił. Ostrożnie wyjrzała na zewnątrz, do okolonego murem małego ogrodu. Nie rosło tam nic, jeśli nie liczyć kilku mizernych krzewów i dwóch grządek rzadkich zimowych ziół.

Ogrodową ścieżką szedł spiesznie wysoki, otulony płaszczem mężczyzna. Valirion? Tak, rozpoznała jego długie kroki i charakterystyczny gest - sterczący łokieć zgiętej ręki, którą trzymał na rękojeści noża, ukrytego w prawej kieszeni spodni.

Nawet nie przeszło jej przez myśl, że mógłby ich zdradzić, z pewnością też nie narażałby wszystkich na niebezpieczeństwo dla jakichś prywatnych interesów.

Zatem musiało to mieć jakiś związek ze Sprzysiężeniem. A ona znów nie miała o niczym pojęcia.

No cóż, to musi się zmienić. Od zaraz.

Włożyła buty i ruszyła korytarzem w kierunku sieni na tyłach domu, skąd wychodziło się do ogrodu. Stała tam Lusira Garvedian, doskonała piękność obramowana framugą otwartych drzwi, na tle zimowego pejzażu, tak samo wyrazistego jak jej czarna suknia. Spoglądała przed siebie nieobecny wzrokiem i sączyła herbatę z porcelanowej filiżanki

wykonanej w Rine, na ile Sarra mogła stwierdzić, i wartej fortunę.

- Dokąd poszedł? - spytała Sarra bardzo niegrzecznie, zdecydowała jednak, że czas już najwyższy, by dowiedziała się tego, co ma prawo wiedzieć.

- Wróci we właściwym czasie - odparła Lusira, wciąż wpatrzona w nieokreśloną dal.

- Skąd? - Sarra zawahała się, po czym dodała: - Proszę, powiedz mi, *domna*.

Lusira zamknęła drzwi. W jej wielkich ciemnych oczach malował się taki smutek, że Sarra poczuła ściskanie w gardle. Lusira wdzięcznym gestem zaprosiła ją do jadalni, gdzie stół został już nakryty do kolejnego śniadania. Zastawa wykonań była z tej samej rineńskiej porcelany: filiżanki, spodeczki, talerze, półmiski i salaterki w delikatnych odcieniach jesienne zieleni.

Ale serwis nie wzbudził w niej zachwytu, na jaki z pewnością zasługiwał. Jej uwagę przyciągnął bowiem stojący na kredensie srebrny zegar z doskonale widocznym przez szklan drzwiczki mechanizmem, który odmierzał właśnie ostatnie minuty przed godziną piątą. Podobne zegary, pokazujące nie tylko godziny, ale również tygodnie, należały do rzadkości, lecz ten akurat przykuł wzrok Sarry bynajmniej nie przez swoją niezwykłość. Dla niej ów właśnie zegar nie był niczym niezwykłym. Identyczny widziała tysiące razy w sypialni Allynis Ambrai. Na okrągłej tarczy z masy perłowej każdej godzinie odpowiadał maleńki ośmiokąt z błękitnego ambrajskiego onyksu. Walec, który obracał się u podstawy, pokazywał kalendarz roczny, złożony z trzydziestu sześciu tygodni oraz Dnia Widm Tygodnie zaznaczone zostały atrybutami odpowiednich świętych albo, w przypadku przesilen i równonocy, maleńkim złotym słońcem z licznymi promieniami. Sarra wiedziała, że nie jest to zegar jej babki, ponieważ wskaźnik tygodni miał kształt lwiej głowy, natomiast w zegarze Pani Allynis znajdował się w tym miejscu żołądź - rodowe godło jej męża, Gerrina Ostina

- Rozpoznajesz go, oczywiście - powiedziała cicho Lusira Garvedian. - Prezent od twojej babki dla jej serdecznej przyjaciółki, Maga Dziekana. Został uratowany z Ambrai. Czy pijasz mocną herbatę?

Sarra odwróciła się i ujrzała Lusirę przy maleńkim stoliku: na kółkach.

- Tak, proszę.

W całkowitej ciszy, zakłócanej jedynie łagodnym tykaniem zegara, dostąpiła przywileju obserwowania, jak Lusira zamienia niewielki rytuał w prawdziwe dzieło sztuki. Delikatnymi palcami wybrała świeże liście, pokruszyła je w przepięknym marmurowym moździerzu, wsypała do torebki z surowego muślinu, lorebkę zaś umieściła w srebrnym imbryczku i zalała wrzątkiem. Czekała, aż herbata się zaparzy, Lusira ustawiła na stoliku porcelanowe filiżanki. Nie było wśród nich dwóch jednakowych, a wybór za każdym razem zależał od intencji gospodarza wobec gościa. Naczynie przeznaczone dla Sarry ozdobił wzór ze snopków pszenicy: atrybut świętego Velireona Przewornego.

Lusira podała jej filiżankę. Sarra przez chwilę napawała się aromatem herbaty, potem wypijała trzy łyki i z aprobatą skinęła głową. Babka odprawiała ten sam rytuał dosyć niedbale, zwykle zbyt zajęta rozmową, by zwracać należytą uwagę na niuanse. Ale niektóre gesty Lusiry, staranne i eleganckie przygotowywanie liści w całkowitym milczeniu, obudziły w pamięci Sarry bolesne wspomnienie matki. Dobre wychowanie nakazywało teraz, aby usiadła przy owalnym stole na znak, że docenia gościnność Lusiry. Ledwie zdążyła zająć miejsce, kiedy gospodyni przemówiła.

- Poszedł zobaczyć się ze swoim synem.

- Ze swoim...?

- Ze swoim synem - powtórzyła - czteroletnim chłopcem, który oficjalnie nie ma ojca. Val musi go odwiedzać w większej tajemnicy, niż kiedy robi coś dla Sprzysiężenia.

- Rozwiedli się? - spytała Sarra i przez myśl jej przeszło: Jak moi rodzice...

- Nigdy nie wzięli ślubu. Ona jest z Krwi. On z Trzeciego Stanu. Od strony prawnej to dziś bez znaczenia, ale względy społeczne... - Lusira urwała i uczyniła drobny, lecz wiele mówiący gest.

- Ojciec ma chyba jakieś prawa... - Sarra była oszołomiona. A Auvry Feiran? Czy on ma prawo widywać mnie albo Caillet?

- Nie, jeśli jego nazwisko nie figuruje w rejestrze urodzin Urzędu Cenzusu.

- Ale to nie w porządku! Każdy, kto nie jest przestępcą ani nie zagraża własnym dzieciom, powinien mieć prawo je widywać!

Nigdy dotąd nie przyszło jej to nawet do głowy. Wśród wszystkich abstrakcyjnych kwestii, o których uwielbiała rozprawiać z Agatine i Orlinem, ta sprawa nie pojawiła się ani razu. Val był jej przyjacielem, problem więc stał się nagle jak najbardziej konkretny. Zaczęła się zastanawiać, jak wiele tego rodzaju społecznych lub politycznych kwestii jeszcze w życiu napotka, tak samo realnych i konkretnych. Gorzej - o ilu nie będzie miała nawet pojęcia, dopóki nie zetknie się z nimi bezpośrednio?

Dbali o jej bezpieczeństwo? Chronili ją? Osłaniali? Trzymali ją w jakimś kokonie! Ale czy wcześniej byłam na to przygotowana? - dumiała. Agatine i Orlin nauczyli mnie myśleć racjonalnie, rozważać problem nie angażując się uczuciowo. Myśli się wtedy jasno, logicznie. Tylko że w ludzkim życiu jest mnóstwo uczuć, splątanych i pogmatwanych, i...

- Valirion jest przestępcą z punktu widzenia Rady. A to zupełnie wystarczy, jeśli chodzi o Krew Firennos.

- Ale to nie jest w porządku - powtórzyła Sarra.

- Jak wiele innych rzeczy.

Poczuła, że drżą jej mięśnie twarzy - widoma oznaka napięcia, doskonale dla wszystkich czytelna, nawyk, którego próbowała się pozbyć - i opanowała się z wysiłkiem.

- Przysięgam, *domna* Lusira, że już wkrótce wszystko będzie nieskończenie bardziej w porządku.

- Ależ jesteś harda! - Lusira roześmiała się, a śmiech ten z pewnością zachwyciłby Sarre, gdyby nie ona właśnie była jego powodem. Poczerwieniała z gniewu. Lecz następne słowa Lusiry uświadomiły jej, że się pomyliła. - Chyba święci na cię zesłali, Sarro Liwellan! Jeżeli ktokolwiek może uczyni lepszym ten żałosny świat, to właśnie ty!

- Bądź tego pewna. Ja... - zaczęła i w tym momencie w głębi domu rozległo się pięć wysokich, przeszywających dźwięków. - Co to było?

Lusira skrzywiła się.

- Czas na śniadanie.

- Znowu? - uśmiechnęła się Sarra, - Brzmi jak dzwo świątyni, zwołujący głodnych!

- Gdybyż to tylko w porze posiłków! - Przyłożyła dłoń do policzka, oparła łokieć na stole i westchnęła. - Biję co godzin

od piątej do trzynastej. To dokładna kopia dzwonu - choć nie tej samej wielkości, świętym niech będą dzięki - od świętej Miramili, niedaleko zaniku Wyte Lynn. Przed wiekami nasz i ód wzniosł ten przybytek, tak więc razem z domem odziedziczyłam - czego co godzina żałuję - ten przeklęty dzwon!

Pół godziny później wszyscy zasiedli przy stole. Nikt nie skomentował nieobecności Vala, jakby nigdy go tu nie było. Za to dołączyło do nich dwóch mężczyzn w czarnych szatach Strażników Magii, obaj nosili zielone szarfy, a na kołnierzach srebrne gałązki - insygnia Magów Uzdrowicieli. Sarra zamierzała zwrócić im uwagę na konieczność zmiany stroju, ale ugryzła się w język. Imiliał się tym zajmie, dzięki czemu Sarra nie będzie zmuszona już na wstępie okazywać im swojej władzy.

Ponieważ w czasie tej podróży to ona miała władzę. Nie ze względu na status Krwi, nie jako Pierwsza Córka lub spadkobierczyni Agatine, ale dlatego że jako jedyna z nich wszystkich nie była ścigana przez Gwardię Rady.

Jak również dlatego że ją ochraniało, żyła w kokonie. Rozumowała jasno i beznamiętnie, jej osądu nie zaciemniały emocjonalne konflikty i kłopoty osobiste.

Wyjawszy uniformy, obaj uzdrowiciele tak się od siebie różnili, jak pary przeciwieństw w „Piosence o Drabinach”. Advar Senison, najmłodszy syn Pierwszej Córki starszej gałęzi rodziny Trzeciego Stanu, był niskim grubaskiem o miłej powierzchowności i różowej cerze, prawdziwie szarmanckim w obejściu. Skłonił się i w wykwinnych słowach złożył uszanowanie damom, wyrażając podziw z powodu wyśmienitego stanu ich zdrowia, co stwierdzał na podstawie nieskazitelnie promiennej cery Lusiry, cudownie błyszczących oczu Imiliał i urzekająco lśniących włosów Sarry.

Elomar Adennos, równie ponury, suchy i nieprzystępny jak rozległa posiadłość jego rodziny Czwartego Stanu w Straconym Kraju, był mężczyzną po czterdziestce, nieco starszym od Advara Senisona. Nie powiedział ani słowa, kiedy go przedstawiano. Nie ucałował ręki żadnej z kobiet. Po prostu stał - wysoki, chudy, ciemny i pospolity jak gliniany talerz - i wydawało się absolutnie niewiarygodne, by mógł stanowić obiekt czyichkolwiek cieplejszych uczuć. Więc gdy Lusira podniosła się z krzesła, chcąc ucałować go na powitanie, Sarra

całkiem zapomniała o dobrych manierach i obserwowała tę scenę szczerze zdumiona.

Po śniadaniu wszyscy przenieśli się do biblioteki. Lusira i Imiliał pisały listy; trzech magów pograżyło się w rozmowie - a ściślej, Solingirt rozmawiał z Senisonem, Adennos zaś siedział i milczał. Sarra przeglądała książki, od czasu do czasu próbując zainteresować Alina jakimś zbiorem pieśni, lecz on ignorował jej wysiłki, siedząc w oknie i wyglądając przez koronkowe firanki na ulicę.

Kiedy o pół do dziewiątej podano do biblioteki skromny obiad, Sarra poczuła się mile zaskoczona, stwierdziła bowiem, że zgłodniała. Val nadal się nie pojawił. Przez głowę Sarry przelatywały wizje najrozmaitszych katastrof, męczyły ją również domysły na temat owego tajemniczego dziecka. Która z córek Krwi Firennos była jego matką? Czy właśnie w tej chwili jakiś zaufany członek rodziny lub niańka wymykała się z dzieckiem na sekretne spotkanie z ojcem? Nie była pewna, czy powinna pytać o to Vala, a nie odważyła się zapytać Alina.

Zapadał już zmierzch, dochodziła jedenasta, a Sarra zaczynała szaleć z niepokoju, kiedy Val wreszcie się zjawił. Na zewnątrz okazywał hałaśliwą beztroskę, ale zdradzały go oczy. Alin wyszedł z nim do ogrodu, w tym czasie reszta czyniła ostatnie przygotowania przed podróżą do Shellinkroth.

Kiedy obaj wrócili, Lusira zaprowadziła wszystkich na górę i wskazała im drzwi, których strzegła para rzeźbionych lwów, siedzących na kamiennym nadprożu.

- „Drabina czeka w jaskini lwa” - szepnęła Sarra do Alina.

Skinął głową.

- Godło rodziny Garvedian, a także kiepski żart. Okrągła Jaskinia lwa” - wyłożona plecionymi matami

z trawy, ozdobiona wspaniałym freskiem, przedstawiającym sawannę Tillinshiru ze skaczącymi galazhi, oraz brązową głową lwa na zatyczce od wanny - okazała się łazienką.

6

Drabina w Shellinkroth była, rzecz jasna, również okrągła. Alin zdołał ją zidentyfikować dzięki wersom, których Sarra nic znała.

- „Piękna pogoda lub niebo w chmurach, Drabinę zdobią srebrne pióra”.

A potem kichnął.

- Powiedz mi, Kanto - spytał Val, pocierając zawzięcie nos - czy położenie Drabiny zależy wyłącznie od poczucia humoru jej twórcy?

- Nie zawsze. - Starzec otrzepał z piór płaszcz i wąsy. - Wykorzystywali to, co mieli pod ręką, a ponieważ gołębnik jest okrągły...

Na ich widok gołębie zatrzepotały z furkotem skrzydłami i uciekły w popłochu.

Przez otwór w kształcie dziurki od klucza - pulchny Advar Senison ledwo zdołał się przecisnąć - wydostali się na zewnątrz, gdzie otoczyła ich cudowna letnia noc. W oddali gwiazdy odbijały się od ciemnej powierzchni morza. Pobliski trakt prowadził w stronę gór Tarre i w odległości mili lub dwóch ginął w pofałdowanym terenie.

- Odnoszę wrażenie, że Drabiny na odludziu są jednak najlepsze - powiedziała Imilial Gorrst, wyjmując pióra z włosów. - Wolę nie myśleć, co by było, gdyby na przykład ktoś pojawił się w łazience Luse, a ona brałaby właśnie kąpiel.

- Więc o tym nie myśl - odparł Val. - Za to ja będę marzył.

4 - Wyprawa

49

W delikatnej, białobłękitnej poświacie swojej Kuli Ma-| gicznej Elomar Adennos zmierzył go długim, miazdzącym spojrzeniem. Val natychmiast zamilkł. Alin chrząknął, drgające kąciki jego ust zdradzały rozbawienie. j

- Hodowca gołębi przychodzi tu kilka razy w tygodniu -\ powiedział do Sarry. - Ale tej nocy go nie ma. Zaczekamy! w jego domku do świtu, a potem ruszymy do Havenportu.

Sarra na śmierć zapomniała o statku, którym rzekomo? płynęła do Ryki. A w ogóle to jaki właściwie był dzień?

Wyraz złośliwej radości na twarzy Vala uświadomił jej, żej zadając to pytanie, popełniła błąd. j

- Noc, kiedy opuściliśmy Roseguard, licz jako pierwszą; lub dziewiątą Przyłotu Zięby. Pierwszą, drugą i trzecią, czyli dziewiątą, dziesiątą i jedenastą, oraz czwartą, będącą zarazem pierwszą nocą Palenia Świec, spędziliśmy w Kenrokeshir. Straciliśmy piątą - czyli drugą - pomiędzy Kenroke a Cant-; rashirem. O pół do jedenastej nocy szóstej - lub trzeciej — wyruszyliśmy z Cantry i znaleźliśmy się tu o pół do pierwszej tego samego dnia, a to znaczy, że dogoniliśmy noc, którą wcześniej straciliśmy.

- Ktoś może ma trudności ze zrozumieniem? - spytał niewinnie Alin.

- Bardzo śmieszne - warknęła Imilial.

Lecz kiedy Advar Senison spytał prostodusznie: - Ale jaki właściwie mamy dziś dzień? - Alin zakrył dłonią usta Valowi.

Położony nie opodal domek, prosty i skromny, miał palenisko i dziurę w dachu zamiast pieca z kominem oraz zwyczajną skrzynię służącą za łóżko. Siedem osób z najwyższym trudem zdołało się tam pomieścić. Po sześciu dniach - a może czterech? Ile ich w końcu upłynęło? - Sarra zaczynała mieć wielką ochotę na kąpiel.

Z braku miejsca nie bardzo mogli zająć się czymkolwiek poza rozmową. Imilial chyba nie miała na to wielkiej ochoty, oddała się bowiem bez reszty polerowaniu miecza i najrozmaitszych noży, które dobywała z najbardziej nieprawdopodobnych miejsc na swoim ciele. Obaj uzdrowiciele zdecydowali się wreszcie ukryć swoje nieszczęsne szarfy i odznaki za podszewkami płaszczy. Kanto Solingirt wyciągnął się na posłaniu z rękami złożonymi na piersi; wyglądał w tej pozycji jak ciało przygotowane do spalenia. Val, który pełnił wartę, tkwił

nieruchomo na skale przed domkiem. Toteż Sarra upatrzyła sobie Alina i podeszła do niego z zamiarem uzyskania nowych informacji.

Zmarszczył brwi na jej widok, lecz ona nie należała do osób, które łatwo zrazić.

Usiadła tuż przed nim na drewnianej podłodze i otworzyła usta, by zadać pierwsze pytanie.

- Val pewnie napiłby się herbaty - powiedział Alin, zabrał do połowy opróżniony kubek i wyszedł.

Sarra zrobiła kwaśną minę, złapała płaszcz i ruszyła za nim.

- Wiecie, że musimy porozmawiać - zakomunikowała im obu. - Jest wiele do zrobienia, a ja muszę się jeszcze niejednego dowiedzieć, nim będziemy mogli zacząć działać.

- Jest zimno, *domna*. Wracaj do środka - powiedział Alin. Wybrała sobie miejsce na skale i usiadła.

- Wiem, że szukamy magów, ale dlaczego właśnie tych, a nie innych?

Alin wyciągnął się na ziemi, opierając plecy o kolana Vala.

- Możemy porozmawiać o tym później.

- Porozmawiamy o tym teraz.

- Czego nie wiesz, tego nikomu nie powtórzysz. - Wzruszył ramionami.

Sarrę aż zatkąło.

- To znaczy, że mi nie ufacie!

- Wiesz dosyć, by narazić na niebezpieczeństwo Vala i mnie - nie wspominając już o Lusirze Garvedian. Jeżeli coś się stanie...

- Dość - powiedział cicho Val. - Ona ma rację, Alinie. Powinna wiedzieć.

- Nie ma pośpiechu.

- Czyżby? Na statku ma zamknąć się w kabinie i udawać chorą. W Ryce zobaczymy się z nią dopiero przed wyjazdem, a potem znów będziemy uganiać się z wywieszonym językiem po całym Lenfell. Równie dobrze możemy mieć to już za sobą.

Alin odchrząknął i objął ramionami kolana.

- Więc jej powiedz.

- Wielkie dzięki za łaskawe pozwolenie, *domni*. Sarro, magowie, których zabieramy do Roseguardu, to najlepsi, jakich możemy znaleźć. Scholarzy, Uzdrowiciele, Rycerze,

czasem nawet zwykli Strażnicy. Ale wszyscy postawili sobie za cel obalenie Annyas. Ponieważ wszyscy dobrze znają Panów z Malerris.

Sarra przytaknęła.

- A zatem pogłoski są prawdziwe i wielu z nich ocalało.

- Och, poświęcili kilka tuzinów, kiedy spłonął zamek. Starych, niedołączonych i takich, którzy nie byli duszą i ciałem oddani Annyas...

- Zaczekaj chwilę. Zawsze wiedziałam, że działają razem, ale... - Mróz przeszedł Sarre aż do szpiku kości. Kiedy nawiedzały ją przecucia, zwykle przewalały się przez jej umysł jak gwałtowny gorący wiatr, który wymiata fałszywe i przypadkowe skojarzenia. Tym razem było inaczej, czuła palące zimno, wszechprzenikające i nieubłagane, jak lodowiec w Widmowych Górach.

- Błogosławiona święta Rillo! - wyszeptała. - Annyas jest jedną z nich! Jest Magiczna!

- Tak - powiedział Alin niemal szeptem. - A wiedząc o tym, jesteś w większym niebezpieczeństwie, niż możesz sobie wyobrazić. Gdyby Feiran choćby podejrzewał, że o tym wiesz, już byś nie żyła. Rozumiesz teraz, dlaczego nieświadomość jest twoją najlepszą obroną?

Sarra prawie go nie słyszała. Słowa wypadały z jej ust z taką szybkością, jak gdyby dźwięki uciekały w popłochu przed śmiertelnym zimnem.

- Kiedy wiele lat temu Annyas szła na czele gwardii przeciwko samozwańczemu Wielkiemu Księciu Domburron-shiru, wszystko zostało z góry ukartowane.

Zdobyła tak wielką sławę i tak wielką władzę, że mogła osiągnąć swój cel -zostać Pierwszą w Radzie. W ten sam sposób zniszczyła zamek Malerris i Ambrai... -

Zabrakło jej tchu, mróz ściał jej wargi i nie mogła powiedzieć już nic więcej.

Alin patrzył na nią, jakby postradała zmysły. Ale Val kiwał głową.

- Tylko pomyśl, Alinie - powiedział. - Z tego samego powodu zniesiono stany i dlatego prześladowani są Strażnicy Magii. To wszystko część jednego wielkiego planu, którego istotnym celem jest wyodrębnienie i unicestwienie Magicznych.

- Kto ci to powiedział? - dopytywał się Alin. - I dlaczego j u nic o tym nie wiem?

- Nieświadomość jest najlepszą obroną - zacytował Val jego własne słowa. - I jeszcze ostatnia rzecz, Sarro. Gdy znikną już wszystkie czary, pozostaną jedynie Panowie z Malerris. Nikt się im nie przeciwstawi i nikt ich nie powstrzyma.

Sarra zdołała jakoś odzyskać głos - i usłyszała, jak opada do przerażonego szeptu, gdy wypowiadała następne słowa.

- Ale przedtem czary znów muszą okazać się potrzebne. Historia dała tego przykład. Dwukrotnie.

Valirion nie zdołał powstrzymać okrzyku zdumienia. Alin poderwał się na nogi, zupełnie jakby chciał uciec przed ostateczną i oczywistą konkluzją.

- Valirionie... Alinie... nastąpi trzecia inwazja widmobe-
stii.

Strach na bladej twarzy Vala uświadomił jej, że o tym mu nie powiedziano. Być może, nie wiedział tego nawet Gorynel Desse.

Ale Sarra była tego pewna. Dały o sobie znać jej surowe czary, zimne, ciemne i bolesne. Pozwoliły jej ujrzeć prawdę.

- Któż inny mógłby je wezwać, jeśli nie ci, którzy w zamierzchłych czasach powołali je do życia? - spytała głuchym głosem. - A kiedy cały świat ogarnie groza, tysiące ludzi umrą, a po Strażnikach Magii pozostanie już jedynie wspomnienie, wtedy zjawią się ponownie Panowie z Malerris i dostaną wszystko, czego tylko zapragną, w zamian za przepędzenie potworów z powrotem w Widmowe Góry i... och, nie, nie...

Alin przypadł do Sarry i podtrzymał ją pod ramiona, a Val zaczął wlewać jej do gardła letnią herbatę. Zakaszła, odsunęła ich na bok i powiedziała chrapliwie:

- Nic mi nie jest. Po prostu... od czasu do czasu to przychodzi bez ostrzeżenia...

- To twoje czary usiłują się wydostać - mruknął Alin. Ogrzewał jej dłonie w swoich.

- Wiem, jak to jest.

- Dosyć - rozkazał Val. - Musisz to przespać. Alinie, zaprowadź ją do środka.

Sarra się nie broniła. Coś takiego jeszcze nigdy się jej nie przydarzyło. Proszę, niech tak się nie dzieje z Caillet, błagała

tego świętego, który gotów był jej wysłuchać. Niech Caillet nie j cierpi. j
Lecz kiedy zwinęła się w kłębek na drewnianej podłodze, ! przykryta płaszczem
swoim i Alina, daremnie próbując się! ogrzać, jej przeczucia - jej czary - krzyczały
do niej, by] odnalazła Caillet i zabrała ją w bezpieczne miejsce. Bo gdy' pojawią się
widmobestie, nastąpi to w Straconym Kraju. Tamj gdzie jest Caillet. Gdzie nie
powinno jej być.

7

Od morza dzieliła ich znacznie większa odległość, niż można było wnioskować patrząc ze stoków gór. Pierwszego dnia wędrówki Sarra trzymała się na uboczu, prawie się nie odzywała i tylko posiłki jadła wraz z innymi. Na skutek forsownego marszu po nierównym terenie bolały ją wszystkie mięśnie i stawy, zwłaszcza kolana, w nocy powinna więc spać jak zabita. A jednak miała sny, budziła się zrana potem i zupełnie nie pamiętała dręczących ją koszmarów.

Zmierzali w kierunku Havenportu, gdzie oczekiwał na nich kolejny towarzysz podróży: Lusath Adennos, kuzyn Elomara, Mag Scholar w mocno podeszłym wieku, który został dziekanem po śmierci Lenina Garvediana. Sarra żywiła w stosunku do niego mieszane uczucia. Jego reputacja jako człowieka, maga i scholara była w najlepszym razie wątpliwa. Sarra nie bardzo wiedziała, dlaczego podejmują aż takie ryzyko, aby sprowadzić go do Sheve. Lecz mimo wszystko był dziekanem, wiedział zatem rzeczy znane jedynie dziekanom, a poza tym ratowanie dziekana należało do obowiązków wszystkich Strażników Magii. Nawet jeżeli był głupcem.

- Jak ci się zdaje, czemu go wybrano? - spytała Imilial, kiedy Sarra poruszyła ten temat. Obie korzystały właśnie ze słonecznego popołudnia i pobliskiego strumienia, aby się umyć, a także wyprać ubrania, które bardzo potrzebowały takiego zabiegu po długiej podróży. - Dziekan sprawi nam trochę kłopotów. Tato go nie znosi. Elomar nawet się do

53

niego nie odezwie, chociaż są blisko spokrewnieni... - Urwała. - Co prawda, Elo nie mówi zbyt wiele do nikogo.

- Z wyjątkiem Lusiry Garvedian? - spytała Sarra niewinnie.

Imi zachichotała.

- Święci, nie mówmy o tym!

- Powiedz mi, dlaczego Lusath Adennos został dziekanem?

- Cóż, czy po tej wścieklej jędzy Leninor mógł być ktoś bardziej odpowiedni niż zgrzybiały, nieudolny scholar?

Sarra uważała tę charakterystykę za nieco przesadzoną, nie powiedziała tego jednak, musiałaby bowiem wyjaśniać, skąd zna ostatniego dziekana. Skoro tyle rzeczy trzyman dotąd przede mną w tajemnicy, ja też zachowam coś dla siebie jeszcze przez jakiś czas, zdecydowała. Moja cierpliwość już si wyczerpuje!

Ukryła uśmiech i uklękła nago na dużym, płaskim kamieniu, by wypłukać w potoku koszulę.

- Nie rozumiem tylko, co on takiego wie, czego ni możemy dowiedzieć się od innych. Alin jak nikt inny zna si na Drabinach, twój ojciec jest wybitnym uczonym - Va powiedział, że zabieramy najlepszych Strażników Magii.

- Tak powiedział? - Imilial ochlapała wodą swoje umięśnione ciało i wzdrygnęła się.

- Uff, zimna! Chciałabym już by w Ryce i wziąć gorącą kąpiel.

Sarra marzyła o tym samym, lecz należało wykorzysta każdą możliwość zmycia z siebie zaschniętego potu po nocnych koszmarach.

- Dlaczego zabieramy ze sobą dziekana?

- Ponieważ są rzeczy, o których wie tylko dziekan. Ni zasiadam w Radzie Magów, więc niewiele więcej mogę na te temat powiedzieć. Ale jest jakiś rodzaj rytualnych czarów które dają dziekanowi wyjątkową siłę. Co nie znaczy, że Adennos ma na tyle odwagi - lub rozumu - aby się nią posłużyć. Jeśli chodzi o mnie, to wołałabym widzieć na ty miejscu kogoś młodszego i zdolniejszego, jak Ilisa Neffe lu jej mąż Tamosin Wolvar. Kogoś, kto nie boi się Anniyas.

- Jak ty.

- Ja? - roześmiała się Imilial. - Sarro, są dwa rodzaj Magów Rycerzy. Tacy jak Gorynel Desse, który znakomicie włada mieczem, lecz rzadko go używa - ponieważ dobyte

broni uważa za porażkę. I tacy jak ja - jestem szybka i poryw-cza, a kiedy się nudzę, mogę wdać się w bójkę tylko po to, **żeby** usłyszeć szcęk mieczy. Gdyby Val był Magiczny, znalazłby się gdzieś pośrodku - wykorzystuje swoją przewagę, nie daje za wygraną, ale specjalnie się nie naraża.

~ A Desse? Czy jest już za stary, by zostać dziekanem?

- To jeden z powodów. Słyszałam plotki... - poruszyła nerwowo nagim, muskularnym ramieniem. - Jeden z jego projektów okazał się zupełnie chybiony. Rada Magów od początku sprzeciwiała się realizacji zamysłu, a kiedy wszystko skończyło się fiaskiem, nie mogli Dessemu tego darować.

Sarra rozmyślała o tym przez chwilę i właśnie miała zadać następne pytanie, gdy Val zawołał do nich z przyzwoitej odległości:

- Niżej znaleźliśmy jezioro! Czy panie mają ochotę popływać pierwsze?

- Nie jest to wprawdzie gorąca kąpiel - zauważyła Imi -ale ja idę. Jeżeli nie umyję głowy, będę się tak drapać, że wyłysię.

Rozwiesiły uprane rzeczy na krzakach i zeszły w dół strumienia. Sarra ani przez moment nie pomyślała, że któryś z mężczyzn mógłby je podglądać, takie rzeczy po prostu się nie zdarzały. Umyła włosy, a potem, w ślad za Imi, położyła się na plecach, pozwalając, by unosiła ją woda, i oddając się marzeniom pod nieskazitelnie błękitnym niebem.

Nagle jej uwagę przyciągnęło zamieszanie na brzegu. Alin krzyczał z oburzeniem, a wtórował mu scholar Solingirt. Obie kobiety stanęły na dnie - Imi woda sięgała po szyję, natomiast Sarra musiała wspiąć się na palce, żeby utrzymać brodę na powierzchni - a w tej samej chwili Valirion wybiegł z krzaków i runął płasko do wody niczym zwalone drzewo, nagi jak w dniu, kiedy Stefana Maurgen wydała na świat jego oraz jego brata bliźniaka Birona.

Śmiejąc się, wypłynął na powierzchnię.

- Nie wyglądało na to, że w ogóle macie zamiar stąd wyjść! Kurtuazja wobec dam może poczekać, dopóki nie będę czysty!

Imilial skoczyła na niego i zanurzyła go z głową pod wodę. Do walki przyłączyła się wkrótce Sarra... oraz Alin, który z krzykiem ruszył na pomoc Imi. Pulchny, różowy

Advar

Senison wyszedł ostrożnie na kamienisty brzeg, skromni zakrywając rękami podbrzusze, zamoczył palce jednej nogi, a potem nagle zamachał ramionami jak wiatrak i runął w dół, bo Elomar Adennos - właśnie on! — zepchnął go do wody. Kiedy obaj włączyli się do hałaśliwej bijatyki, Sarra była szczerze zdumiona, że ponury uzdrowiciel potrafi chichotać jak mały chłopiec. Zaczynała rozumieć, co widzi w nim Lusira.

Ona natomiast widziała więcej - i bardziej interesujących - szczegółów męskiej urody niż kiedykolwiek w swy życiu. W pierwszej chwili uznała to za zniewagę, że mogli ta beztriosko pokazać się nago kobietom, a zwłaszcza kobieci o jej pozycji społecznej; potem czuła się zakłopotana, lecz w końcu jej również udzieliła się atmosfera radosnej zabawy, niebawem więc wszyscy razem śmiali się i dokazywali ja rozbrykane dzieci.

Sarra i Imi okazały się jednak na tyle dobrze wychowane, że odwróciły się plecami, kiedy mężczyźni wyszli na brzeg, ab się ubrać. Gdy znów spojrzały w tamtą stronę, zobaczył jeszcze nagie plecy Vala znikającego w krzakach.

- Ładna pupka, Val! - krzyknęła Imi. - Alin ma szczęście! Sarra zakrztusiła się ze zdumienia i ze śmiechu. Ma

Rycerz zerknęła na nią z ukosa.

- Mężczyźni, moja droga, są jak kwiaty - powiedziała - żyją na tym pięknym świecie po to, aby się nimi zachwycano. Jeśli kobiety nie podziwiają ich najbardziej godnych uwag walorów, marnieją jak róże w skwarny dzień, tęskniąc za wodą.

Za wodą, powiadasz? - spytała Sarra słodkim głosem. - Nie chodzi ci raczej o nawóz?

- Słyszałem to! - zawołał Val z krzaków.

Później, gdy szły w górę strumienia po schnące ubrania Sarra rozmyślała o... walorach... czterech mężczyzn i uznała, że w istocie jest co podziwiać. Zdaniem Tarise Elomar Adennos byłby z pewnością zbyt chudy, lecz Sarra patrzyła z uznaniem na jego mięśnie i smukłe kończyny. Valirion był przystojny i wiedział o tym, a chociaż uwagę Imi zwróciły przed wszystkim jego pośladki, Sarra uważała, że chłopiec ma bardzo piękne ramiona. Podobał jej się Advar Senison - wcał nie wydawał się gruby, a jego jędrne ciało okrywała gładka,

połyskująca od wody skóra. Alin, choć dobrze zbudowany, był szczupły i w talii wąski jak dziewczyna. W wieku dojrzałym stanie się zapewne podobny do swego brata, Taiga. Zaczęła rozmyślać o tym, jak Taig wygląda nago - a potem potknęła się o kamień i z pluskiem wylądowała w strumieniu, gdyż wyobraźnia ukazała jej nagle miedziane włosy, intensywnie niebieskie oczy i zadowoloną z siebie twarz tego ohydneho minstrela.

- Ostrożnie - powiedziała Imilial, wyciągając rękę, by pomóc jej wstać. - Te kamienie porasta mech, zwany Włosami Mittru. Łatwo się na nim poślizgnąć. Odnalazły swoje rzeczy i ubrały się powoli, rozgrzane i rozleniwione słońcem popołudnia. Sarra usiadła na skale i z zamkniętymi oczami rozczesywała mokre włosy.

Nagle Imilial powiedziała:

- Święci, chciałabym spędzić godzinę sam na sam z naszym Advarem. Nigdy bym nie przypuszczała, że ma takie ładne kolana!

- Chcesz powiedzieć, że patrzyłaś niżej niż...

- Sarro! - Mag Rycerz udała zgorzienie, a potem wybuchnęła śmiechem. - Jesteś stanowczo za młoda na takie uwagi!

- Cóż, raczej trudno było tego nie zauważyć - odparła Sarra niewinnie. I dodała po chwili wahania: - Imi, dlaczego Alin jest inny?

Imilial udała, że nie rozumie pytania.

- Co Alin?

Sarra odchrząknęła.

- Hmm... jego... sama wiesz.

Mag Rycerz uśmiechnęła się przez ramię.

- A gdzie ty patrzyłaś, dziewczyno? Sarra spłonęła rumieńcem.

- Jest inny - powtórzyła z uporem.

- Dlaczego inny? Większy? Powiem ci, to nie ma znaczenia. Prawdę mówiąc, najprzyjemniejsze w życiu chwile spędziłam z mężczyzną, który nie miał dłuższego niż...

- Imi! - Sarra ochlapała ją wodą. - Wiesz, o co mi chodzi. Imilial zlitowała się wreszcie nad Sarrą.

- To taki zwyczaj Ostinów i kilku innych rodzin. Ten kawałek skóry obcina się zaraz po urodzeniu. Nikt nie wie dlaczego. A ponieważ nie zmniejsza to przyjemności kobiety,

nikt się tym specjalnie nie przejmuje. - Roześmiała się cicho. - Możesz mi wierzyć, jeżeli chodzi o przyjemność. Zaspokoiwszy ciekawość, Sarra kiwnęła głową.

- Imi... czy myślisz, że mężczyźni rozmawiają o kobietach w taki sposób, jak kobiety o mężczyznach? - spytała po chwili.

Imiliał zamyśliła się na chwilę.

- Wiesz, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Niewątp[^] liwie robią jakieś uwagi, ale... Ci dobrze wychowani z pewnością nie mówią na takie tematy. To nie uchodzi. Niektórzy mężczyźni zapewne rozmyślają o nas w ten sposób, ale nigdy o tym nie rozmawiają.

- Kiedy mówią komplementy, zawsze dotyczą one oczu, warg i włosów, nic ponadto - zadumała się Sarra. -- Wszystkie ballady są takie same, czasem pojawiają się jeszcze stopy, jeżeli bard ma więcej śmiałości.

- Mówienie o tym, co znajduje się poniżej szyi, jest w złym guście - zgodziła się Imiliał. - A sam pomysł, że oni mogliby powiedzieć o nas to, co ja powiedziałam na temat Vala, też jest w złym guście!

Kiedy ubrane i uczesane dołączyły do mężczyzn, Kanto Solingirt tak smacznie spał, że nikt nie miał serca go niepokoić. Mężczyźni zajęli się więc uzupełnianiem zapasów żywności. Advar Senison poszedł na ryby, a pół godziny później zniknęła również Imiliał. Sarra uśmiechnęła się pod nosem.

Tego wieczoru urządzili sobie ucztę z ryb przyprawionych ziołami i pieczonych na świeżych liściach, przepysznych duszonych jarzyn i jagód w likierze, które przyrządził uzdrowiciel Adennos (miał butelkę brandy „tylko do celów medycznych”). Spali pod gołym niebem, a Sarra nie miała żadnych snów.

8

Następnego dnia kontynuowali marsz w kierunku morza i minęli po drodze piękną, małą kaplicę Wszystkich Świętych. Jej trójkątny przekrój świadczył, że została wzniesiona wiele stuleci temu. Sześć smukłych drewnianych kolumn, po jednej w każdym rogu i w środku każdego z boków, zdobiły płaskorzeźby i malowidła przedstawiające atrybuty świętych. Sarra widziała podobną kaplicę z marmuru na wzgórzu opodal Firrense, tyle że tamta posiadała jeszcze dach. Tutaj go nie było.

- Myślisz, że jest bardzo stara? - spytała Imilia ojca. Alin i Val nie przestali iść, natomiast Sarra zatrzymała się

wraz z magami. Chciała usłyszeć odpowiedź, chociaż doskonale wiedziała, że pytanie stanowiło tylko pretekst, by scholar mógł chwilę odpocząć.

- Policz świętych - odparł. - Jest więcej niż trzydziestu czterech, zatem kaplicę wzniesiono przed ustanowieniem oficjalnego kalendarza.

- Sądziłam, że wiek można określić na podstawie kolumny obok wejścia - wtrąciła się Sarra. - W Gierkenshir wyrzeźbiony jest na niej Fielto, mówią, że jest bardzo stara. A na pewno bardzo piękna, cała z marmuru.

- Jeżeli to zielono żyłkowany kamień z Bleybradden, można ją datować na rok 550 lub coś koło tego. Wcześniej nie korzystano z tamtejszych kamieniołomów. -

Solingirt uczynił niecierpliwy gest. - Czytając książki, zapamiętuje się takie dziwaczne rzeczy. W towarzystwie strasznie się ośmieszam.

-Mama zawsze mówiła, że w ciągu minuty potrafisz wypłoszyć z domu wszystkich gości - docięła mu córka czule.

Insigniami Maga Uzdrawiciela były gałązki z wieńca świętej Feleris, toteż Advar Senison zaczął zrywać rosnące w pobliżu polne kwiaty, najwidoczniej mając zamiar ofiarować je patronce lekarzy. Sarra też postanowiła uczcić swoją świętą - a przy okazji również Caitiri Płomiennooką.

- Nie podchodź tam! - krzyknął Alin.

Sarra, która z wrażenia wyrwała kwiat z korzeniami, wyprostowała się i popatrzyła na Alina.

- Co?

- Słyszałaś, co powiedziałem! Nie zbliżaj się! - zawołał przez ramię, idąc dalej przed siebie.

I wtedy Elomar Adennos wypowiedział pierwsze pełne zdanie, jakie Sarra usłyszała z jego ust.

- Wewnątrz jest Drabina.

- Malerryjska Drabina - dodała zmieszana Imilial, wskazując rzeźbioną kolumnę. Gdy Sarra zmrużyła oczy przed blaskiem słońca, dostrzegła wyrzeźbione w drewnie Krosna Chevasto, z nawiniętą na czólenka nicią, gotowe do pracy. Wyżej, ponad górskim wodospadem, wznosiły się wieże i iglice potężnego zamku w Seinshir; tę scenę i jej znaczenie trudno było z czymkolwiek pomylić.

Mimo wszystko ruszyła w tamtą stronę ze swoim mizernym bukietem. Po chwili Advar Senison poszedł w jej ślady. Znalazła właściwą kolumnę - Amarylis Caitiri został wyrzeźbiony tuż pod Wieńcem Siralli. To dobry znak, że są razem, powiedziała sobie i odważnie złożyła swój dar.

Zawahała się, a potem zajrzała do środka. Jak można było oczekiwać, na podłodze powtarzał się kolisty wzór. Niemal wszystkie kręgi ułożono z kafli, leżały na nich źdźbła trawy i kwiaty. W samym środku połyskiwał w słońcu pusty miedziany krąg, wystarczająco duży, by mogło w nim stanąć czterech lub pięciu ludzi.

- Sarro! - krzyknął Val. - Wracaj! Zamek Malerris spłonął wiele lat temu! Drabina jest martwa!

Nie, nie jest, pomyślała, a lodowaty pot spłynął jej po plecach. Wypolerowana do połysku miedź lśniła nieskazitelnym blaskiem. Jeżeli Drabina na drugim końcu była rzeczywi

ście martwa, to dlaczego krąg utrzymywano w tak dobrym stanie?

Ruszyła szybkim krokiem, by zrównać się z Valem i Alinem.

- Co się stanie, gdy ktoś spróbuje posłużyć się jedną Drabiną z pary, jeśli druga została zniszczona?

Alin obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

- Masz ochotę się przekonać? - spytał łagodnie Val. - . Wyczuwałaś czary wokół Drabin, których używaliśmy dotąd, prawda? To zakłęcie ochronne, a zarazem niezbędny element połączenia między dwoma konkretnymi miejscami. Jeśli na jednym końcu nie ma czarów, nie ma połączenia. Trafisz donikąd.

- Znajdziesz się wśród świętych albo wśród widm - dokończył za niego Alin. - A jeśli o mnie chodzi, to nie widzę specjalnej różnicy!

Znów zachowywali się bardzo niegrzecznie, lecz ona raz jeszcze zdecydowała się odłożyć reprimendę na bardziej stosowny moment.

- Wiemy, dokąd prowadzi Drabina. Do zamku Maler-ris. - Sarra chwyciła ich za ręce, aby się zatrzymali. I, z powodu podniecenia fałszując bardziej niż zwykle, zaśpiewała: - „Zima czy jesień, jesień czy zima, w miedzianym kręgu stoi Drabina”.

- No i co? - spytał Alin opryskliwie. Opisała miedziany krąg we wnętrzu kaplicy.

- Dlaczego jest tak starannie utrzymany, jeżeli Drabina na drugim końcu nie działa?

- Może oczyścili go pasterze?

- Skoro tak, Alinie, to dlaczego nie oczyścili pozostałych? Dlaczego tylko miedziany krąg? Czy znasz jakieś inne miejsce, gdzie użyto miedzi do ozdobienia podłogi?

- Może to być znak cechu kamieniarzy albo snycerzy, albo jeszcze coś innego.

- Czego się tak boisz? Jeśli to jest Drabina i jeśli jest sprawna, to...

Alin wyszarpnął dłoń z jej uścisku.

- Ponieważ ten cholerny mag, który wtłoczył we mnie tajemnicę Drabin, aż się nią zadławiłem, powiedział mi również o kilku znanych sobie, a nie posiadających pary

- i kiedy

pewnego razu próbowałem dopasować do siebie dwie Drabi-; ny, Val i ja o; mało nie zginęliśmy!

Oddalił się pospiesznie, pozostawiając oniemiałą Sarrę.

- Rozumiem twoją ciekawość - powiedział cicho Val - ale ty też musisz zrozumieć jego opory.

Kiedy zatrzymali się na noc, Alin usiadł na uboczu, zupełnie sam. Owinął się ciasno w koc, z dała od ognia. Nawet Val nie próbował się do niego odzywać.

Był wczesny świt, kiedy gwałtowne potrząsanie za ramię wyrwało Sarrę ze snu.

- Odejdź - wymamrotała.

- Zbudź się, Sarro! - Alin nie dawał za wygraną. - Wiem, o którą Drabinę chodzi.

Otworzyła oczy, wciąż na wpół zamroczona. Kilka delikatnych promieni słońca przebiło się przez gałęzie drzew, zdawały się szukać jasnych włosów Alina. Ma włosy złote zupełnie jak Caillet, pomyślała Sarra i natychmiast się obudziła.

- Znam uzupełniające linijki. „Wiosna czy lato, lato czy wiosna, obok Drabiny huczy wodospad”. Widziałem we śnie wodospad, a ponad nim zamek Malerris.

Takie sny zawsze mnie przerażają. Stąd wiem, że to jedna z Drabin bez pary. To musi być ta, Sarro.

- Ale są tuziny zwrotek, a sam mówiłeś, że masz wątpliwości co do niektórych. Skąd zatem wiesz, że ta z wodospadem...

- Wydawało mi się, że to ty chciałaś spróbować!

- Nie waż się znów na mnie warczeć - ostrzegła, zupełnie tracąc cierpliwość. Tuż obok Adennos poruszył się we śnie. Sarra ściszyła głos. - Pomóż mi wstać, zeszywniałam z zimna.

Kiedy oddalili się trochę od reszty, podjęła:

- Przekonaj mnie. Zaśpiewaj wszystkie zwrotki, jakie znasz, powiedz mi, które Drabiny pasują do siebie, a których nie jesteś pewien, a wówczas może wrócimy do kaplicy... -Urwała raptownie i potrząsnęła go za ramię. - Łaskawa święta Sirallo!

Płaskorzeźba!

- Jaka płaskorzeźba?

- Na kolumnie, przy wejściu! Krosna Chevasto, czólenka - a wyżej zamek Malerris nad wodospadem!

Alin pokiwał głową, jego jasne włosy błyszczały w świetle przedświtu.

- A więc dobrze. Zostawię Valowi wiadomość, potem wrócimy tam i...
- Jeszcze czego - powiedział Val za jego plecami. Odwrócili się oboje. Wzrok Vala poraził Sarę jak grom.

Val był zły na Alina, który chciał wypróbować Drabinę, ale przede wszystkim wściekły na Sarę, ponieważ ją znalazła. Miał jednak na tyle przyzwoitości, by nie skupiać gniewu na niej. Nawet zrobiło się jej żal Alina, który musiał przyjąć na siebie cały impet tego wybuchu, chociaż groźna postawa Vala i wyraz jego oczu sprawiły, że też miała ochotę cofnąć się o krok.

Alin złapał kuzyna za ramię.

- Wiem, dokąd prowadzi Drabina!
- A tę pewnoś dał ci głupi rym w dziecinniej piosence! Chyba oszalałeś!
- Tę pewnoś dały mi koszmary senne, które męczą mnie od lat - pamiętasz moje koszmary, Val.

- Lepiej od ciebie. Budziłeś się zlany zimnym potem, drżałeś tak, że aż łóżko się trzęsło, ledwo wiedziałeś, jak się nazywasz...

- Wodospad był jednym z najgorszych. - W głosie Alina pojawiła się błagalna nuta. - Jeśli go odnajdę, upewnię się, to może już nigdy mi się nie przyśni. Po wszystkich tych latach, Val, właśnie ty powinieneś wierzyć mi na tyle, by...

- Wierzę tylko, że zobaczę twoje kiszki rozciągnięte na Wielkich Krosnach!

W tej chwili zupełnie nie przypominali Agatine i Orlina. Ich głosy brzmiały w jej uszach tak, jak głosy rodziców w tamtych strasznych dniach, zanim ojciec wyjechał i zabrał ze sobą Glenin. Sarra opanowała dreszcze i próbowała im przerwać.

- Wracamy do kaplicy, żeby potwierdzić nasze przypuszczenia.

Nie do wiary, ale Val podniósł głos również na nią.

- Macie zamiar wypróbować Drabinę, nie zaprzeczaj! Jesteś równie głupia jak on! Krew! Wszyscy jesteście tacy sami!

Miarka się przebrała. Jak dotąd niewiele osób odważyło się odezwać do Sarry takim tonem - a już żaden mężczyzna - w dodatku wszystkie tego pożałowały.

5 - Wyprawa

I nagle zobaczyła, że Alin leciutko się uśmiechnął. Zdumiona, potrzebowała kilku chwil, aby się zorientować, że już po wszystkim. Val skapitulował w jedyny możliwy dla siebie do przyjęcia sposób. Był bardzo dziwnym człowiekiem, równie nieustępliwym jak babka Allynis.

Sarra nie zniżyła się do tego, by potraktować go niegrzecznie, chociaż została sprowokowana. Musiała jednak okazać jakoś swe niezadowolenie, toteż jej następne słowa zabrzmiały niczym rozkaz.

- Idziesz z nami.

Popatrzył groźnie, wysuwając do przodu podbródek.

- Gdzie on, tam i ja.

- Obaj pójdziecie tam, gdzie ja powiem - upomniała go Sarra. - Alinie, powiedz Imi, że dogonimy ich jutro. Ustal czas i miejsce spotkania w Havenporcie. Val, potrzebujemy jedzenia i wody. Nie za dużo, żeby tylko coś przegryźć. Ruszajcie się!

9

Do trójkątnej kaplicy Wszystkich Świętych dotarli wczesnym przedpołudniem. Płaskorzeźba wyglądała dokładnie tak, jak Sarra ją zapamiętała. Alin przez całą minutę wpatrywał się w środkową kolumnę, nim skinął głową na znak potwierdzenia.

- Kiedy śniłem, to było tak, jakbym sobie przypominał -powiedział. - Kolor i dźwięk, nawet rozpryskujące się krople. Ale kąt jest ten sam, ta sama perspektywa.

- Czułeś to wszystko we śnie? - spytała Sarra.

- Scholar wyjął wspomnienia wprost z innego umysłu i umieścił je w moim. - Powoli odszedł od kolumny, pochylił się i zaczął zrywać polne kwiaty, rosnące wśród gęstej trawy. -Gorynel Desse powiedział mi później, że tajemnicę Drabin przekazywano w ten sposób przez całe stulecia, być może od czasu Straconej Wojny. Wtedy było tak wiele Drabin, Sarro! Czasem mi się wydaje, że w każdej wiosce, choćby najmniejszej, musiała znajdować się przynajmniej jedna.

- To dlatego tak dużo podróżujesz - domyśliła się. -Zawsze może się zdarzyć, że odkryjesz kolejną Drabinę.

- Nigdy tak o tym nie myślałem, ale chyba masz rację. Chociaż wcześniej nic takiego mi się nie zdarzyło. - Wyprostował się, ściskając w dłoni łodygę kwitnącego łubinu, blade kwiaty były niemal równie niebieskie jak jego oczy. - Gdybym odnalazł choć jeszcze jedną parę Drabin... rozumiesz?

Nie po to by odkryć odwieczną tajemnicę i zapisać się tym samym w pamięci potomnych, ale dla Strażników Magii, dla

Sprzysiężenia. Dla tych, którzy mogliby potrzebować tych; Drabin. Sarra czuła coś podobnego, gdy udało jej się znaleźć: kolejną książkę, poemat, pieśń albo stary biuletyn. Lecz Alin miał również bardziej osobisty powód, bowiem dopasowując; do siebie następną parę Drabin, pozbywał się jednego sennego koszmaru. Sarra postanowiła, że po powrocie do Sheve sporządzi listę jego sennych wizji i porówna je z najstarszą wersją „Piosenki o Drabinach”, jaką uda jej się znaleźć.

Złożyli dary - Val dla Velireona Zapobiegliwego, Alin dla Alilen Poszukiwaczki, Sarra ponownie dla Siralli i Caiti-ri - po czym usiedli w wysokiej trawie, naprędce coś zjedli i odbyli ostatnią naradę przed planowaną wyprawą. Roztrząsali wszystkie za i przeciw, lecz końcowa decyzja nie uległa zmianie.

- A zatem idziemy - podsumował Val. - Ale dopiero późnym popołudniem.

Dziesiąta tutaj to pierwsza w Seinshir. Wolę mieć do czynienia z kilkoma zaspanymi wartownikami, niż pojawić się w zamku na oczach wszystkich.

- Nie będzie żadnych wartowników - powiedział Alin. - Będą zakazy.

- Czy potrafisz przez nie przejść? - spytała Sarra. Potrząsnął głową.

- Nie umiem nawet postawić zakazu, a co dopiero go zdjąć.

- Rozumiem. Ktoś z nas będzie musiał sprawdzić ich działanie na sobie. Zrobię to ja.

Mam w sobie chyba dosyć czarów, by zauważyć zakazy - w każdym razie czułam zaklęcia ochronne przy Drabinach. Jeśli mi się uda, jeśli będzie tam „nie zbliżać się” czy cokolwiek innego, natychmiast dam wam znać.

- Nie powiedziała tylko - zwrócił się Alin do swego kuzyna - że zakazy w zamku Malerris będą zapewne nieco bardziej złośliwe niż „skręć tam” czy „Och! Zgubiłem miecz”.

- Nie powiedziała także - zgodził się Val - że to my mamy powstrzymać ją przed zrobieniem różnych głupstw, do których może ją skłonić taki zakaz.

Sarra pokazała im język.

- Mówię za to wyraźnie, że Val nie jest Magiczny, więc nie potrafi obronić się przed zakazem, kiedy ten nad nim zapanuje, Alin zaś jako jedyny może sprowadzić nas tu

z powrotem. Zatem pozostają tylko ja. Rozlej resztę wina, Val, pić mi się chce. Gorące, rozedrgane cienie kolumn zaczęły się już wydłużać, kiedy wreszcie wstąpili do środka miedzianego kręgu. Metalowa płaszczyzna została wypolerowana do połysku i nawet Val musiał przyznać, że podobny przejaw troski jest doprawdy czymś niezwykłym w tej zrujnowanej budowli. Podczas wcześniejszych podróży Drabinami jego dłoń spoczywała na rękojeści noża, ukrytego w kieszeni spodni. Tym razem wyciągnął miecz.

- Wodospad - wymamrotał Alin, zaciskając powieki. - Wodospad... ponad nim zamek... w dole morze...

Sarra wyraźnie czuła zakłęcie ochronne, które otaczało ją ze wszystkich stron. Odruchowo stawiała mu opór, obserwując jednocześnie Alina. Rozluźniła nieco palce zaciśnięte wokół jego nadgarstka.

- Nie wysilaj się tak. Spokojnie.

- Kto tu jest szcurem drabinowym, ty czy ja? - Ale przy tych słowach uśmiechnął się blade i przestał napinać wąskie ramiona.

Zacisnęła powieki. Po upływie minuty, może dwóch, usłyszała, jak Alin wciąga powietrze, i zaraz potem otoczyła ją nicość. Podała się temu. Coś w niej pulsowało, niczym odległa gwiazda, przyćmiona przez silny blask Pani Luny. To moje czary, pomyślała ze smutkiem...

...a potem uczucie nicości zmieniło się w huk wodospadu i północny wiatr, pryskający jej lodowatymi kroplami prosto w twarz. Otworzyła oczy. Val stał obok, skulony, trzymając w ręku miecz. Alin starł zimne krople z policzków i brwi, zupełnie jakby ocierał pot po straszliwym wysiłku.

- Udało się? - Nawet nie słyszała własnego głosu, tłumił go grzmot spadającej wody po prawej stronie i rycząca kipiela daleko w dole, po lewej. Księżyc, zasnuty przepływającymi chmurami, oświetlał słup białej piany, wysoki na dwieście stóp. Stali na skalnym występie, wewnątrz niewielkiego kręgu z białych kamieni. Sarra wychyliła się poza krawędź półki i serce raptownie podeszło jej do gardła: czubki jej butów dzieliło zaledwie kilka cali od skraju urwiska, a dalej pionowa ściana opadała stromo prosto w ocean.

Val, z obnażonym mieczem w dłoni, poprowadził ich w kierunku wejścia do jaskini. Grzmot nieco przycichł, Sarra mogła już usłyszeć własne myśli. Pojawił się Alin ze świecą i zapalił ją bez pomocy zapalek. Wiatr i huk wody stały się ledwie słyszalne, kiedy weszli głębiej do groty.

- Nie wiem, komu dziękować - naszym świętym patronom, Rilli Przewodniczce czy Mittru Siwowłosemu znad Rzek - odezwał się Val drżącym głosem.

- Komu chcesz, dopóki nie jest to Chevasto - rzekł Alin, trzęsąc się z zimna i z emocji - który zwabił nas do swojego zamku...

Nie była to szczególnie krzepiąca myśl, toteż Sarra natychmiast ją odrzuciła.

Val przygładził dłonią wilgotne włosy.

- Niemal zaczynam żałować, że nie włożyłem czapki. Dokąd teraz?

- Tam - rzekł Alin, machnąwszy ręką w nieokreślonym kierunku. - Idziemy dalej, czy wracamy?

- Przebyć taki kawał drogi i nawet się nie rozejrzeć? - uśmiechnęła się Sarra zjadliwie.

- Jak wejdziemy na górę? Nie mówiąc już o tym, jak dostaniemy się do środka?

- Alinie-0 - odparła radośnie - skoro używali tej Drabiny, musieli tu jakoś wchodzić. A jeśli oni mogą, to my też. I jeszcze ta jaskinia... tak blisko Drabiny, tak pięknie wydrążona, i to ludzkimi rękami, jak może zauważyłeś. Aż się prosi, żeby ją zbadać! Val odchrząknął.

- Mam tylko nadzieję, że żaden z nich nie wybiera się na nocną wycieczkę do Shellinkroth. Nie schowam miecza, jeśli nie zrobi wam to różnicy.

Alin zapalił jeszcze dwie świece. Ruszyli, Sarra przodem. Grzmot wodospadu ucichł zupełnie, częściowo z powodu odległości, częściowo sprawił to pochłaniający dźwięki mech, który porastał ściany jaskini.

Nie uszli nawet pięćdziesięciu kroków w głąb wilgotnego tunelu, gdy Sarra o mało nie potknęła się o zmurszały szkielet, okryty strzepami munduru Gwardii Rady.

Alin przyklęknął, aby zbadać szczątki.

- To już ponad osiem lat. Dziwne, że sukno także nie zgniło.

- Bo on wcale nie zgnił. Nie leży w tej samej pozycji, w jakiej upadł - stwierdził Val z przekonaniem. - Zwróć uwagę na rozdarte spodnie i kąt ułożenia kości udowej.

Jednego ramienia w ogóle brak.

Sarra szybko odwróciła wzrok.

- Chcesz powiedzieć... że ciało zostało pożarte...?

- To bardziej niż prawdopodobne. Weź się w garść, Sarro, po drodze będzie ich o wiele więcej.

- Nic mi nie jest - skłamała i ruszyła dalej.

To dzieło mojego ojca, myślała. Rzeźnika z Ambrai. Wszystko co jeszcze zobaczymy, wszystko co się tu wydarzyło, ci wszyscy zabici - atakujący i obrońcy. Nie. Nie on to zrobił. To Annyas. I Panowie z Malerris, którzy zniszczyli własny zamek i zabili własnych ludzi. Miłosierna święta Miryenne, jak to możliwe, aby brał w tym udział jeden ze Strażników Magii? Auvry Feiran był dobrym człowiekiem! Pamiętam go z czasów, kiedy byłam dzieckiem - więc co się stało? Dlaczego zбочzył z drogi?

Val miał rację, znaleźli więcej ciał. Sarra musiała przechodzić ponad nimi lub je omijać, starając się nie potraćać białych nagich kości okrytych resztkami szat.

Wśród czerwonych strojów gwardzistów i białych Panów z Malerris zdarzały się również i czarne - po prostu niektóre zwłoki ubrano w uniformy Strażników Magii. Bardzo sprytnie.

Mundury strażników opasywały czerwone szarfy Magów Rycerzy. Oczywiście, pomyślała Sarra z goryczą. Należało przecież udowodnić, że przysięga rycerza, zabraniająca używania czarów podczas walki, jest kłamliwa. Nigdzie natomiast nie było śladu Srebrnych Mieczów na kołnierzach ani krążków identyfikacyjnych.

Podczas wojny wyniesienie poległych z pola bitwy i odprawienie wymaganych ceremonii pogrzebowych nie zawsze jest możliwe, obowiązywała jednak zasada, że w takich okolicznościach należy zdjąć z ciała przynajmniej krążek identyfikacyjny i przesłać go rodzinie zabitego. Tak też uczyniono w przypadku poległych gwardzistów Rady i Malerryjczyków. Ale zwyczaj ten nie odnosił się do insygniów na kołnierzach, a ponadto żaden z „magów” zabitych w zamku Malerris nigdy nie został zidentyfikowany.

Rada ogłosiła, że nie ujawni ich nazwisk, by oszczędzi rodzinom publicznego upokorzenia. Orlin Renne, nie żywią żadnych złudzeń, jakim torem biegnie myśl Annyas, twierdził, iż tym posunięciem chciała ona zasiać strach w rodzinach wszystkich Magów Rycerzy - i to strach wcale nie spowodowany niepewnością, kto naprawdę zginął podczas ataku na zamek Malerris. Po bitwie już nikt nie miał odwagi przyznać się do pokrewieństwa z magiem; zresztą większość z nich po prostu zniknęła, by nie utrudniać życia najbliższym.

Krażki identyfikacyjne w ogóle nie były potrzebne. Insignia stanowiły zupełnie wystarczający dowód udziału Strażników Magii w tych przerażających wydarzeniach. Skąd się jednak wzięły? Fałszerstwo raczej nie wchodziło w rachubę; Akademia posiadała własną niewielką odlewnię, którą zajmowała się sporządzaniem owych insygniów. Umysł Sarr znowu zadziałał po swojemu, a wniosek zmroził jej krew w żyłach. Magowie Rycerze zostali potajemnie zamordowani gdzie indziej, ich mundury i odznaki zabrano, krażki identyfikacyjne zniszczono.

Wydawało się, że Auvryi Feiran - nie, nie on, tylko Annyas, poprawiała gorączkowo samą siebie - nie zapomnij o niczym. /

Korytarz wiódł ich w górę przez ćwierć mili. Potem ukazały się schody wykute w htejskiej skale oraz umieszczone w regularnych odstępach żelazne uchwyty z tkwiącymi w nich resztkami pochodni. Dlaczego nie uprzętnięto tego miejsca? Jeżeli Drabina u wodospadu nadal działała, to dlaczego korzystający z niej ludzie musieli przechodzić obok tylu okropności?

Z bardzo prostej przyczyny: gdyby ktokolwiek się tu zjawił, zamek Malerris powinien wyglądać na opuszczony. Zrujnowany. Martwy. Gała pozostawiono, niech gniją i odstręczają swoim widokiem wszystkich dość odważnych - lub dość głupich - by ośmielili się tutaj zapuścić. Sarra zastanawiała się, czy coś podobnego zastała w samym zamku. Może nie. Jak daleko posunięte było oszustwo?

Wiedziała, że on gdzieś tu są, ale w jaki sposób uzupełniali zapasy, by utrzymać się przy życiu przez lata?

Głupie pytanie. Widziała zamek Malerris na ilustracjach, a tej nocy zobaczyła go naprawdę. To ogromna przestrzeń.

Jeśli starannie wszystko zaplanowali, mogli przeżyć tu w całkowitym zapomnieniu osiem, a nawet osiemdziesiąt lat.

A Panowie z Malerris ponad wszystko kochali starannie opracowane plany.

Wiedziała, że są gdzieś tutaj. Czuła to.

Przystanąła raptownie i odwróciła się do Alina.

- Wydaje mi się, że odkryłam zakaz. Czuję, że ktoś mnie obserwuje.

Alin podszedł do niej, zastygł w bezruchu. Potem potrząsnął głową.

- Nic. Val?

Val skoncentrował się i po chwili wzruszył ramionami.

- Nic.

- W takim razie to tylko moje nerwy - rzekła Sarra, zła na siebie.

Schody; dużo schodów. Dopiero teraz naprawdę pożałowała, że nie potrafi zwijać przestrzeni. Wreszcie wspięli się na samą górę, a tam, na jednym zawiasie, zwisały dębowe drzwi. Dookoła wałało się mnóstwo kości i mundurów, Sarra nie miała wyboru, musiała nad nimi przejść.

Od drzwi dzieliła ją co najwyżej odległość wyciągniętego ramienia, gdy zamarła nagle, z trudem zachowując chwiejną równowagę, z jedną nogą na skrawku pustej podłogi, a drugą na strzępach tkaniny.

- Alinie! Zatrzymaj się! To musi być zakaz - czuję, że jeśli zrobię jeszcze jeden krok, umrę!

- W porządku, Sarro, nie denerwuj się!

W otwartych drzwiach nie było nic. Widziała tylko przestrzeń za nimi, posadzkę wyłożoną kamiennymi płytami, pięćdziesiąt stóp dalej następne schody, a po lewej stronie szeroki korytarz i wysokie okno bez szyb. Jej umysł wypełniał roz-szeptany zgiełk licznych głosów, powtarzających po tysiackroć złowrogą obietnicę śmierci. Zadrżała; nie mogła przekroczyć progu, lecz mimo to nie chciała się wycofać. Jestem Magiczna, powtarzała w myślach. Nawet jeśli nie umiem użyć swoich czarów - wiem, że to nie jest prawdziwe!

- Alinie! - Ogarnął ją wstyd, kiedy usłyszała piskliwy jęk, dobywający się z jej krtani.

- Nic ci nie grozi, Sarro. Zostań tu, gdzie jesteś. Val, mów do niej.

- Sarro? - Głos Vala brzmiał łagodnie i spokojnie. - Alin podchodzi do ciebie z twojej lewej strony. Słyszysz go, prawda? Nie bój się. Podczas bitwy zakazy pozbawiono mocy. Inaczej nikt nie byłby w stanie dostać się do środka. Więc czujesz - ostrożnie, Alinie! - tylko echa martwego zakazu, Sarro. Nic ci nie grozi.

- Wiem! - wydyszała. - Ale jeżeli zakaz jest martwy, to jak ci ludzie mogli pozostać przy zdrowych zmysłach, kiedy naprawdę działał?

- Opowiedz mi o tym. Dalej, Sarro, mów do mnie. Wiedziała, o co mu chodzi: dźwięk własnego głosu miał zagłuszyć jej irracjonalny strach. Aby się uspokoić, wzięła głęboki oddech, który omal nie rozdarł jej ściśniętych płuc.

- Nic tu nie ma... to znaczy, żadnych ludzi, ale... Zakaz mówi mi, że czekają na mnie, żeby mnie za-zabić...

- W jaki sposób? Mieczem, nożem, czarami, jak?

- Co to znaczy „jak”?!! - wrzasnęła. - To śmierć, Val, ludzie, którzy chcą mojej śmierci!

- Partanina - oznajmił Val pogardliwie. - Gdyby to był naprawdę silny zakaz, wciąż czułabyś rodzaj zagrożenia, ze wszystkimi detalami, jak w jadłospisie z oberży „Pod Różą Wiatrów”. Byłaś tam kiedyś? Prowadzi ją Sieć Olvosianow w Neele, podają wyśmienity stek z dziczyzny i sernik, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie...

- Och, zamknij się! Sterczę tu jak jakiś posąg, a ty opowiadasz mi bzdury o jadłodajniach! - Ale gniew pozwalał przezwyciężyć strach i Sarra wiedziała, że Val też o tym wie. - Alinie, gdzie jesteś?

- Tutaj, Sarro.

- Musi się trzymać poza zasięgiem zakazu, Sarro. Spokojnie, nie bój się.

- Łatwo ci mówić! - Głos Alina dobiegał teraz z prawej strony, a już w następnej chwili Alin trzymał ją za rękę. Nadal stał krok za nią, balansując pomiędzy walającymi się wszędzie szkieletami. Usłyszała, jak gwałtownie wciągnął powietrze, kiedy zakaz uderzył i w niego. - O święci i widma! Val, zostań tam. Nie jesteś Magiczny, nie możesz się przed tym obronić.

Sarra ścisnęła zimne palce Alina.

- Co robimy?

- Zaraz obejmę cię ramieniem. Na trzy, skaczemy.

- Nie! Nie mogę!

- Owszem, możesz. - Nie dając jej ani chwili na zastanowienie i strach, odliczył szybko: - Raz, dwa, trzy!

A potem pociągnął ją za sobą przez zakaz. Potknęli się i upadli na kamienne płyty podłogi, tłukąc sobie kolana. Sarra znów mogła oddychać, jej umysł i serce uwolniły się od przerażającej pewności, że drzwi oznaczają śmierć. Wciąż drżąc, przypadła do Alina i uściskała go w milczącym podziękowaniu.

- No, Sarro - zbeształ ją. - Val będzie zazdrosny.

- Chciałbyś! - krzyknął Val.

Sarra roześmiała się nieco histerycznie. Przygryzła sobie język, puściła Alina i odwróciła się do Vala.

- Twoja kolej. Złap mnie, Val, udawaj, że jesteś zazdrosny i chcesz poderżnąć mi gardło.

- To bardzo nieelegancki sposób, moja śliczna *domna* - odparł. Postąpił ostrożnie krok w kierunku drzwi, pod jego stopą zatrzeszczały kości. Mówił żartobliwym tonem, ale w jego ciemnych oczach pojawił się lęk. Zrobił następny krok. -1 sposób zbyt szybki. Nie, zrobię to powoli i... i... -Nagle twarz mu stężała i wypuścił z dłoni miecz. - Na złote jaja Geridona! Alinie!

- Skacz! - krzyknął Alin. - Teraz, Val!

Skoczył, lecz chyba nie pod wpływem świadomej decyzji, po prostu odruchowo posłuchał polecenia. Uderzył o podłogę tuż obok nich, ciężko dyszał i trząsł się cały. Alin pomógł mu wstać i mocno go uściskał. Po chwili Val uwolnił się z jego objęć.

- Wybacz mi, *domna* - wykrztusił. - Zazwyczaj nie używam takiego języka w obecności dam.

Po wszystkich tych w najwyższym stopniu niestosownych, grubiańskich, bezczelnych impertynencjach, które wygłosił pod jej adresem, teraz przeproszał ją za jedno przekleństwo? Uznała to za niebywale zabawne. Wesołość okazała się zaraźliwa, toteż wkrótce cała trójka zanosila się głośnym, bezmyślnym chichotem. To reakcja na strach, powiedziała sobie Sarra, odzyskawszy na chwilę zdolność trzeźwego osądu. Śmiech przywraca spokój szybciej niż łzy, tak przynajmniej twierdzi Agatine...

W końcu oprzytomnieli. Val rozejrzał się dookoła i westchnął.

- Cóż, jeśli ten hałas nie ściągnął nam ich na kark, to sądzę, że już nie przyjdą.
- Albo ich tu nie ma, albo nic ich nie obchodzimy -? zgodził się Alin.
- Albo chcą się przekonać, co teraz zrobimy - dodała Sarra.
Pomogli sobie nawzajem wstać. Val ze złością klepnął się po udzie.
- Cholera! Mój miecz!
- Nie chciałem tego mówić -> powiedział Alin uprzejmie -ale zastanawiałem się, po co ci miecz w zamku pełnym Magicznych.
Val obdarzył go spojrzeniem, które mogłoby stopić lodowiec.
Zamek Malerris składał się z wielu wież i bastionów, otoczonych wysokimi na pięćdziesiąt stóp i na piętnaście stóp grubymi murami, które wiły się pofalowaną linią wzdłuż skalistych południowych wybrzeży wyspy. Nie żywili jakichkolwiek złudzeń, że uda im się zbadać coś więcej niż maleńki fragment tej nieprawdopodobnej budowli. Mówiąc szczerze, Sarra bardzo chciała zadowolić się samym stwierdzeniem faktu, że w ogóle tu dotarli, i wrócić do Shellinkroth. To miejsce miało w sobie coś takiego, że dreszcz przebiegał jej po plecach.
Okno, które zobaczyła przez zakłute drzwi, wychodziło na brukowany kostką dziedziniec. Pusty, rzecz jasna, ale poznaczony czarnymi plamami pożogi i usiany odłamkami szkła z szyb, pękających od gorąca. Ale w samym zamku znaleźli bardzo niewiele śladów pożaru. Zniszczenia wcale nie były tak olbrzymie, jak głośiły plotki. Oczywiście, przeszedł tędy ogień, lecz Alin miał rację: szalejący tu podobno żywioł wyrządzi zdumiewająco małe szkody. Kilka upuszczonych podczas walki pochodni mogło spowodować podobne skutki.
Natomiast nie znaleźli więcej zwłok. Może zabrała ją Gwardia Rady. Może ta część zamku znowu służyła jakimś celom i Panowie z Malerris uprzętnęli ciała. A może drzwi powstrzymały atakujących. Sarra, która doskonale zapamiętała swoje zetknięcie z „martwym” zakazem, była w stanie bez trudu w to uwierzyć.
Bez przekonania wskazała schody. Alin, równie jak on niezdecydowany, rozłożył jedynie ręce. Za to Val uczynił!

zapraszający gest w tamtym kierunku. Stopnie, dosyć szerokie u podstawy, zwązały się ku górze, a każdy z nich, wyłobiony w połowie długości przez niezliczone stopy, deptające go przez wieki, przypominał kształtem koryto strumienia. Schody biegły przy samej ścianie, nie zabezpieczała ich żadna poręcz. Na samą myśl o pogoniach i pojedynkach na miecze, staczanych w takim miejscu, Sarra poczuła zawroty głowy.

- Sprawdzamy po drodze każde piętro? - spytał Val. - Czy wchodzimy na samą górę i patrzymy, czy uda nam się zejść na dół?

- Wchodzimy na górę. Chcę zobaczyć, jaki stąd widok - odparła Sarra odważnie.

- Cudownie - mruknął Alin.

- Ma lęk wysokości. - Val trącił go łokciem, kiedy ponownie zaczęli się wspinać.

- Żebyś wiedział! Od czasu gdy zmusiłeś mnie do skakania z muru w Isodirze...

- Tamten maleńki skok?

- Pięćdziesiąt stóp, ani cała mniej! Mogłem połamać nogi!

- Najwyżej trzydzieści, a na dole stóg siana.

Sarra już miała warknąć na nich, żeby się uciszeli, lecz nagle zrozumiała powód tych przyjacielskich złośliwości: pomagały zagłuszyć strach.

Wieża była niska w porównaniu z innymi, rozrzuconymi po skalistym wybrzeżu, miała nieco mniej niż sto stóp wysokości, ale rozpościerał się z niej naprawdę wspaniały widok, nawet w nocy. A Sarra nie zamierzała pozostać tu aż tak długo, by podziwiać go za dnia. Światło gwiazd oraz blask Pani Luny i jej wiernego towarzysza rozświetlały powierzchnię morza daleko w dole i resztę zamku, wznoszącego się na urwistych skałach. Szczyt wieży otaczał otwarty balkon. Sarra obeszła go dookoła, powoli i w milczeniu. Znów miała wrażenie, że jest obserwowana.

- Wejdzmy do środka - powiedziała. - Robi się zimno.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparł Val, patrząc na zwieńczenie sąsiedniej wieży; strzelista kamienna iglica celowała złowrogo w rozgwieżdżone niebo.

Wszyscy troje weszli do szczytowej izby, obszernej i całkowicie w środku wypalonej. Zdaniem Alina podpalono ją, aby stworzyć wrażenie, iż ogień doszczętnie strawił wnętrze

wieży. Cała ta maskarada - ciała w skalnym tunelu, ślady ognia - utwierdziła Sarre w przekonaniu, że Panowie z Maler-ris nadal żyją, że pozostało ich wielu i że niemal na pewno ukrywają się gdzieś w tym ogromnym zamczysku,

W dodatku ktoś ją śledził, była tego pewna.

Schodząc w dół, otwierali wiele drzwi. Za nimi kryły się sypialnie, garderoby, wykładane kamiennymi płytami pomieszczenia z wanną i odpływem wody, ustępy, magazyny: nic naprawdę złowieszczego. Wszędzie jednak - rzeźbione w kamieniu i drewnie, wymalowane na kaflach, utkane na gobelinach i dywanach - widniały symbole Tkacza i jego świąty. Przeważały Wielkie Krosna. Ale nieustannie pojawiały się te szpule, wrzeciona, czółenka, kołowrotki, igły i nożyczki. Sarra, którą za każdym razem przechodził dreszcz, zastanawiał się, czy Panowie z Maler-ris reagowaliby podobnie na zgromadzone w takich ilościach symbole Strażników Magii i ich świętych patronów.

Kiedy dotarli wreszcie na najniższy poziom, Val nie omieszkiał zaznaczyć, że jest już po pół do ósmej, zatem uwzględniając godzinę lub coś koło tego na dotarcie do Drabiny, wrócą do Shellinkroth mniej więcej o czwartej - akurat więc starczy im czasu na krótką drzemkę, nim zaczną gnać o złamanie karku, by dogonić towarzyszy.

Perspektywa ponownego skoku przez drzwi i drogi powrotnej tunelem pełnym kości nie wzbudzała zachwyty. Al Sarra miała też inny powód, by zostać tu trochę dłużej: ja dotąd absolutnie niczego nie znalazła.

Co konkretnie miała nadzieję lub czego obawiała się znaleźć - nie potrafiłaby powiedzieć. Zapewne odkrycie kolejnej pary Drabin i potwierdzenie jej podejrzeń to już i ta dużo. Mimo wszystko była zawiedziona.

Śmieszne.

- Chodźmy więc - powiedziała. - Mam już dość tego miejsca.

- Wiesz co - odparł Val - podobasz mi się, Sarro. Słów daję, naprawdę mi się podobasz.

Zbyła to wzruszeniem ramion; jeszcze jeden przykład, do jakiego stopnia mężczyźni niczego nie rozumieją - nigdy nie przyszło jej nawet do głowy, że w przypadku Vala mógłby być inaczej.

Serce jej waliło, kiedy zbliżali się do drzwi... i nie poczuła zupełnie nic. Co za głupota! - skarciła się w duchu. Oczywiście, że to nie działa z tej strony! Przeszła jednak jak najszybciej, stąpając wśród strzepów mundurów i kości. Zakaz dosięgnął jej na krótką chwilę, ale zaraz osłabł. Alin i Val też się spieszyli. Val przystanął na moment, aby podnieść swój miecz, klnąc przy tym pod nosem. A potem popędzili schodami w dół, prosto w wilgotną ciemność. I wyszli z jaskini po niewłaściwej stronie wodospadu.

- Co się stało?! - krzyknął Val przez huk spienionej wody, w dłoni ścisnął do połowy wyciągnięty miecz.

- To tyle, jeśli chodzi o niezawodną pamięć - docięła Sarra Alinowi, choć wiedziała, że nie ma racji. W tunelu nie można było źle skręcić. Tam w ogóle nie było gdzie skręcić.

- Jak się tu dostaliśmy? Powinniśmy być tam!

Alin wpatrywał się zmrużonymi oczami w otulony mgiełką rozpryskujących się kropli wodospad. Potem ruszył wzdłuż skalnej półki, okrutnie zaszepiony, mamrocząc pod nosem i gestykułując, jak gdyby odtwarzał w pamięci ich drogę pod ziemią. Sarra już miała mu powiedzieć, żeby przestał się miotać i zaczął robić coś sensownego, gdy nagle Alin z triumfalnym okrzykiem rzucił się do krawędzi skalnego występu.

Ominął z daleka krąg ułożony z czarnych kamieni - był to lśniący obsydian, jak ten z Pieca Caitiri w Brogdenguardzie, który Sarra przywiozła sobie na pamiątkę z Neele - i wskazał na jaskinię po przeciwległej stronie wodnej kurtyny, ledwie w tym świetle widoczną.

- Widzisz?

- Co widzę? - spytała Sarra.

- Jest identyczna!

- Naprawdę? - Val wbił wzrok w ciemność. - Identyczna z czym?

- Z tą tutaj! Tylko jest po wschodniej stronie wodospadu, zamiast po zachodniej!

Sarra podeszła do nich, obejmując się ciasno ramionami, ponieważ przemoczyły ją zimne krople.

- I myślisz, że to ma jakieś znaczenie?

- Oczywiście, że to ma znaczenie! - krzyknął Alin. -,Wschód albo zachód, zachód albo wschód. Drabina spoczy

wa u Viranki stóp"! Tu jest Drabina... - wskazał na krąg : kamieni, potem popatrzył na wodospad - ...a tam święta Viranka!

Sarra, która miała już dość krzyków, pociągnęła ich obu ; we względne zacisze groty.

- Alinie, jesteś tego pewien?

Wytarł mokrą twarz i obiema rękami odgarnął włosy, opadające mu na czoło.

- Po prostu wiem, i już.

- To świetnie - mruknął Valirion.

- Przestań, Val - powiedziała Sarra. - Alinie, czy masz jakiegokolwiek pojęcie, dokąd ona prowadzi? Bo jeśli nie, to musimy znowu wejść do tunelu i jakoś dostać się na drugą stronę. I tak musimy to zrobić, żeby wrócić do Shellinkroth.

- Niekoniecznie. - Uśmiechnął się tajemniczo i zaczął przeszukiwać jaskinię, a nad jego lewym barkiem rozjarzyła się niebieskawa mała Kula Magiczna. Sarra aż podskoczyła. Val tylko wzruszył ramionami.

- Potrafi, jeżeli tylko o tym nie myśli - mruknął. - Kiedy potrzeba jest pilna, a on... zapomni.

- Ach tak. - Żadna mądrzejsza uwaga nie przysła jej do głowy.

Obserwowali w milczeniu, jak Alin systematycznie bada jaskinię. Jego Kula Magiczna podążała za nim wiernie niczym mały kawaler, który nie odstępował swojej Pani Luny podczas jej wędrówki po niebie. Po twarzy Alina pełgała niesamowita poświata, odbijając się w każdej kropli wody spływającej z policzków i brwi. Sarra zerknęła na Vala i prawie się uśmiechnęła - w jego ciemnych oczach radosna zmysłowość mieszała się z autentycznym uwielbieniem. Mogłoby być całkiem miło, zdecydowała, gdyby jakiś mężczyzna patrzył w ten sposób na mnie, wesoło, tkliwie, a jednocześnie namiętnie. Gdybym spotkała kiedyś mężczyznę, który potrafiłby nie tylko pożądać, ale również darzyć mnie uczuciem i wraz ze mną się cieszyć - kto wie, może zaczęłabym zastanawiać się nad tym, czy nie zacząć myśleć o małżeństwie.

Ale dlaczego, westchnęła w duchu w przypiływie zwątpienia, wszyscy przyzwoici mężczyźni albo nie są już do wzięcia, jak Orlin, albo nie wchodzi w rachubę z innych powodów, jak Alin i Val?

Alin odwrócił się, a jego oczy błyszczały jaśniej niż Kula Magiczna.

~ Znalazł - powiedział Val. Alin skinął głową.

- Nigdy byście na to nie wpadli.

- A ty chciałbyś, żebyśmy na to wpadli - odparł Val i zwrócił się do Sarry. - Zawsze jest taki, kiedy mu się zdaje, że był bardzo sprytny.

- Jestem sprytny - oświadczył Alin.

- Czy możemy się stąd wydostać? - spytała Sarra, starając się nie okazać zniecierpliwienia.

- Jak sobie życzysz, *domna*. - Kula Magiczna zniknęła, gdy Alin wyszedł z jaskini. Poprowadził ich do kręgu z czarnych kamieni i powiedział: - Ja pójdę pierwszy, żeby się upewnić.

I zanim Val zdołał go powstrzymać, wszedł do środka kręgu i zniknął.

- Dokąd on się wybiera?! - krzyknęła Sarra. - Jeśli nie wróci, zostaniemy tu na zawsze!

- Jeśli nie wie dokąd - powiedział Val ponuro - to nigdy nie wróci.

Ale wrócił, niecałą minutę później. Śmiał się cicho, oczy płonęły mu radością.

- To zupełnie bezpieczne - jest środek nocy. Dalej, wchodźcie. Wszystko się zgadza.

Na świętą Rillę, mamy szczęście! Jest tam nawet Drabina do SheUinkroth!

- Gdzie?! - ryknął Val.

- W Ambrai.

I w chwilę potem Sarra wróciła do swego rodzinnego miasta, którego nie widziała od ponad siedemnastu lat.

6 -

10

Opuściła Drabinę - umieszczoną tym razem w kominie - i znalazła się w pokoju, którego co prawda nie miała nigdy okazji oglądać, za to czytała o nim w książkach. Była to sekretna komnata Caitirin Bekke, ulokowana w najwyższej wieży Komandorii. Pożar, który zniszczył Akademię Magów i wszystko wokół niej, nie dotarł do tego pomieszczenia, urządzonego dwieście lat temu przez Maga Dziekana z Brog-denguardu, by przypominał jej rodzinny dom.

- Krąg z obsydianu - powiedział Alin, gdy wy dostał się z komina; w ślad za nim ukazał się Val. - Już to powinno mi dać do myślenia. Ale w pierwszej chwili sądziłem, że chodzi o Brogdenguard. - Ostrożnie dotknął osłony paleniska, wykonanej z wielkich bloków szklanego czarnego kamienia spojonych czarną zaprawą. Sarra przypadła do wąskiego okna, zwieńczonego ostrym łukiem. Nawałnice zdążyły już strzaskać szybę i zniszczyć framugę, okiennice zaś ledwo się trzymały. Nocny wiatr świszczwał jej w uszach, kiedy spoglądała w dół, na miasto. W jej wspomnieniach pozostało nadal dumne i piękne, malowniczo rozpostarte na wzgórzach po obu brzegach rzek Ambrai. W tej chwili jednak złudzenie zniknęło na zawsze. Wpatrywała się w ruiny, prawie nie słysząc rozmawiających z jej plecami kuzynów.

- Skąd wiedziałeś, że Drabina zaprowadzi nas do Ambrai? - spytał Val.

- Odczytałem znak.

80

- Jaki znak?

- Wryty na ścianie jaskini.- Alin był z siebie niemożliwie zadowolony. Odniesiony sukces napawał go dumą. -Splecione ze sobą inicjały dziekana Bekke i Trzeciego Pana Escovora. Zachowały się nawet ich barwy rodowe: czerwień szkarłatna i karmazynowa, czerń i pomarańcz.

Sarra otarła oczy i odwróciła się od okna. Nie powinni zobaczyć, że płakała nad oświetlonymi księżycem zgliszczami Ośmiokątnego Dworu.

- Mag Dziekan i Pan z Malerris?

- Byli kochankami - potwierdził Alin. - Wszyscy w Len-fell uważali to wówczas za skandal - z wyjątkiem Wielkiej Księżnej Vellery Ganfallin, rzecz jasna. Układali we dwoje plany przeciwko niej, gdy dowiedział się o nich Pierwszy Pan, Strażnik Krosien, i rozkazał stracić Shena Escovora. W niezwykle okrutny sposób, jak powiadano.

W żadnej z książek, które Sarra ukradła - uratowała - nie znalazła się na ten temat ani jedna wzmianka. Mag Dziekan i Pan z Malerris? Kochankami? Niemożliwe!

Opadła na zakurzone krzesło, jedno z dwóch stojących obok paleniska. Tak naprawdę to wszystko w tym pokoju było do pary - stoły o blatach z rzeźbionych płyt obsydianu, od dawna nie polerowane, zmatowiałe świeczniki z brązu, koszyki na koks z kutego żelaza, ustawione przy krzesłach, by ogrzewać zmarznięte stopy.

- Alinie... - zaczęła, ale on ciągnął dalej swoją opowieść.

- Caitirin Bekke zbudowała tę wieżę niedługo potem, jak została dziekanem, przede wszystkim dlatego że ogromnie tęskniła za Brogdenguardem. Później umieściła tu Drabinę, by móc spotykać się potajemnie z Escovorem. - Alin stapał ostrożnie po wypalanych kaflach podłogi, pokrytych warstwą kurzu i popiołu. - Wszystko tutaj jest dziełem rzemieślników z wioski w pobliżu Pieca Caitiri - kamienie paleniska, płyty, meblowanie... - Wskazał okopcone freski na ścianach. -A oto i same góry.

- Alinie - powtórzyła Sarra - mam jedno pytanie.

- Ja też - wtrącił się Val. - Skoro byli kochankami, to gdzie jest łóżko?

- Kuzynie, masz plugawy umysł.

- Po prostu praktyczny. Nie ma tu nic oprócz twardej, zimnej podłogi.

- Alinie! - warknęła Sarra. - Jeżeli Drabiny umierają w ogniu, to jakim cudem ta działa? Zbudowano ją w kominie!

- Widzisz koksowniki? Nie płonął tu żaden ogień, od czasu gdy dziekan Bekke umieściła nad paleniskiem swoją Drabinę.

- Nadal chciałbym wiedzieć, gdzie jest łóżko - nalegał Val.

- A ja chciałabym wiedzieć, skąd miałeś pewność, że się nie mylisz - powiedziała Sarra zimno. - Zabraniam ci próbować czegoś podobnego po raz drugi. Nigdy więcej nie będziesz ryzykował życia, opierając się na przypuszczeniach, legendach i dziecinnej piosence, zrozumiałeś mnie?

Alin najeżył się cały. Sarra mierzyła go wzrokiem. Powoli jego złość przemieniła się w urazę, aż w końcu uznał, że Sarra ma rację.

- Przepraszam. Ale to nie było przypuszczenie. Tylko ta jedna zwrotka pasuje.

„Blisko lub daleko, daleko lub blisko, kamienna Drabina w czarnym palenisku”.

- Przypuszczenia, legendy i dziecinna piosenka - powtórzyła Sarra z naciskiem. - Jeśli całe Sprzysiężenie oparte jest na podobnej logice, to niech wszyscy święci się nad nami zmiłują.

- Dostaliśmy się tu, może nie? - spytał Val, nie bez zaczepki w głosie.

- Ponieważ po obu stronach wciąż działają czary - odparowała. - Dlaczego?

Na chwilę ich zatkało. Z całą pewnością Strażnicy Magii i Panowie z Malerris wiedzieli o tej parze Drabin. Dlaczego umożliwiali sobie nawzajem dostęp do swych strzeżonych siedzib?

- Może postawili zakazy... nie - przerwał sam sobie Alin. - Poczulibyśmy.

Val wzruszył ramionami.

- Spytaj Gorszę. On będzie wiedział. Lista pytań Sarry stawała się coraz dłuższa.

- Która godzina?

- Osiem minut po drugiej. W Shellinkroth jest jeszcze wczoraj.

Podróżowanie Drabinami było zdecydowanie uciążliwe.

- Zatem prześpijmy się trochę. Alinie, gdzie jest ta następna Drabina? Czy już z niej korzystałeś?

- Tak. Prowadzi z Akademii do kaplicy świętej Ilsevet koło Havenportu.

- Bardzo dobrze. *Domni* Maurgen, masz moje pozwolenie, by poszukać łóżka. - Co powiedziawszy, owinęła się płaszczem, zamknęła oczy i zasnęła.

11

Nie widziała rodzinnego domu od wielu lat, nic więc dziwnego, że nawiedziły ją sny o Ambrai z tamtych odległych czasów, nim ojciec wyjechał po raz pierwszy, matka zaś stała się rozdrażniona i smutna. W oczach małego dziecka Ambrai było cudownym miejscem, pełnym blasku, kwiatów i radości. W swoim śnie Sarra patrzyła na nie właśnie oczami dziecka.

Widziała babkę Allynis, która udawała zagniewaną za każdym razem, gdy dziadek Gerrin figlarnie szczypał ją w ucho albo całował zniecka.

Widziała siebie i Glenin, jak kryją się na Podwójnych Spiralnych Schodach i naśladować głosy widmobestii, strasząc dworzan, póki nie zdradził ich chichot, którego nie zdołały powstrzymać.

Widziała dziekana Garvedian, strażnika Desse, kuzynów Alvassy, przyjaciół, a także bardów, scholarów i uzdrowicieli. Lecz nie płakała we śnie, ponieważ znów była dzieckiem, a oni wszyscy wciąż żyli.

Widziała rodzinny piknik na murawie, Ośmiokątny Dwór wznosił się majestatycznie nie opodal, a spoza drzew wystrzelały w górę wieże Komandorii i Akademii, Domu Bardów i Szpitala Uzdrowicieli. Trzech lutnistów grało ulubione melodie babki Allynis; Glenin i Sarra uganiały się za motylami; matka i ojciec siedzieli na trawie obok babki i dziadka, i wszyscy się śmiali. Sarra знаła tę scenę: rodzina świętowała urodziny babki.

Widziała starego Maga Scholara, który składał pokłon babce i wręczał jej ogromną księgę w czarnej oprawie, zdobionej złotem i turkusami. Pani Allynis wydała okrzyk podziwu, jej córka pochyliła się nad darem.

To, co zobaczyła potem, nie było już częścią wspomnień. Auvry Feiran schwycił księżkę, a za jego plecami Ośmiokątny Dwór stanął w płomieniach. I wtedy Sarra zobaczyła samą siebie, jak dokonuje niezwykłej rzeczy: wyrywa księżkę z rąk ojca i zaczyna uciekać.

Obudziła się raptownie.

- Święci i widnia! - wykrzyknęła, podchwytyjąc ulubione przekleństwo Alina. -

Ależ jestem głupia!

- Sarro? - Alin przypadł do jej krzesła.

- He? Co? - Val podniósł się z wysiłkiem z zimnej, twardej podłogi, na której drzemał, podczas gdy Alin pełnił wartę. -Co się dzieje?

- Szybko, Val, która godzina? Potarł dłonią twarz.

- Hmm... dochodzi czwarta.

- Nic ci nie jest, Sarro? - spytał Alin. Zignorowała ten objaw troski.

- Ile zostało do świtu?

- Mniej niż godzina.

Sarra otrząsnęła się ze snu i wstała.

- Jeśli się pospieszymy, jeszcze wystarczy nam czasu.

- Coś przeoczyłem? - spytał zakłopotany Alin.

- Wszyscy to przeoczyliśmy - powiedziała niecierpliwie. -Och, rusz głową! Książki!

12

Tutaj nie było żadnego oszustwa. Nie było kości, ciał, mundurów ani magicznych zakazów. Tylko okopcon kamienne ściany, stopy zwęglonego drewna, obraz pobożowiska i klęski. Tylko prawda o tym, co zrobił Auvry Fedran.

Alin doprowadził ich pod kolumnadę, która nie podtrzymywała niczego. Dach zapadł się siedemnaście lat temu.

- Biblioteka - powiedział.

- Wiedziałaś! - oskarżyła go Sarra. - Mogłeś mi powiedzieć.

Alin wzruszył ramionami.

- Uparłabyś się, żeby przyjść tu sama.

- Nic nie rozumiesz. Pamiętam...

Umilkła. Jeśli nie będzie ostrożna, mogą domyślić się zbyt dużo. Pamiętała, że przychodziła tu z Ośmiokątnego Dworu w bardzo gorące dni; wysoko sklepienie sale dawały wytchnienie od upału, a najchłodniejszą kryjówkę stanowiły schody do podziemi. Ale opowiedzieć im o tym, oznaczało przyznać, że pochodzi z Ambrai. Kłamała zatem, a oni jej wierzyli.

- Kiedy byłam małą, do Roseguardu przybyła pewna strażniczka. Chciała zostać scholarem i studiowała w Ambrai. kiedy to się stało. Przeglądając moją bibliotekę, opowiedział mi o książkach, ukrytych w podziemiach.

- Sarro... - Val dotknął jej ramienia. - To daremne. Ktoś na pewno je zabrał, i to już dawno temu.

- Mam nadzieję, że tym „kimś” nie był Pan z Malerris -dodał Alin. - Nie, *domna*, tam na dole nic nie ma.

86

- Musimy to sprawdzić - nalegała. - Musimy mieć pewność. Jak inaczej Caillet zdoła nauczyć się tego wszystkiego, co powinna wiedzieć?

Zdradziło ją podniecenie. Ach, nie powinna wymawiać imienia siostry! Należało raczej przedstawić odpowiednio swój sen, wyjaśniając, iż jest to przesłanie (z zakamarków jej własnego umysłu? od świętego? od Gorynela Desse? a może od babki?). Szybko jednak wybaczyła sobie ten błąd, bowiem prędzej czy później Val i Alin musieli poznać prawdę. Jeśli nie całą, to przynajmniej jej część.

- Caillet? - Alin zeszywniał. Trzeba brnąć dalej, uznała Sarra.

- Jest Magiczna. Wiedziałaś o tym wcześniej, a ty sam też mi to powiedziałeś, Val. Strażnicy, których zabieramy do Roseguardu, stworzą zaczątek nowej Akademii. Będą uczyli ją i innych. Ale potrzebujemy książek. Jeśli nadal tu są, musimy je uratować.

Val przygryzł wargę.

- Co wiesz o Caillet Rille?

- Więcej niż ci się zdaje - odparła krótko. - Chodźcie. Tracimy tylko czas.

Kuzyni ruszyli przodem, aby torować drogę. Książki spłonęły doszczętnie, razem z drewnianymi półkami: pozostał tylko popiół i kilka osmalonych szczap, które pozostały z krzeseł lub stołów. Masywne belki stropowe runęły i do środka posypała się masa dachówek. Stąpając ostrożnie wśród chrzęszczących hałd, Sarra czuła się tak samo jak w tunelu pełnym kości w zamku Malerris. Tam umierali ludzie, tutaj - wiedza. Nie potrafiłaby powiedzieć, co bardziej ją złości.

Alin pierwszy odnalazł drzwi do piwnicy i zatrzymał się przed nimi w milczeniu.

Sarra podeszła do niego, spojrzała w dół i jej dłonie same zacisnęły się w pięści.

Zupełnie zapomniała, że stopnie kręconych schodów też są drewniane.

- I to koniec naszej wycieczki - mruknął Val.

Z pewnością nie, bo czemu w takim razie miał służyć jej sen, a po przebudzeniu - ta niezachwiana pewność, co należy zrobić?

- Jak tam głęboko? - spytał Val.

Próbowała sobie przypomnieć. Dla czteroletniego dziecka schody wydawały się bez końca. Jedno piętro? Dwa?

- W przypadku kręconych schodów trudno powiedzieć -odparł Alin.
Valirion przytrzymał się ściany i wyjrzał w ciemność.

- Żelazne rusztowanie nadal tu jest, jak widzę. Wsporniki, poręcz... tylko drewniane stopnie spłonęły.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegł Alin. - Cała konstrukcja jest obluzowana i odchodzi od ściany. Nie utrzyma cię.

Val poklepał się po brzuchu, szczerząc zęby.

- Cóż, nie jadałem ostatnio tak dobrze, jak zwykle. *Dorma Sarra*, czy zechcesz łaskawie potrzymać mój miecz?

Alin zaczął zrzędzić, lecz Sarra go uciszyła. -- Jestem najlżejsza. Ja powinnam iść.

- Ja jestem najsilniejszy. Alinie-O, nie odzywaj się. Jesteś lżejszy ode mnie, silniejszy od niej, ale masz lęk wysokości. Przy okazji, Sarro, jak otworzę skrytkę? Jeśli te książki są aż tak cenne, z pewnością będzie tam jakiś zamek.

- Albo zakaz — dodał Alin.

Sarra spojrzała w czarną studnię, przeklinając się w duchu. O tym również nie pomyślała.

- A może po prostu zejść i zobaczę, czy skrytka jest otwarta? Coś nam to powie, tak czy inaczej. Możemy zapytać scholara Solingirta, czy coś wie na ten temat.

Val już opierał się rękami i nogami o rusztowanie. Żelazny szkielet zaskrzypiał i zajęczał rozdzierająco, ale wytrzymał, zatem Val rozpoczął schodzenie. Sarra znalazła nogę od stołu, zwęgloną tylko z jednego końca, i Alin ją zapalił. Płomienie wzbily się w górę klatki schodowej jak spłoszone ptaki. Val klął za każdym razem, gdy rusztowanie trzeszczało groźnie, potem krzyczał, że nic mu nie jest, trochę się tylko podrapał. Wreszcie usłyszeli słaby odgłos kroków na pokrytym popiołem marmurze, co znaczyło, że dotarł bezpiecznie na dół..

- Jeśli książki nadal tam są - zauważył Alin niemal obojętnie - możemy sprowadzić linę z Shellinkroth.

- Aha, wniesienie ich wszystkich na pokład statku będzie... - Urwała, ponieważ na dole rozległ się jakiś hałas. -Val?! - Jej głos wrócił echem.

- Maurgen, ty wariacie, odpowiedz!!! - wrzasnął Alin.

- Mówiłem ci, żebyś się zamknął - usłyszeli z dołu, zanim jeszcze umilkło echo głosu Alina. - Znalazłem skrytkę, jest zapieczętowana. Ale nie czuję zakazu.

- Wrócimy tu później! - zawołała Sarra.

Val wspiał się na górę i Alin przeprowadził ich przez Drabinę w Akademii do Shellinkroth, a potem rzeczywiście wrócili.

13

- „Czy słońce świeci, czy deszcz pada, wokół Drabiny rośnie trawa” - zaśpiewała Imilial, kładąc na podłodze całe naręcze książek. Była to trochę zmieniona wersja zwrotki, którą Sarra знаła od dawna. - „Czy pada deszcz, czy słońce świeci, Drabina zaplątana w sieci”! - Chwilę wodziła wzrokiem po oświetlonej blaskiem świec kaplicy świętej Usevet, patronki rybaków. - Ten kawałek pasuje całkiem nieźle - wskazała na cienką, koronkową siatkę, przesłaniającą podmorski pejzaż wymalowany na kopule. - Ale nigdy bym nie przypuszczała, że cieplarnia w Akademii też jest Drabiną!

Sarra przytaknęła ze swego legowiska z płaszczy obok ołtarza i sięgnęła po następną książkę z najbliższej sterty.

- Kiedyś musiała to być piękna posadzka. Ten, kto pomalował te płyty, żeby wyglądały jak trawnik, musiał być prawdziwym artystą. Och, Imi! Spójrz na to! Czytałam wzmianki o pamiętnikach Steenana Oslira, ale nigdy nie udało mi się trafić na żaden egzemplarz - a ten jest nawet podpisany!

- Jeden z dziekanów, za którymi nie przepadam - powiedziała Imilial, ale mimo wszystko przyklęknęła, by popatrzeć, gdy nabierała kubek wody z wiadra, stojącego przy łokciu Sarry. - Prawdziwy nadzorca niewolników, jeśli wierzyć legendom. Przeglądały książki, pochodzące ze skrytki. Sarra nie mogła wyruszyć ponownie do Ambrai z powodu nagłego ataku mdłości. Zdaniem Alina, wystąpił tu klasyczny efekt Drabiny: podobne objawy pojawiają się niemal zawsze u kogoś, kto nie

będąc przyzwyczajonym do Drabin podróżuje nimi zbyt często i zbyt szybko. Wściekała się, ale tylko do momentu gdy Alin i Elomar Adennos wrócili z pierwszej wyprawy, uginając się pod ciężarem książek. Alin nie mógł pójść za radą Kanto Solingirta w kwestii zamknięcia skrytki - był tylko szczurem drabinowym, a nie prawdziwym magiem - lecz Elomar rozpoznał zaklęcie, bowiem bardzo podobne stosowano do zabezpieczania szafek z medykamentami. Val czekał przy schodach, gdzie wiązał książki w paczki, Advar Senison zaś wciągał je do góry na linie i układał w sterty, które, jedna po drugiej, trafiały na koniec do kaplicy świętej Ilsevet.

Trwało to już trzecią noc. W każdym razie Sarra sądziła, że minęły trzy noce; straciła zupełnie poczucie czasu i spała

0 najdziwniejszych porach. Na swoją wyprawę z Alinem

1 Valem wyruszyła nocą, do kaplicy też przybyli nocą, a w dodatku była pewna, że jest to ciągle ta sama noc. Mniej więcej. A zresztą niech Val się martwi o dzień i godzinę, zdecydowała po raz kolejny i położyła się spać. Spała, kiedy Val ruszył na spotkanie Imilial i pozostałych magów, Alin zaś poszedł szukać człowieka, mającego pieczę nad kaplicą, cichego sympatyka Sprzysiężenia. Szacowny ów starzec, równie zniszczony przez słony morski klimat jak jego kaplica, przyniósł jedzenie i wywiesił na drzwiach tabliczkę: ZAMKNIĘTE Z POWODU PRAC REMONTOWYCH.

Kiedy przybyli magowie - a Imilial zaczęła od razu narzekać, że czuje się jak karp w akwariu - Sarra właśnie się obudziła. Spała dość długo, teraz zamierzała wrócić do Ambrai i pomóc przy książkach. Lecz kiedy Advar Senison przyniósł jej chleb i ser, pochorowała się tak, że zanieczyściła całą podłogę z błękitnych płyt z wymalowanymi na nich srebrzystymi rybami.

Alin natychmiast rozpoznał, co jej jest, i poradził, by znów położyła się spać. Obaj Magowie Uzdrowiciele zalecili syrop makowy. Mając do wyboru spokojną drzemkę albo uciążliwe zawroty głowy, nudności i dreszcze, Sarra podjęła rozsądną decyzję. Oni tymczasem wyruszyli łupić bibliotekę Akademii. Zajęło im to trzy noce, cztery, może nawet pięć - trudno było to stwierdzić w półmroku kaplicy, gdy w dodatku niebo zaciemniały strumienie ulewnego deszczu. Najważniejsze jednak, że

książki wznosiły się w stertach do wysokości kolan wzdłuż całego obwodu pomieszczenia. Solingirt spędził wczorajszy dzień próbując ułożyć je tematycznie, zawiedziony, że nie znoszono ich tutaj w takim porządku, w jakim stały na półkach. Wreszcie dał spokój, przycupnął pod ścianą i czytał wszystko, co tylko wydało mu się godne uwagi. Będzie jeszcze dość czasu, aby zrobić porządek.

Sarra, choć nie czuła się jeszcze zbyt dobrze, również przeglądała książkę za książką. Nie miała pojęcia, jak uda im się zabrać je wszystkie ze sobą, ale jedna rzecz nie ulegała najmniejszej wątpliwości: sen powiedział jej prawdę. Caillet musi dostać i dostanie te książki. Warto było ryzykować.

Za każdym razem gdy Alin pojawiał się w kaplicy, wyglądał na coraz bardziej wyczerpanego. Imilial i Elomar, którzy mu towarzyszyli, o świcie też śniali się już nieco na nogach, jednak Alin, który dzięki swoim czarom przeprowadzał ich przez Drabiny, znosił to najgorzej. Z bardzo starej książki z magicznymi pieśniami Sarra dowiedziała się, dlaczego tak jest.

Drabina już na ciebie czeka, Do domu wiedzie cię z daleka. Czyś kupcem lub czyś gnany trwogą -Płacisz czarami, zawsze drogo.

- Ech! - jęknął Val. - Kiepska poezja.

- Zawsze się czepia - zaczął zrzędzić Alin, ale dosyć apatycznie. - Znalazłbyś błędy nawet u barda Falundira. Cz wiersz ma dalszy ciąg, Sarro? Czy jest w książce nasz „Piosenka o Drabinach”?

Usiedli obok niej, przytuleni. Valirion uczynił z nóg i ramion coś w rodzaju kołyski dla znużonego kuzyna. Ali z przymkniętymi oczami oparł się o jego pierś, tak drobny, że w objęciach Vala wyglądał jak dziecko. Co za rozkosz obrazek, pomyślała Sarra i uśmiechnęła się.

- Z tymi stronicami bardzo źle się obchodzono. - Podniosła książkę z kolan. - Były zszywane co najmniej pięć razy, sądząc po kolorach nici. Brakuje okładki i strony tytułowej. Może bard potrafiłby rozpoznać, co to takiego. A właśnie,

któregoś dnia trzeba będzie odwiedzić Dom Bardów i tam też poszukać książek.

- To całkiem niedaleko od Akademii - zaczaj Alin.

- Na drugim brzegu rzeki - uściślił Val.

- Nawet nie myśl o tym, żeby tam teraz wrócić, Alinie -oburzyła się Sarra. - Jeżeli cokolwiek przetrwało tyle czasu, jeszcze kilka tygodni nie robi różnicy. A teraz przeczytam dalszy ciąg, ale najpierw musisz mi obiecać, że zaraz pójdziesz spać i rozwiązywaniem zagadek zajmiesz się dopiero jutro.

- To znaczy dziś wieczorem - sprostował Val.

- Wszystko jedno.

- Wciąż nie możesz się połapać, jaki mamy dzień?

- Nie ciesz się tak, bo robią ci się zmarszczki - odparła, szczerząc zęby.

Alin poruszył się z wysiłkiem.

- Przeczytasz to wreszcie czy nie?

- Najpierw obiecaj.

Skinął głową, a powieki same mu opadły. Magowie szykowali sobie posłania z płaszczy i książek, ich zmęczone twarze oświetlała białobłękitna Kula, zapalona nad małym ołtarzem przez Kanto Solingirta. Unosiła się tam przez cały czas, kiedy nie spał, dając światło niezbędne do czytania i rozjaśniając mętny półmrok. Burza ucichła, lecz Imi zapewniała, że nazajutrz rozpęta się na nowo. Wkrótce mieli wyruszyć do następnego bezpiecznego domu. Nikogo nie cieszyła perspektywa marszu przez błotniste ulice Havenportu w taką pogodę, ale deszcz przynajmniej zatrzymywał w domu tych wszystkich, którym mogłaby przyjść ochota na złożenie wizyty świętej Ilsevet.

Sarra zaczęła czytać śpiewnym głosem, jak gdyby nuciła kołysankę.

Dwadzieścia dwa po dwakroć par Jest w henfell Drabin, jak chce bard; Lecz strzeż się, magu. Jednej brak. Przerwany krąg niweczy czar. Sześć Drabin każdy z shirów ma -Choć jedne więcej, inne mniej. Złącz szczeble w pary, suma da, Zważ, magu: dwakroć po dwadzieścia dwa. Dziwaczne liczby, przyznać chciej.

*Już ostateczny wynik znasz:
Sześć po piętnaście oto masz,
Dwadzieścia dwa po dwakroć też -
To pierwsze podziel. I już wiesz:
Odwieczny wróg wziął swą zapłatę,
A dziekan oplakuje stratę.*

- Bardzo kiepska poezja - mruknął Val. - Ale bardzdf dobra robota - zasnął jak kamień, z policzkiem opartym naj jasnej głowie świętego Alina.

To tyle, jeśli chodzi o mój kobiecy urok, uśmiechnęła siei Sarra w duchu, po czym podniosła wzrok, bowiem Elomar Adennos jak długonogi kot wyslizgnął się spod swego płasz-1 cza. Podszedł do niej, przykucnął i zerknął na książkę, którą trzymała na kolanach. /

- Dwadzieścia dwa po dwakroć to czterdzieści cztery.i Sześć razy piętnaście to dziewięćdziesiąt, podzielone na pół daje czterdzieści pięć. Dość proste. i

- Czterdzieści cztery pary Drabin - zgodziła się Sarra. Jednej pary brakuje.

- „Przerwany krąg”. I linijka - o tutaj: „A dziekan opła-; kuje stratę”. Jest oczywiste, o jakiej zapłacie mowa. i

- Za co? Za czary same w sobie? - spytała, myśląc o czterech pierwszych wersach.

- Za Straconą Wojnę. - Zakołysał się na piętach i pokiwał! głową. - „Odwieczny wróg” to Panowie z Malerris. Jedno; pytanie, *domna*. Czy ten krąg jest niepełny, ponieważ jest przerwany, czy jest przerwany, ponieważ jest niepełny?

Zmarszczyła brwi.

- Rozumiem, o co ci chodzi. A to znów każe się zastanowić, kto go przerwał i po co.

- I czy może zostać naprawiony... lub czy powinien. --Elomar Adennos skłonił się lekko i wrócił na swoje miejsce przy stopniach ołtarza.

Sarra przykryła niewielką stertę książek kapturem płaszczu i zwinęła się w kłębek do kolejnej drzemki. Jeżeli Alin dopasowuje swoje nocne koszmary do dziecięcej rymowanki, chyba trzeba by go związać, gdyby miał w ten sposób odnaleźć

Stracone Drabiny. Muszę ostrzec Vala i sama też bardzo Alina pilnować, pomyślała sennie.

Od tego właśnie jest przywódca, prawda? Aby troszczyć się o życie i bezpieczeństwo tych, którym przewodzi. A także wykorzystywać ich wrodzone zdolności. Wykorzystywać ich, tak jak ona wykorzystwała Alina, by uratować te książki, choć niemal padł przy tym z wyczerpania.

Orlin powiedział, że Taig Ostin spali się na popiół. Cóż, za niego też będzie musiała się wziąć, jak tylko dostanie go w swoje ręce razem z całym Sprzysiężeniem. Już niedługo, od nowego roku. Zasnęła, myśląc o Cailet i przyrzekając sobie solennie, że nie pozwoli nikomu jej wykorzystać, nawet Gory-nelowi Desse.

95 -

14

W noc przesilenia zimowego, najdłuższą w roku, opróżnili skrytkę w Ambrai z reszty książek. Alin przespał cały następny dzień, toteż ominęła go ożywiona dyskusja, w jaki sposób przetransportować rzadkie woluminy do Roseguardu. Kanto Solingirt zamierzał załadować je na pokład innego okrętu i sam nim popłynąć jako eskorta. Pomiędzy Haven-portem a Roseguardem zawsze kursował co najmniej jeden statek.

- Kupię trochę innych książek i położę na wierzchu - powiedział - żeby oszukać inspektorów. W ten sposób będziemy mogli zgłosić prawdziwy ładunek. Zawsze należy zakładać, że urzędnicy Rady umieją czytać - dokończył z pogardliwym prychnięciem.

Val potrząsnął głową.

- W ogóle nie musimy ich ukrywać, jeśli zapakujemy je do bagażu Sarry. Ma przywilej shiru, nie wolno przeszukiwać jej rzeczy.

Mag Scholar nie dawał się przekonać.

- Przyznasz, chłopcze, że tylko opóźnię waszą podróż.

- Nie będziesz więcej korzystał z Drabin - zaproponował Val. - Popłyniesz statkiem Pani Agatine razem z Imi i uzdrowicielami.

- Co to za różnica, na którym statku będę? Najwyraźniej Solingirt nie miał ochoty powierzać nikomu innemu cennych książek. Sarra mogła oczywiście zakończyć spór, wydając po prostu rozkaz, postanowiła jednak pozwolić,

Kanto - powiedział Advar senison - będziesz podejrzany, wioząc ze sobą tyle książek. Natomiast wędrowny uzdrowiciel podróżuje bez ciężkiego bagażu, może za to sprawować pieczę nad ładunkiem środków medycznych.

Sarra uznała, że to rozwiązanie przemawia do niej najbardziej. Z książkami pojedzie Senison, podając się za wędrownego uzdrowiciela, Imilia zaś stanowić będzie jego eskortę. Nie wspominając o dotrzymywaniu towarzystwa, pomyślała, śmiejąc się w duchu, gdy Imi bez mrugnięcia powieką wystąpiła z sugestią, że jako para małżeńska zwróć na siebie mniejszą uwagę.

Następnego dnia po przesileniu opuścili przybytek świętej Ilsevet. Imi i Advar ruszyli do Havenportu, gdzie mieli zatrzymać się w domu córki starego dozorca i jej męża; Sarra zaproponowała niewinnie, że mogliby wziąć jedną sypialnię, aby lepiej wejść w swoją rolę. Kiedy szóstego dnia Zimowej Luny deszcz wreszcie przestał padać, wozem dostarczono skrzynie, a następnie przewieziono zapakowane książki na statek, który nazajutrz wypływał do Bleybradden, Pinderonu i Roseguardu. Sarra, Alin, Val, Kanto Solingirt i Elomar Adennos tłoczyli się w domku dozorca. Domek ów, maleńki, w znacznej części drewniany i - co zrozumiałe - przesiąknięty zapachem ryby, stał na przełęczy pięć mil od miasta. Mieli tam spędzić trzy dni, czekając na statek do Ryki - w całkowitej beczynności, co nie wzbudzało zachwytu Sarry.

Za to scholar i uzdrowiciel sprawiali wrażenie najzupełniej zadowolonych. Elomar przesiadywał całymi godzinami, przywiązując ptasie pióra do haczyków na ryby, sporządzając kolorowe spławiki, by dozorca mógł je potem sprzedawać przed kaplicą świętej Ilsevet, i przez cały czas pogwizdywał pod nosem. Natomiast Kanto Solingirt czuł się bardzo szczęśliwy, że spotkał wreszcie kogoś w swoim wieku, kto tak jak on pamiętał dawne dzieje, toteż obaj starszankowie zabawiali się nawzajem długimi opowieściami. Kiedy dozorca wychodził do kaplicy, scholar studiował książki, które wyciągał ze skrzyń.

Valirion również był zajęty. Pierwszego dnia zaszedł aż do Havenportu, by poczynić niezbędne przygotowania. Nazajutrz postanowił zapolować na kaczki - próżny wysiłek, który zaowocował schwyтaniem zaledwie jednego chudego ptaka.

Trzeciego dnia wspiał się na strych i naprawił przeciekający dach. Sarra zazdrościła mu jego nieustającej aktywności.

Pozbawiona towarzystwa innej kobiety, z którą mogłaby porozmawiać - gdyż, jak większość opiekunów świątyni w całym Lenfell, ten również był wdowcem - Sarra zajęła się „Piosenką o Drabinach”. Na czystych kartkach, wydartych ze zbioru oficjalnych biuletynów, zapisali wraz z Alinem wszystkie zwrotki, jakie zdołali sobie przypomnieć: pozostawiając szeroki margines na różniące się wersje i wariacje.

- Ile zwrotek? - spytał Val, który zjadł właśnie ostatni kawałek duszonej kaczki.

- Dwadzieścia siedem Drabin w dwudziestu czterech zwrotkach - odparł Alin. Jego kuzyn jęknął, lecz Alin nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. - Możemy zidentyfikować szesnaście par.

- Czyli trochę więcej niż jedną trzecią spośród wszystkich, jakie istnieją, jeśli wierzyć tej drugiej piosence. - Sarra zaczęła masować sobie krzyż; drewniane krzesło było za wysokie i musiała pochylać się nad łóżkiem, gdzie rozłożyli książki. Do wyboru mieli tylko mały, rozchybotany stolik, który musieliby dzielić z Elomarem, jego haczykami i piórkami.

- Istniały - poprawił Alin. - Niektóre przepadły wraz z Ambrai, pamiętaj o tym. Drabiny są tam, gdzie ktoś ich potrzebuje - magowie, Panowie z Malerris albo dwór Ryka, dla ułatwienia pracy rządu.

Sarra przytaknęła.

- Myślę, że twoja teoria o *trzech* ośrodkach ma dużo sensu.

- Co do pozostałych - jedna musi prowadzić z Dombur-ronu do zamku Domburr, co tłumaczy, w jaki sposób An-niyas mogła pokonać Wielkiego Księcia i zabić tamtą Strażniczkę Magii tego samego dnia.

- A więc tak to zrobiła! - zawołała Sarra. - Powinam się domyślić. W książkach historycznych piszą o tym bardzo

pobieżnie, jakoby wydała rozkaz rozpoczęcia bitwy, a potem gnała co koń wyskoczy.

- Kto ją przeprowadził? - spytał Val.

- Nie wiesz? - Alin był szczerze zdumiony. - Auvry Feiran.

Sarra aż otworzyła usta ze zdziwienia, lecz zaraz się opanowała.

- Ale on nie mógł... to znaczy, miał zaledwie trzydzieści lat i nadal był Strażnikiem Magii...

- Powiedział mi to sam Gorynel Desse. - Alin sięgnął po kubek z letnią herbata, drugą ręką drapiąc się w głowę; wszystkim przydałaby się gorąca kąpiel. - Feiran zrobił to na jego rozkaz. Pamiętaj, że Gorsha był Mistrzem Miecza. Feiran-na obowiązywało posłuszeństwo. Mag Rycerz Lirsa Bekke wspierała Wielkiego Księcia i... Sarro, co z tobą?

- N-nic. Po prostu nie wiedziałam, że związki pomiędzy Feiranem a Annyas sięgają tak daleko w przeszłość. - Mówiła zdecydowanie zbyt wiele, ale nie mogła się powstrzymać. - On nie... to znaczy, słyszałam, że spotkali się dopiero wtedy, gdy poślubił Maichen Ambrai i urodziła się Glenin, a to było wiele lat później.

- Współpracują ze sobą długo i ściśle, istotnie, warto by się nad tym zastanowić - mruknął Valirion.

Ona zaś zastanawiała się, czy nie krzyknąć: „O ilu rzeczach jeszcze nie wiem!” I wtedy następna myśl spadła na nią: przez kilka tygodni podróżowała Drabinami, a przecież to samo mogli robić Glenin i Auvry Feiran.

A więc mogli też być na dworze Ryka.

Jak bardzo przypomina matkę? Pani Lilen powiedziała jej kiedyś, że jest podobna do Maichen. Czy ojciec i siostra również to zobaczą?

Zwróciła się do Vala.

- Mówiłeś, że byłoby trudno przebrać mnie za chłopca. A gdybyś miał mnie przebrać za dziewczynę?

- Hę?

- Nie, to się nie uda. - Wstała i zaczęła przechadzać się nerwowo. - Garon mnie widział. Zauważy.

- O czym ty mówisz?

- O tym - odezwał się Elomar Adennos z drugiego końca pokoju - że jest podobna do kogoś, kim nie jest.

Trudno byłoby wyrazić to lepiej, pomyślała Sarra. vi

- Nie martw się, *domna* - ciągnął, podnosząc wzrok znad żyłki zwiniętej wokół ozdobionego piórkiem haczyka. - Nic ci nie grozi, bo nikt się nie zorientuje, kim jesteś.

- Kim ona jest? - zainteresował się Val.

- Kim ona nie jest? - poprawił Alin.

Mag Uzdrawiciel uniósł lewą dłoń, palec wskazujący i środkowy były wyprostowane i złączone razem, mały zaś i serdeczny zgięte w taki sposób, że przykrywały kciuk. Do tej pory Sarra widziała taki gest tylko na rysunkach w starych książkach. Ale wiedziała, co oznacza: prawo maga. Rozmowę należało przerwać, gdyż nie powinien jej słuchać nikt prócz magów.

Alinowi w każdym razie to wystarczyło. Val otworzył usta, by jeszcze o coś spytać, lecz Alin uciszył go jednym spojrzeniem.

Tuż przed świtem, kiedy czynili ostatnie przygotowania przed wymarszem do Havenportu, Sarra znalazła chwilę, by pomówić z Elomarem na osobności.

- Co chciałeś powiedzieć, pokazując prawo maga? - spytała cicho.

- Tylko to, że postawiono zakazy. - Skończył układanie haczyków w pudełku z przegródkami i zamknął wieczko. - Wierz mi, one ukryją, kim jesteś.

- A jak myślisz, kim jestem?

Obdarzył ją dziwnym, powściągliwym uśmiechem.

- Pani - mruknął - twoje narodziny to był pierwszy poród, który przyjmowałem jako Mag Uzdrawiciel.

Dopiero po chwili odzyskała mowę.

- Jak zdołałeś zapamiętać jednego noworodka? - wykrztusiła.

Uśmiech stał się jaśniejszy, jak blask słońca wstającego właśnie ponad horyzontem.

- Ponieważ byłaś najpiękniejsza albo krzyczałaś najgłośniej; nie? Nie, chociaż byłaś ślicznym dzieckiem i zrobiłaś natychmiastowy użytek ze swoich płuc.

- Zatem jak..?

- Odpowiem ostrzeżeniem. Wybierając stosowne suknie, w których wystąpisz na dworze Ryka, uważaj, aby żadna nie

sięgała ci niżej niż - wybacz mi - dotąd. - Końcem palca leciutko dotknął jej koszuli pomiędzy piersiami i wyszedł. Znów oniemiała ze zdumienia.

Widział ją zupełnie nagą w strumieniu - i widział małe, okrągłe różowe znamię. Ojciec powiedział jej kiedyś, że pocałowała ją tam święta Siralla, aby jej serce zaczęło bić.

Ojciec, którego - być może - wkrótce znów zobaczy na dworze Ryka.

15

Późnym popołudniem znowu lunął deszcz, ciężki i ospały, który przestał padać dopiero po północy. Wczesnym rankiem Sarra znalazła się na pokładzie statku i nie musiała wcale udawać morskiej choroby, aby zamknąć się w kabinie. Efekt Drabiny ustąpił miejsca paskudnemu przeziębieniu.

Choć statek z Roseguardu przypłynął z opóźnieniem - nie wieczorem, ale przed świtem następnego dnia - zamiana poszła tak gładko, że Alin wprost kipiał od najgorszych przeczuć. O pierwszym brzasku dwóch marynarzy przybiło do brzegu małą wiosłową łodzią. Wysadzili pięciu pasażerów (handlarzy wina, zupełnie nieświadomych, jak pomyslną okolicznością jest ich zejście na ląd) i czekali na przystani, gdy tymczasem „*domna Liwellan*” poszła rozprostować nogi. W owej szarej godzinie przedświtu widziało ją bardzo niewiele ludzi, ziewających i zaspanych, którzy gasili lampy uliczne, myli sklepowe schody bądź pełnili ostatnią tej nocy straż.

Przechadzka okazała się tak dobrym lekarstwem na morską chorobę, że „Sarra” poczuła się na siłach spożyć śniadanie. W tym celu weszła do tawerny, otwierającej właśnie swe podwoje na przyjęcie wczesnych gości. Ale już po pierwszym łyku wina z korzeniami zakryła usta dłonią i pognęła pędem do ustępu na tyłach oberży. Kiedy wyszła stamtąd po kilku minutach, uprzejmy oberżysta odprowadził ją do samej przystani.

Niebawem marynarze wiosłowali z powrotem w stronę statku. Możliwe, że szalupa płynęła zanurzona nieco głębiej,

a wiosła stawiały większy opór, niż uzasadniałby to ciężar dwóch mężczyzn i młodej kobiety, ale i tak nikt nie zwrócił na to uwagi, nabrzeże bowiem było zupełnie puste.

- Zbyt łatwo poszło, zbyt łatwo - nie przestawał powtarzać Alin, Val zaś bez przerwy szturchał go łokciem pod płachtą nieprzemakalnego płótna, która przykrywała ich obu, a także obydwu magów. Ponieważ przemokli na deszczu, woda sięgająca do kostek nie sprawiała im większej przykrości niż skurczona pozycja - oraz duszny brezent, przesiąknięty zapachem morza i owiec.

Opłynęli statek dookoła i weszli na pokład po drugiej stronie, niewidoczni z Havenportu. Nie było łatwo wspiąć się po sznurowej drabince, ale i z tym jakoś sobie poradzili. Sarra nie miała pojęcia, jak uda się wytłumaczyć obecność magów, Alina i Vaia zdumionej załodze - z powodu obrzmiałego nosa nie była w stanie myśleć o czymkolwiek - więc postanowiła zdać się na roztropność i pomysłowość kapitan Nalle.

Agata Nalle, córka niewolnicy z Cantrashiru, w wieku lat osiemnastu została kupiona i obdarzona wolnością przez Orlina Renne. Dziewczyna chętnie porzuciła swoje niewolnicze imię i, jako wyraz wdzięczności, przyjęła odmianę imienia Agatine. Należąca do Czwartego Stanu rodzina Tarise Nalle dała jej dach nad głową, zawód i nazwisko. To ostatnie wbrew Urzędowi Cenzusu, który nadal uważał ją za byłą niewolnicę bez przynależności stanowej. Agata, licząca sobie obecnie trzydzieści jeden wiosen, przed trzema laty objęła funkcję kapitana flagowego okrętu Sleginów, „Różanej Korony”. Odwiedzała swoich dobroczyńców często, jak tylko pozwalały jej na to obowiązki; Sarra dobrze ją znała i bardzo lubiła. Wieczorem Agata Nalle zjadła z Sarrą kolację w' jej kajucie - podobnie w czasie podróży z Roseguardu dotrzymywała towarzystwa dziewczynie udającej Sarre, przynosząc jej także leki na złagodzenie morskiej choroby. Tego wieczoru przyniosła podarunek od Elomara, który przyrządził miksturę na przeziębienie. Bo chociaż gorączka już spadła, Sarre nadal bolała głowa i z nosa jej ciekło jak z zepsutego kranu.

- Kto był moim sobowtórem? - spytała Sarra, gdy już napiła się cuchnącego naparu.

- Mai Alvassy. Córka Tamy, kuzynki *domni* Renne. W twoim wieku, blondynka, drobna - nawet podobna z rysów. Tylko oczy miała niebieskie.

- Widziałam ją przez moment w tawernie. - Sarra umilkła, by wytrzeć nos. Nie zdziwiło jej ani trochę, że jest podobna do Mai Alvassy: ich matki były bardzo blisko spokrewnione. Usiłowała sobie przypomnieć jak blisko. Tama poślubiła Gerina Desse, syna siostry Gorynela i brata babki Allynis, Telomira. Matka Tamy była siostrą ojca Orlina - a ich kuzyn był dziadkiem Gerrina - słodcy święci, nic dziwnego, że genealodzy obrali sobie za patrona Tamasa Kartografa!

- ...Tak szybko zamieniłyśmy się płaszczami, że ledwo zauważyłam, jakiego koloru ma włosy - podjęła Sarra. A potem zniknęła. Czy wiesz, dokąd się udała?

- Tak, ale nie mogę ci powiedzieć - uśmiechnęła się Agata. - Przepraszam.

- Nie ma za co. Zaczynam się przyzwyczajać. Czy możesz mi przynajmniej powiedzieć, gdzie zwykle mieszka?

- W Domburronshir.

Oczywiście, pomyślała Sarra. Enis Dombur był dziadkiem Tamy. Jego posag przeszedł na jej matkę, a teraz na Mai. Jeśli dobrze pamiętam, to samotna posiadłość w Bezkresnych Górach. Można by tam urządzić niezłą kryjówkę dla Sprzysięże-nia...

- Sarro, moja droga, czy mogłabyś nie myśleć tak głośno? Zamrugła ze zdziwienia, a następnie uśmiechnęła się.

- Chyba nie słyszysz, jak obraca się ten kołowrotek, b jest owinięty wełną! Ago, głowa mi pęka!

- Napij się jeszcze herbaty. Zaparzył ją specjalnie dl ciebie ten chudy straceniec, który podaje się za Maga Uzdrowiciela. - Szeroka, ogorzała twarz Agaty zmarszczyła się o śmiechu. - Nie rozumiem, co Luse Garvedian w nim widzi. Lubię mężczyzn, którzy mają pod koszulą coś więcej niż tylk kościste ramiona.

- Ty i Tarise! - roześmiała się Sarra, nie wspominają bynajmniej, że ona sama już prawie zaczęła rozumieć, co widz Lusira w Elomarze.

- Spodziewałam się jeszcze dwóch gości - ciągnęła kapita Nalle, krojąc chleb z mąki kukurydzianej. - Ale Val Maurge mówi, że popłynęli innym statkiem z całą masą książek.

Sarra wyjaśniła, w jakim celu Advar Senison oraz Imilal Gorrst odłączyli się od wyprawy.

- ...To było niesamowite - tyle ksiąg, nie tkniętych i zapomnianych.

- Nie dziwi mnie to. Jakież mag sprzeniewierzyłby się własnej tradycji, otwierając skrytkę dla Anniyas?

- Hmm. O tym nie pomyślałam. - Liczba spraw, o których nie pomyślała, wzrastała zatrważająco. - Cóż, w każdym razie książki będą bezpieczne i trafią do rąk magów. Alin twierdzi, że kiedy staliście w porcie, dziekan wszedł na pokład na oczach wszystkich.

- Trudno byłoby to ukryć, a próbować - bardzo nierozsądnie. Oficjalnie udaje się do Ryki prosić o lepszą kwaterę. Trzeba przyznać, że jęczy zupełnie przekonująco.

- Aż tak źle? - Sarra wdychała aromatyczne opary. - Nie widziałam go, od razu wepchnęliście mnie tutaj. Jaki on jest?

- Ramiona ma przygarbione - nie tylko z powodu obowiązków scholara. Jest dziekanem... hm, to ciężar chyba ponad jego siły. Spotkałam go podczas ostatniej wizyty Pani Agatine w Havenporcie. Nie zyskuje na bliższym poznaniu.

Sarra słuchała i uczyła się. Choć wyglądało na to, że Sprzysiężenie składa się głównie z jej krewnych, musiała jeszcze poznać jego strukturę osobową i powikłane cele. Powinna je poznać, jeśli ma zamiar zostać prawdziwym przywódcą.

Przez pierwsze dwadzieścia jeden lat swego życia zadawała pytania wprost, jeśli chciała się czegoś dowiedzieć. Młodość oraz niewinność, które zwykle idą ze sobą w parze (a także dwoje szeroko otwartych oczu), najzupełniej jej do tego wystarczyły. Obecnie stała się dorosłą kobietą, jechała na dwór Ryka, nadszedł zatem czas na subtelności. Czas, aby mówić to, co myśli, w taki sposób, by nie było wiadomo, co myśli; aby mówić prawdę, nie mówiąc jednocześnie całej prawdy. („Moja jedyna Magiczna córka” - zabrzmiał jej w uszach głos Pani Lilen.) Musi teraz strzec wielu tajemnic, i to nie tylko własnych.

Lecz ponieważ Agata Nalle była starą przyjaciółką, jeszcze przez jakiś czas Sarra mogła posługiwać się metodą bezpośrednią. Zapomniała o swoim przeziębieniu - a może zadziałało lekarstwo Elomara - i zasypywała kapitana statku setkami pytań.

Gdy zbliżali się do portu Ryka, Sarra czuła się już w miarę pewnie. Elo uspokoił ją, że dla wszystkich pozostanie wyłącznie Sarra Liwellan. Wyuczyła się na pamięć mowy, z którą zamierzała wystąpić przed Radą. Udało jej się rozwiązać, przynajmniej po części, zagadkę Drabin. Jej przeziębienie już prawie minęło. A przede wszystkim miała zadanie do wykonania, prawdziwe zadanie dla Sprzysiężenia. Nareszcie.

Tego wieczoru wyszła na pokład i spotkała w końcu strachliwego, nieudolnego dziekana. Uraczył ją dziesięciomi-nutową litanią skarg: narzekał na ubóstwo, na wzrastający brak zaufania do Magicznych, na żalosne warunki życia w Shellinkroth. Choć Sarra zgadzała się ze wszystkim, co mówił, musiała się również zgodzić z Agatą Nalle: naprawdę potrafił jęczeć.

Sam dziekan ocalił ją od śmierci z nudów, kiedy poprosił ją o wybaczenie i odszedł na mostek, by stamtąd obserwować zawinięcie statku do portu. Po opuszczeniu pokładu mieli spędzić noc w gospodzie, koncesjonowanej przez Radę, a następnie udać się drogą lądową na dwór Ryka.

A tam Sarra mogła spotkać swego ojca i siostrę.

Nie patrzyła w stronę Ryki. Patrzyła na zachód, gdzie leżał Stracony Kraj. Gdzie czekała jej druga siostra.

Wkrótce, Caillet, myślała Sarra. Już wkrótce.

Zdrady

Garon Annyas spojrział na młodą kobietę, która wzięła go sobie za męża, i jego przystojną twarz zesześcił grymas rozdrażnienia.

- Wiecznie gdzieś wyjeżdżasz. Jak mam zostać ojcem córki, skoro nigdy cię nie ma?

Glenin obrzuciła go szybkim spojrzeniem i wróciła do pakowania.

- To nie jest odpowiedni czas na ciążę, Garonie.

- Dokładnie to samo powtarzasz od czterech lat! Matka nie jest z tego zadowolona, Glenin. Do tej pory powinnaś mieć już przynajmniej dwoje dzieci.

- Twoja matka zadowolila się tylko jednym.

- Moja matka nie ma tu nic do rzeczy.

Miała, i oboje o tym wiedzieli. Takie rozmowy, powtarzające się co jakiś czas od ponad dwóch lat, nieodmiennie irytowały Glenin. Ale ponieważ wciąż potrzebowała Garona, gdyż dzięki niemu mogła mieć wpływ na kochającą go bezgranicznie matkę, zdobyła się na wysilek, by ukryć swoje uczucia.

Odwróciła się do niego z uśmiechem.

- Zrozum, mężu, jak wiele jest do zrobienia. W ciąży nie mogłabym korzystać z Drabin, a nie znoszę podróżować statkiem. Ostatnie sześć tygodni przed rozwiązaniem i przez cały okres karmienia byłabym zupełnie unieruchomiona.

- Inni mogą cię zastąpić.

Już w chwili kiedy to mówił, poznała po jego minie, że on też w to nie wierzy. I czuje się urażony, ponieważ nie jest

w stanie robić tego co ona. Albowiem, pomimo starannego doboru ojca, pochodzącego z rodziny, w której Magiczni rodzili się nader często, Garon nie miał w sobie ani krzty czarów. Pod tym względem spotkało Avirę Anniyas straszliwe rozczarowanie, choć pod każdym innym uważała go za wzór wszelkich męskich cnót.

Glenin mogłaby powiedzieć na ten temat coś więcej. Przed matką Garon udawał słodkie i posłuszne dziecko - i tak samo zachowywał się wobec Glenin w ciągu pierwszego roku ich małżeństwa. Lecz delikatne aluzje Anniyas w kwestii dzieci przerodziły się ostatecznie w niedwuznaczne sugestie, a niebawem mogły się pojawić zdecydowane żądania. Krótko mówiąc, Garon znalazł się pomiędzy dwoma silnymi kobietami. I nie podobało mu się to ani trochę.

- Niewielu jest takich, którzy robiliby to dobrze - oświadczyła w odpowiedzi na jego kłamstwo. - Uśmiechnij się, Garonie - powiedziała, przeklinając w duchu, że musi się do niego wdzięczyć. - Jesteśmy młodzi i zdrowi. Mamy mnóstwo czasu na płodzenie dzieci.

A potem, ponieważ musiała go w jakiś sposób zadowolić i ponieważ musiała mu również przypomnieć, dlaczego to, co robi, robi tak dobrze, jednym prostym gestem zamknęła drzwi do ich sypialni. Zaskoczyła go. Nieczęsto posługiwała się wobec niego czarami; rzadko stosowane były tym bardziej skuteczne.

- Właściwie - uśmiechnęła się znacząco - dlaczego by nie spróbować?

Jej płatny, profesjonalny kochanek użył mniej więcej tych samych słów, kiedy wynajęła go kilka tygodni przed ślubem. Wyznała mu, że jest bardzo zakochana w swoim przyszłym mężu i chciałaby nauczyć się wszystkiego, co mężczyźni lubią w łóżku. Wszystkiego. Młody człowiek z radością na to przystał i rzeczywiście, wiele się od niego nauczyła.

Upokarzające doświadczenie - ale od początku wiedziała, że zapanować nad Garonem można jedynie przez zmysły. Nie wydawał się zdolny do bezinteresownych uczuć, nawet wobec matki. Jego życie składało się wyłącznie z przyjemności. Na ogół były to niewinne rozrywki: jazda konna, polowanie, taniec. Jego namiętność do hazardu nie wywoływała nadmiernego zgorznięcia; lubił też zjeść i wypić, jednak i tu pobleżał

sobie w stopniu umiarkowanym. Lecz interesował się również innymi kobietami i to już stanowiło większy problem. Glenin nie miała nic przeciwko temu, dopóki owe kobiety bały się jej na tyle, by nie dać się przyłapać. Nie zamierzała dzielić się nim w łóżku. Nie kochała go ani też nie pociągał jej fizycznie -choć dzięki jej subtelnym naukom stał się zupełnie znośnym kochankiem. Zdawała sobie jednak sprawę, że całkowita i niekwestionowana wierność małżonka jest niezbędnym warunkiem umocnienia jej osobistej władzy.

Poza tym Annyas nie byłaby szczęśliwa, gdyby jej ukochany chłopiec nie był szczęśliwy w łóżku żony. A ponieważ Glenin musiała zadowolić Annyas, musiała też zadowolić Garona.

Przyszedł do niej chętnie, nie z małżeńskiej powinności, lecz ponieważ naprawdę jej pragnął. A czemuż by nie? Wszyscy przyznawali, że jest piękna. Jak na razie nie było najmniejszej potrzeby uciekać się do pomocy tajemnych i nieco ryzykownych malerryjskich zaklęć miłosnych. Któregoś dnia może będzie musiała się nimi posłużyć - dosyć obojętnie godziła się z tą ewentualnością. W istocie, nie miała ochoty umartwiać się do tego stopnia, by przez resztę życia trzymać przy sobie tego mężczyznę. Nie zależało jej na wieczystym oddaniu męża. Potrzebowała jedynie jego małżeńskiej wierności.

Czasem ją jeszcze złościło, że ich wzajemne stosunki są zaprzeczeniem normalnego małżeństwa. Było rzeczą męża uszczęśliwiać kobietę i wzbudzać w niej pożądanie, tak jak rzeczą męża było martwić się o wierność żony. Glenin wiedziała, że jest prawdopodobnie najbardziej godną pożądania kobietą na świecie - bogatą, potężną, inteligentną, piękną. Mogła mieć każdego mężczyznę, którego by zapragnęła, wystarczyłby jeden znaczący ruch brwi. Ale jedyny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek pragnęła, umarł wiele lat temu.

Zatem wzięła sobie za męża Garona. Zaspokajanie tego mężczyzny - jakiegokolwiek mężczyzny - było dla niej krańcowym upokorzeniem.

Lecz za tym mężczyzną stała kobieta, która rządziła całym Lenfell. Tak więc Glenin zaciskała zęby i czyniła wszystko, aby Garon nie mógł się bez niej obejść, tak jak ona nie mogła się obejść bez niego - przynajmniej na razie.

8 - Wyprawa

Pozwoliła, aby jej ciało poddało się jego pieścizotom* natomiast myślami przebywała zupełnie gdzie indziej. Jutro* uda się do Dindenshiru, wykorzystując w tym celu Drabinę; Dwa tygodnie później popłynie w górę rzeki do Isodirui W trakcie tej podróży powinna udawać, że jest w ciąży; A kiedy dotrze do Firrense, nastąpi „poronienie”. Zasmucona! Anniyas będzie jej współczuć i zachęcać, by spróbowali zno^wu. Garon, uspokojony co do swojej męskiej sprawnością zapewne zechce złożyć zaraz następny jej dowód. Tyle że Anniyas może zakazać Glenin dalszych wyjazdów. Ale odkrycie kolejnej kryjówki Strażników Magii zrównoważy na jakiś czas nie spełnione ambicje dynastyczne. Glenin wiedziała

0 kilku takich miejscach.

Słodko jest mieć tajemnice, pomyślała, kiedy Garon stękał i pocił się pod nią (pozwoliła mu leżeć na sobie tylko raz; na eksperymenty z niekonwencjonalnymi pozycjami przyjdzie; pora, kiedy jego pożądanie zacznie słabnąć). Sprawowanie władzy polega na dostępie do tajemnic: gromadzeniu własnych i odkrywaniu cudzych, jedne i drugie można znakomicie wykorzystać do różnych celów. Ale zdradzając jedną tajemnicę, należało znaleźć na jej miejsce jakąś inną. Jeśli powi Anniyas o kryjówce magów, będzie musiała wejść w posiadanie równie cennej informacji, aby uzupełnić tę stratę. Ni martwiło jej to: każda z podróży, które dotąd odbyła, nastęczała wiele okazji do zdobywania nowych tajemnic.

Była jednak autentycznie wstrząśnięta, kiedy płynąc bark z Cichych Wód do Isodiru odkryła, że naprawdę jest w ciąży.

2

Glenin podróżowała nieustannie i zawsze podejmowano ją z wszelkimi honorami. Jej wyjazd w ostatnich tygodniach 968 roku nie różnił się pod tym względem od innych. Lecz sekretne wizyty i ciche powitania sprawiały jej o wiele większą satysfakcję.

Oficjalnie nie była Magiczna. Oficjalnie podróżowała na pokładzie statku Rady. Oficjalnie była specjalnym wysłannikiem Zgromadzenia Lenfell - stu dwudziestu wybieralnych przedstawicieli shirów, którzy co roku, od Dziewiczej Luny do Żniw, zjeżdżali się na sesje ustawodawcze. Oficjalnie, ponieważ to w jej imieniu zniesiono przestarzały system Krwi i Stanów, czuwała nad likwidacją tegoż systemu i składała odnośne sprawozdania przed Zgromadzeniem.

Nieoficjalnie została wyszkolona w Tradycji Malerris, podczas swoich podróży korzystała głównie z Drabin, służyła Pierwszej w Radzie i tropiła Strażników Magii. Zarówno swoje oficjalne, jak i nieoficjalne obowiązki wypełniała znakomicie. Statek opuszczał port Ryka, a Glenin oficjalnie znajdowała się na jego pokładzie. Przy pierwszej sposobności zsiadała na ląd i, nieoficjalnie, korzystając z Drabiny, odwiedzała sobie tylko znane miejsca. Kiedy statek zawijał do portu przeznaczenia, wślizgiwała się niepostrzeżenie na jego pokład. Ogromna biegłość w posługiwaniu się zaklęciami ciszy i niewidzialności była jej w tym bardzo pomocna.

Mówiono, że woli wpływać do portu bez dęcia w trąbki i schodzić dyskretnie z pokładu, by porozmawiać ze zwykłymi ludźmi, nie będąc przez nich rozpoznana. Stąd też jej oficjalnej przyjazdy prawie zawsze wypadały w środku nocy, a powitanie przez miejscowych dygnitarzy odbywało się dopiero nazajutrz - im późniejszym popołudniem, tym lepiej.

Przyjazdy nieoficjalne zdarzały się o każdej porze. Z pomocą Drabiny znajdującej się, dajmy na to, w Renig przenosiła się do zamku Malerris, a stamtąd do Kenroke, do zamku! Wyte Lynn, do Dinn, lub, krótko mówiąc, w niemal dowolnej miejsce w Lenfell. Jeśli tylko dysponowała Drabiną, prowa*? dzącą do głównego skupiska w zamku Malerris, możliwość; wyboru była praktycznie nieograniczona. Musiała jedynie pamiętać, aby we właściwym czasie zjawić się w porcie docelowy; wym statku i zaaranżować przyjazd oficjalny.

Panowie z Malerris - w samym zamku i gdziekolwiek indziej - przyjmowali ją z szacunkiem i miłością. Niektórzy; stali się jej przyjaciółmi, wielu nazywało dzieci na jej cześć. Była ich przeznaczeniem, oczekiwano powszechnie, że zrobi; użytek z tego, co osiągnęła Annyas.

Pierwsza w Radzie miała dość rozsądku, by zdawać sobie sprawę, kto ją zastąpi, lecz w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat ; nie zamierzała jeszcze wyrzekać się swojej władzy. Ponieważ-j jednak rozliczne obowiązki na dworze Ryka uniemożliwiały ! Annyas odwiedzenie zamku Malerris częściej niż kilka razy w roku, nie zdawała sobie sprawy z czegoś innego - żej prawdopodobnie nie doczeka już swych siedemdziesiątych; urodzin. i

Natomiast Glenin o tym wiedziała, wiedzieli też Panowie z Malerris.

Chociaż od dawna zakładano, że Glenin urodzi dziecko ; jeszcze przed śmiercią Annyas, to jednak ciąża, którą stwierdziła u siebie dziesiątego dnia Palenia Świec, nie została przez nikogo zaplanowana. W owym momencie nie sprzyjały temu Wielkie Krosna. Jej nic nie powinna spleść się z nicią Garona, dopóki Strażnicy Magii nie zostaną unicestwieni raz na zawsze, ponieważ istniało niebezpieczeństwo dywersji z ich strony. Nieustannie opowiadano o młodych Malerryjczykach, którzy odwrócili się od Mistrza Tkacza i przystali do magów. W osobie Auvry'ego Feirana Panowie z Malerris znaleźli ;

długo wyczekiwana zemstę. Zarówno on sam, jak i Tkacze przy Krosnach nazywali to dumnie „wielkim uwiedzeniem”. Pozyskanie Feirana stanowiło ich największy sukces, zatem wnuk tego człowieka mógł przyjść na świat dopiero wtedy, kiedy zostanie on uwolniony od Strażników Magii. A więc ta ciąża musiała zostać usunięta.

Poza tym Glenin nosiła w swym łonie dziewczynkę, a istniała bezwzględna konieczność, aby urodziła chłopca.

Ponieważ pozostawała wierna Tradycji Malerris, akceptowała wymogi, określające precyzyjnie moment narodzin i płeć dziecka. Ciąża Glenin została starannie zaplanowana przez Czwartego Pana, Mistrza Tkacza; troskliwie przygotowana przez Trzeciego Pana, Szafarza Nici; ostatecznie zaakceptowana przez Drugiego Pana, Mistrza Prząśnika, Pierwszy Pan zaś, Strażnik Krosien, cierpliwie na nią oczekiwał. Natomiast Piąty Pan, Seneszal ze Złotymi Nożycami, gotowy w każdej chwili przeciąć zbędną nić, był właśnie tą osobą, której Glenin winna zgłosić zaistniałe trudności. A on już zatroszczy się o ich rozwiązanie, bo należało to do jego obowiązków.

Ale ponieważ Glenin była też Pierwszą Córką Pierwszych Córek z linii, która brała swój początek na długo przedtem, nim zaczęto liczyć pokolenia, zatem buntowała się w duchu przeciwko poświęceniu Krosnom swojej własnej Pierwszej córki. Wiedziała, że nie wolno jej urodzić tego dziecka. Mimo to, nie zważając na liczne uciążliwe objawy wczesnego okresu ciąży, nie mogła oprzeć się pokusie, aby chociaż trochę odwlec nieuchronny moment.

Tak więc ani w Isodirze, ani w Firrense nie skorzystała z Drabiny i nie odwiedziła zamku Malerris.

W obu tych miastach, a także w kilku mniejszych, w których zatrzymywała się po drodze, robiła to co zwykle. Spacerowała po nabrzeżach i placach targowych, popołudniami piła herbatę w domach miejscowych dostojników, przyjmowała petycje do członków Rady, reprezentujących Dindehshir, Ri-nesteenshir i Gierkenshir, odwiedzała szpitale, szkoły i manufaktury.

Dzięki owym starannie zaplanowanym przechadzkom raz jeszcze pokazała, że nie jest poniżej jej godności wmieszać się w tłum pospolitych mieszczan; że nie zapomina o względach należnych najznakomitszym obywatelom; że potrafi być życz-

liwym pośrednikiem między zwykłymi ludźmi a ich wybranymi przedstawicielami; że wykazuje szczerą troskę o leczenie, oświatę i handel. I za to ją kochano.

Niektóre przejawy tej miłości prawdziwie ją cieszyły. Wśród wyrobów regionalnego rękodzieła zawsze można było znaleźć coś absolutnie zachwycającego - i w ten sposób nie tylko wzbogacała swoją garderobę, kolekcję biżuterii czy zbiory sztuki, lecz sprawiała też dużą przyjemność miejscowym obywatelom, gdy widzieli, że kupuje, a często i nosi jakiś wytwór miejscowego rzemiosła. Lubiła także godziny spędzane w najróżniejszych typach szkół. Małe dzieci traktowały ją z podziwem i cziłą, starsze dziewczynki marzyły, aby być w przyszłości takie jak ona, chłopcy nieodmiennie się w niej kochali.

Glenin wykorzystywała zręcznie swój spryt i wdzięk. Potrafiła zyskać sobie każdego i błyszczała zarówno podczas wielkich zgromadzeń, jak i w trakcie spotkań prywatnych. Pod tym względem różniła się zasadniczo od Annyas, która, rzecz niezwykła, była bardzo nieśmiała i potrzebowała kilku kieliszków mocnego alkoholu, nim odważyła się zasiąść do kolacji na cztery osoby. I chociaż w działalności politycznej wykazywała niemałą zręczność, to jednak z czasów dzieciństwa, spędzonego w wiejskich regionach Tillinshiru, pozostał w niej lęk przed spotkaniami towarzyskimi - jak gdyby w żadnej sukni, choćby najbardziej eleganckiej i kosztownej, nie czuła się wystarczająco dobrze ubrana, i jakby najdłuższa nawet kąpiel nie mogła usunąć roztaczającego wokół niej zapachu stodoły.

Pod tym względem Annyas znacznie ustępowała Glenin, a wszelkie porównanie dałoby efekt co najmniej komiczny. Glenin była nie tylko towarzyską z natury, ale w dodatku pierwsze lata swego życia spędziła na najznajomym, najbardziej oświeconym dworze w Lenfell jako Pierwsza Córka Pierwszej Córki wielu pokoleń Pierwszych Córek.

W czasach świetności Ambrai babka Allynis wydawała w ciągu tygodnia jedno wielkie przyjęcie w dniu odpowiedniego świętego i przynajmniej jeszcze jedno mniejsze, przede wszystkim po to by dowiedzieć się, co myślą Ambrajczycy.

Potrzebowała owych informacji do sprawnego rządzenia shi-

rem. Bankiety, pikniki pod gołym niebem, herbatki w ogrodzie, tańce we wsi, oficjalne bale, poranne czytanie poezji, popołudniowe spektakle, wieczorne koncerty, kolacje o północy - Allynis Ambrai po prostu uwielbiała urządzać przyjęcia. Maichen uczestniczyła we wszystkich, a także w wielu wydawanych na terenie kilku miejskich rezydencji. Glenin stanowiła nić łączącą matkę z młodym pokoleniem, ale oprócz tego uwielbiała przebywać z ludźmi, a oni uwielbiali ją. Obie z matką doskonale rozumiały, że te towarzyskie spotkania urządzone są w bardzo różnych celach: aby gromadzić nowiny i plotki, widzieć i być widzianym, flirtować, zalecać się i móc się zakochać (tak jak miało to miejsce w przypadku Maichen i Auvry'ego Feirana na wspaniałym balu, wydanym przez jej kuzynkę, Gorynnę Desse), a także aby dyskutować, targować się i prowadzić polityczne intrygi w atmosferze bardziej swobodnej niż panująca w oficjalnych gabinetach przyjęć.

Glenin wyjechała z Ambrai mając zaledwie osiem lat, lecz była bardzo spostrzegawczym dzieckiem, a obserwując swoją babkę i matkę, instynktownie rozumiała ich działania. Jako przyszła spadkobierczyni uczestniczyła we wszystkich wydarzeniach towarzyskich (z wyjątkiem tych, które rozpoczynały się zbyt późno, kiedy musiała już być w łóżku) od czasu gdy skończyła pięć lat. Od samego początku posiadała więc ogromną przewagę nad Anniyas.

Poza tym Glenin Feiran uchodziła za najpiękniejszą kobietę na świecie (z wyjątkiem może Lusiry Garvedian), natomiast Avira Anniyas na zawsze miała pozostać niska, pulchna i pospolita.

Słowo „pospolity” zupełnie za to nie pasowało do Isodiru. Zwano go również Żelaznym Miastem - rządzący nim ród, od którego przyjęło nazwę, utrzymywał, iż jest to wyraz uznania dla ich niezłomnego oporu wobec zakusów Wielkiej Księżnej Vellery Ganfallin, lecz bardziej prawdopodobnym powodem było zamiłowanie mieszkańców do ozdób z kutego żelaza. Drzwi, okna, bramy i kraty kanałów ściekowych, krzesła i stoły, ławki, półki na książki i ramy łóżek, parkany, balkony i zawieszane ponad ulicami pomosty - wszystko w zasięgu wzroku wykonane zostało z żelaznych, kunsztownie powyginanych prętów w kolorze czarnym lub białym.

Krew Isidir posiadała wyłączne prawo używania innych barw. W środku

i na zewnątrz ich przestronnych rezydencji dekoracyjne elementy z żelaza pokryte były jeśli nie purpurą Isidirów, to żółcią Isidirów i ozdobione obficie motywami z fiołków,* dzikiego łubinu, stokrotek, żonkili i mleczy. ;

Glenin nienawidziła Żelaznego Miasta. Czuli się tu jak w klatce, chociaż nie z powodu, który był najbardziej oczywisty. Żelaza w żaden sposób nie dawało się pogodzić z czarami, wyjątkiem były jedynie starożytne miecze, wykute niegdyś przez od dawna już nie istniejące Bractwo Caitiri. Strzeżona wieża w zamku Malerris, z żelaznymi prętami w ścianach, oddziaływała tak samo nie tylko na nią, ale na większość Magicznych. Rozmawiano tam o czarach i planowano, jak ich użyć, lecz posługiwanie się nimi nie było możliwe.

Jej wstręt do Isodiru, Żelaznego Miasta, dorównywał miłości, jaką darzyła Firrense, Miasto Obrazów, gdzie niemal każdą ścianę na każdej ulicy zdobiło ogromne malowidło. Sceny rzeczywiste lub twory wyobraźni; podobizny osób żyjących, zmarłych lub postaci mitycznych; wzory geometryczne, które powtarzały się tysiące razy lub nie powtarzały się nigdy - i zawsze można było tam znaleźć i podziwiać coś nowego. Mimo okap*ów i zasłon czynniki atmosferyczne prędzej czy później niszczyły barwniki. Żadna ściana nie przetrwała dłużej niż cztery lata. Wówczas malowidła albo zastępowano nowymi, albo - jeżeli były zbyt piękne, aby je utracić - przywracano starannie do poprzedniego stanu.

Każdy, kto odwiedzał Firrense, wybierał się na spacer ulicami miasta. Glenin uczyniła to nazajutrz po przyjeździe, w towarzystwie Starszej Bractwa Ścian (pełniła tę funkcję od dwudziestu lat, miała wybitne zdolności organizacyjne i znała się na sztuce, lecz w stosunku do osób na stanowiskach nie zawsze potrafiła się zachować), odkrytym powozem. Rozpoznawano ją na ulicach i entuzjastycznie witano.

Po raz pierwszy kazała się zatrzymać przy fantastycznym malowidle, przedstawiającym świętych -> wszystkich trzystu osiemdziesięciu sześciu ze starego kalendarza, po jednym na każdy dzień roku - które ciągnęło się wzdłuż całej Głównej Ulicy, czyli ponad ćwierć mili, od kaplicy Wszystkich Świętych aż do ostatniego sklepu przed Rotundą Kupców na wielkim placu targowym. Lusina i Lusir strzegli swoich stad; Maurget przymierzała naszyjnik z klejnotów, który podawała

jej Siralla; Velireon kosił pszenicę; Tamas wskazywał na mapie Firrense; Tirreiz liczyła złote monety; Jenavirra uśmiechała się łagodnie i smutno; wokół Jeymiana zebrały się leśne zwierzęta; Lirance stała na szczycie swojej wieży, a jej długie czarne włosy powiewały na wietrze niczym sztandar. Jedna scena kunsztownie łączyła się z drugą, wszystkie razem składały się na niezwykłą całość. Miramili biła w weselne dzwony, obok czekała Imili z koszem kwiatów. Steen pozdrawiał Delilah obnażonym mieczem; Gorynel składał czcionki na prasie drukarskiej, obok niego Eskanto zszywał strony, a Dei-ket odstawiał na półkę gotowe książki.

Nawet święci, których imiona dawno już zostały zapomniane, pojawiali się na owej ścianie, pomalowanej ponad pięć stuleci temu i ustawicznie od tamtej pory odnawianej. Prace przy malowidle trwały właściwie bez przerwy, ponieważ odnowienie całości zajmowało całe trzy lata i kiedy konserwacja dobiegała końca, zbliżał się już czas, by zaczynać wszystko od początku. Artyści nigdy nie popełniali błędów i fresk nie różnił się żadnym szczegółem od ogromnego szkicu przecho- wywanego pieczołowicie u Wszystkich Świętych. Tak wiele imion i symboli popadło już w zapomnienie, że spór na ten temat obrastał w opasłe tomy naukowych traktatów. Spośród owych utraconych świętych Glenin intrygował szczególnie złotowłosa mężczyzna, który przystawiał do ściany drewnianą drabinę. Nikt nie znał jego imienia, lecz Glenin wiedziała, że musi on być Strażnikiem Magii albo Panem z Malerris. Drabina świadczyła o tym ponad wszelką wątpliwość.

Przy innej ścianie, którą Glenin szczególnie lubiła, też trwały w tej chwili prace. Gdy jej powóz przejeżdżał obok, głośno wyraziła swoje rozczarowanie, ponieważ rusztowania i płachty brezentu przesłaniały wiosenny krajobraz Seinshiru. Starsza Bractwa zaczęła rozpywać się w usprawiedliwieniach. W połowie tego występu Glenin rozkazała stangretowi zatrzymać powóz. Zeskoczyła na ziemię, towarzysza nie odstępowała jej na krok.

- Wszystko jedno, chciałabym to zobaczyć - powiedziała Glenin. - Może dostaniemy też coś do picia. - Widok Seinshiru wymalowany został na ścianie tawerny, a ona potrzebowała czegoś, by uspokoić swój podstępny żołądek. Przekląty Garon.

- Bez wątpienia, bez wątpienia - wymamrotała Starsza Bractwa i pstryknęła palcami na jednego z forysiów.

Glenin przeszła ostrożnie pod rusztowaniem, na którym ustawiono zamknięte baryłki z farbą. Odsunęła na bok połę brezentu i ujrzała znajomy lazur morza, wysoką trawę i kwiaty, pluskający strumyk. Starsza Bractwa za wszelką cenę chciała być pomocna, pociągnęła więc następną płachtę, trochę zbyt energicznie.

Rusztowanie zatrzęsło się, brezent wysunął się spod przytrzymujących go cegieł - i zasłona opadła, ukazując inną scenę, która wdzierała się w wiosenne powaby Seinshiru. Nie, nie wdzierała się, wyrastała z nich, wybuchała z zielonego, spokojnego piękna ostrymi plamami gorących barw.

Starsza Bractwa wydała głośny jęk. Glenin osłupiała i tylko patrzyła w milczeniu.

Ambrai. Akademia Magów, Ośmiokątny Dwór, Do Bardów, Szpital Uzdrowicieli - tak, wszystko tam było. I wszystko stało w ogniu. Dotąd słyszała jedynie o zagładzi swego rodzinnego domu, a teraz ujrzała to przed sobą, w żywych kolorach.

Zobaczyła również człowieka, który jej o tym powiedział. Auvry Feiran, wysoki i wyniosły, stał samotnie na pierwszym planie. Był jedyną ludzką postacią na obrazie. Okrutny, zwycięski uśmiech, z jakim spoglądał na płonące Ambrai, powiedział Glenin wszystko o intencjach artysty.

- Pani, ja... nie mam pojęcia... - Starsza Bractwa prawie szlochała.

- Kto to zrobił? - spytała Glenin cicho.

- Dowiem się... przysięgam, że nie wiedziałam... och, natychmiast, Pani, obiecuję!

Nie mówiąc ani słowa więcej, Glenin, wróciła do powozu. Forys, który właśnie ukazał się w drzwiach tawerny, tyłk spojrział na jej twarz i w tej samej chwili kryształowe puchary z winem wypadły mu z rąk. Gdy spiesznie dosiadał konia, pojawił się oberżysta, gotów osobiście powitać dostojnego gościa. Ale zobaczył jedynie swoje najlepsze kryształy roztrzaskane na bruku, odjeżdżający powóz Glenin i nie dokończone malowidło na ścianie, na widok którego ugięły się pod nim kolana.

- Zakryć to! - wrzasnął, chwytając zwinięty brezent. -Czego się gapiacie? Pomóżcie mi! O łaskawi święci!

Glenin z kamienną twarzą wpatrywała się w plecy stangreta, lecz w środku kipiała gniewem. Jak oni śmieli? Jak? Oskarżyć Panów z Malerris o zniszczenie Ambrai, a mego ojca, że był ich narzędziem...

Ale obraz mówił jedynie prawdę. Prawdę - by całe Lenfell mogło ją zobaczyć i usłyszeć.

Och, lecz kto to zobaczył? Tylko ci, którzy zebrali się, aby powitać Glenin. Nikt nie odważy się o tym mówić.

- Kiedy dowiem się, kto to namalował... - zaczęła Starsza Bractwa.

- A dowiesz się? - spytała uprzejmie Glenin.

Kobieta zacisnęła szczęki. Oczywiście, że nie uda się odnaleźć artysty. Ktoś ostrzeże ją albo jego. Na świecie jest wiele miejsc, gdzie można się ukryć.

Ktokolwiek namalował ten akt oskarżenia, musiał wiedzieć, jakie to wywoła reakcje - i zaplanował sobie szybki odwrót. Wiele lat temu podobnej bezczelności dopuścił się bard Falundir, tyle że teraz sprawca wyciągnął wnioski z tamtej lekcji. Nie, nigdy jej - lub jego « nie znajdą.

Tak naprawdę Glenin nie dbała o to, nie zależało jej nawet na poznaniu nazwiska winowajcy. Najbardziej uderzyła ją zuchwałość tego czynu, który był niczym policzek wymierzony jej ojcu. Nie miała pojęcia, że do tego stopnia go nienawidzą. A więc obciążali go odpowiedzialnością za zniszczenie Ambrai, tak? A wraz z nim Panów z Malerris? A co z An-niyas, którą Falundir oskarżył pośrednio o to samo? Dlaczego jej nie było na obrazie?

Ciekawy tok rozumowania, zaszeptał głos w jej głowie, więc szybko zamknęła oczy. Tak, Doriazie - rzeczywiście, ciekawy. Czy to oznacza, że Sprzysiężenie zamierza uczynić z mego ojca łajdaka, którym kierują Panowie z Malerris, Anniyas zaś jest zupełnie niewinna? Czy to Anniyas obarcza odpowiedzialnością Auvry'ego Feirana i Panów? Czy może to tylko sprawka jednego buntowniczego artysty?

- Chcesz już wrócić, Pani? - spytała Starsza Bractwa. Glenin wyprostowała się nagle.

- Zaproszono mnie, bym obejrzała kilka nowych obrazów. Nie ma żadnego powodu, aby ten incydent zepsuł nam cały dzień.

Kobieta rozkazała stangretowi skrócić w lewo na najbliższym skrzyżowaniu; uznała widocznie, że uzyskała wybaczenie, gdyż na jej twarzy pojawił się rozbijający wyraz ulgi! Przez następną godzinę Glenin chwaliła i gratulowała, czekając z utęsknieniem chwili, gdy będzie mogła wrócić do Dorm Rady i spokojnie się zastanowić.

Znalazłszy się wreszcie z powrotem w swoich komnatach, poczuła gwałtowne mdłości. Zamiast spędzić na rozmyślaniach spokojną godzinę przed kolacją, spędziła ją klęcząc nad ustępem, spocona i wstrząsana kolejnymi falami wymiotów. Przeklęty Garon.

Kiedy zbliżał się czas wyjazdu z Firrense, zaczynała nienawidzić również i tego miasta. I tak skróciła swoją wizytę, pozostając na tyle tylko długo, by nie naruszyć nakazów; przyzwoitości i nie obrazić zbyt wielu ludzi - chociaż niemal wszyscy domyślali się przyczyny jej mizernego wyglądu. Objawy cichego współczucia irytowały ją, lecz mimo to przyjmowała je z wdzięcznością, a nawet cieszyła się w duchu tym kolejnym dowodem otaczającej ją powszechnej miłości. Nie chciała jednak niczyjej opieki i troski, chciała znaleźć się w zamku Malerris, raz na zawsze z tym skończyć, a potem wrócić do domu, na dwór Ryka.

Tam zaś będzie musiała zmagać się z nieodpartą pokusą, aby wykastrować swego męża - powoli, jego własnymi paznokciami do paznokci.

Ku swemu zdumieniu, podczas podróży w górę rzeki Rine, a następnie w dół rzeki Steen, czuła się całkiem nieźle. Łagodne kołysanie łodzi, płynącej spokojnym, szerokim nurtem, działało na nią kojąco. Poza tym niewiele miała tu do roboty, mogła odpoczywać, czytać i podziwiać przesuwając się za burtą widoki. Krajobraz w południowym Lenfell był znacznie mniej zróżnicowany niż na północy: tylko pol lodowe i góry, pofałdowane pola uprawne, podmokłe równiny Rokemarsh i niewiele ponad to. Sam Ambraishir wydawał się znacznie ciekawszy niż cały ten kontynent.

Ambrai... pamiętała jego piękno z tamtych odległych czasów, gdy podróżowała z rodzicami i dziadkami. Od Zwierciadła Maidil w urwistych Widmowych Górach rzeka Brai wiała się wąwozami przez dziką, skalistą krainę; dalej na południe ciągnęły się szerokie łąny pszenicy i pastwiska

a potem zaczynał się dwudziestomilowy spadek ku morzu, gdzie porywiste wiatry sprzyjały żegludze w górę rzeki, obchodziły się jednak bez miłosierdzia z wszelką roślinnością, która odważyła się wyrosnąć wyżej niż na kilka cali. Glenin podróżowała po całym Lenfell i odwiedzała wiele miejsc godnych podziwu, lecz w głębi serca największą jej miłością pozostawało nadal Ambrai.

Mimo to południe też miało swój urok, głównie z powodu bogactwa tutejszej roślinności. Bo kiedy w północnym Lenfell panowała zima, tutaj był środek lata. W sadach gałęzie uginały się pod ciężarem pęczniejących owoców; łany szybko dojrzewających zbóż rozpościerały się jak zielony aksamit tuż obok pól, gdzie ciężkie, złote już kłosa, wysokie na osiem stóp, falowały w podmuchach wiatru. Od czasu do czasu pojawiały się wioski lub małe miasteczka, położone z dala od rzeki, aby nie zalewały ich wiosenne powodzie spadające z rykiem z Bezkresnych Gór. Jednym z celów podróży Glenin było zbadanie możliwości wykopania rowów odwadniających i podniesienia brzegów, by osady mogły się bezpiecznie rozwijać, zaczęła jednak skłaniać się ku zdaniu, że budowa tamy jest lepszym pomysłem. Podobał jej się ten projekt, gdyż pozostawał bezsprzecznie w duchu Malerris: ujarzmić, okiełznać, obłaskawić obie wielkie rzeki, zamiast pozwalać im rozlewać się bezładnie każdej wiosny.

Glenin zawsze lubiła odwiedzać okręgi wiejskie - między innymi dlatego że nie musiała zapamiętywać wielu nazwisk. W osadach poniżej pięciuset mieszkańców trafiały się co najwyżej trzy rody oraz miejscowy urzędnik cenzusu, który dbał o należyte związki krwi. Kiedy po Straconej Wojnie wyeliminowano Piąty Stan, zniknęła też większość kalectw, lecz mimo to małżeństwa pomiędzy krajanami nadal zawierane były bardzo niechętnie. Do obowiązków Glenin należało także wysłuchiwanie próśb wieśniaków, którzy domagali się przybycia młodych mężczyzn z innych rodów, gotowych osiedlić się w okolicy i poślubić miejscowe dziewczęta, zapewniając w ten sposób dopływ świeżej krwi. Nazwiska tych młodych ludzi zostałyby zapomniane, bowiem ich dzieci przyjęłyby, oczywiście, nazwisko matki. Ale wszystko zanotowałyby skrzętnie urzędnik cenzusu, a strach przed chorobami i ułomnościami rozwiałyby się na okres kilku następnych

pokoleń. Glenin uważała, że to głupie, gdyż kalekie dziecko nie urodziło się w Lenfell od stuleci. Lecz było dla niej? sprawą dosyć prostą, a w dodatku przynoszącą niemałe korzyści, przysyłanie mężów do kilku odległych wiosek; Wszyscy ci młodzieńcy chcieli porzucić swoje rodzinne domy, część z nich wносиła posagi, a nieliczni, którzy mieli poślubić Pierwsze Córki, byli spokrewnieni z Panami z **Mar** lerris.

Tak więc Glenin płynęła w górę Rine do Isodiru, potem w dół Steen do Firrense, wypełniając po drodze liczne obowiązki, a z każdym dniem rosła jej złość na Garona.

Czwartego dnia Zimowej Luny wsiadła ponownie na statek dalekomorski.

Wy pływał on z Dinn do portu Firrense nad Morzem Śniegów, gdzie zawinął akurat w samą porę, by zabrać Glenin do zamku Domburr.

Na pokładzie oczekiwał jej Piąty Pan z Malerris.

Vassa Doriaz zupełnie nie przypominał swego zmarłego brata. Golonet był wysokim, szczupłym, wytwornym Iwe

0 aksamitnym głosie. Vassa był również wysoki, ale na ty kończyło się podobieństwo. Miał czterdzieści trzy lata i jeg silne, w młodości wspaniale umięśnione ciało zaczynało ju słabnąć. Ciemne włosy i niebieskie oczy, zimne jak górski jezioro; nieco poszarzały. Lecz te oznaki postępującego wiek były zwodnicze: w ciągu pięciu lat od uzyskania godność Piątego Pana Vassa własnoręcznie zabił siedemdziesięciu czterech Strażników Magii.

Wstał i skłonił się, kiedy Glenin weszła do kajuty. Gęste pozwoliła mu usiąść.

Postawiła w drzwiach magiczny zakaz, policzyła swoje bagaże, a następnie zdjęła kapelusz, sza

1 rękawiczki. Dopiero wówczas usiadła na drugim krześl i spojrzała w oczy bratu swego nauczyciela.

- Oczywiście już wiesz.

- Tak, *domna*.

A więc wciąż nie chcieli przyznać jej tytułu Pani, którego tak bardzo pragnęła.

Chociaż słyszała go ciągle jako Pierwsz Córka, nie znaczył dla niej nic, dopóki nie wypowiedział go Pan z Malerris. Z irytacji aż zadrżał jej głos.

- Trzeba koniecznie wymyślić jakiś powód, by popłynąć do Seinshiru zamiast do zamku Domburr. Dopilnuj tego.

- Uczynię to, *domna*.

Był przynajmniej na tyle dobrze wychowany, by powstrzymać się od zadawania pytań - w odróżnieniu od Strażnika Krosien. Pierwszy Pan nie uważał wcale, że jest kimś lepszym niż inni mężczyźni, uważał, że jest w ogóle kimś lepszym. Annyas wyraziła kiedyś wątpliwość, czy ojciec Pierwszego Pana nauczył go dobrych manier; Glenin wywołała gromki wybuch śmiechu, kiedy odparła, iż wątpi, czy Pierwszy Pan w ogóle miał ojca.

Lecz Ewa Doriaz, matka Goloneta i Vassy, wychowała obu swoich synów niezwykle surowo. Piąty Pan zdołał więc powściągnąć swoje niezadowolenie, chociaż musiał być naprawdę wściekły z powodu tej przypadkowej ciąży. Złożył jeszcze jeden dowód kurtuazji, kiedy nalał jej zimnego soku ze stojącego na stoliku dzbana i zaczekał na pozwolenie, zanim nalał sobie. Podobnie czekał, by ona przemówiła pierwsza, tak bowiem wypadło.

- Miałam powód, by nie korzystać z Drabin, Vassa -mówiła mu po imieniu, ponieważ nie mogła się zdobyć, by zwracać się do niego jak do jego brata. Skinął głową.

- Poronienie, spowodowane przez Drabinę, wywołuje większy wstrząs niż zabieg medyczny. Rozumiem. Wszyscy rozumiemy.

- To dobrze. - Skoro najtrudniejszą część rozmowy miała już za sobą, przedstawiła mu z kolei korzyści płynące z tej sytuacji, tak jak je widziała w owym dniu, kiedy Garon zapoczątkował cały problem. Gdy skończyła, Vassa ponownie skinął głową.

- Bardzo mądrze, *domna*. Mam nadzieję, że fizyczne dolegliwości nie są zbyt uciążliwe.

Jedenaście poranków spośród ostatnich szesnastu zaczynała od zwrócenia kolacji z poprzedniego wieczoru, na sam zapach jej ulubionej kawy oblewał ją zimny pot, każdego ranka dokładnie od pół do szóstej męczył ją ból głowy, który ustawał dopiero wtedy, gdy udało jej się wmusić w siebie coś do jedzenia. Niebezpiecznie łatwo wpadała w złość i, krótko mówiąc, czuła się potwornie.

- Nie ma o czym mówić - powiedziała.

- Miło mi to słyszeć. Gdy przyjdzie czas, twoja ciąża powinna przebiegać bez komplikacji. - Dopił sok i zmienił temat rozmowy grzecznie, ale stanowczo.

- Jeśli wolno, *domna*, chciałbym poruszyć kwestię, która niepokoi kilku spośród nas. Czy znana ci jest niejaka Sarra Liwellan? .
- Dziewczyna, która ma odziedziczyć majątek Sleginów? Mój mąż spotkał się z nią w ubiegłym roku w Roseguardzie, jak mi się zdaje. Cóż w niej takiego niepokojącego?
- Fakt, że widziano ją w zamku Malerris, kiedy powinna znajdować się na pokładzie statku w drodze do Havenportu.
- W zamku Malerris...! - Glenin pochyliła się ku niemu. Drabina? Która?
- Kaplica w Shellinkroth. Ona i towarzyszący jej dwaj młodzi mężczyźni zostali w drodze powrotnej skierowani do Drabiny Zdrajcy. Ale niewiele brakowało.
- Oczywiście niczego nie znaleźli.
- Kości i pustą wieżę. Tyle że Strażnicy Magii dowiedzieli się o następnych dwóch - a właściwie czterech - Drabinach. Pytanie, kto z tej trójki jest Magiczny?
- Nie było żadnego maga ani Pana o nazwisku Liwella od pokoleń.
- Od czternastu pokoleń, ściśle mówiąc.
- Kim byli mężczyźni?
- Nie wiadomo. Wygląda jednak na to, że obaj przybyli z Straconego Kraju, tak mi przynajmniej mówiono - chociaż obserwację trzeba było prowadzić z daleka i niczego nie udał się podsłuchać.
- Ze Straconego Kraju?
- Mieli buty ze skóry galazhi.
- Często się jej używa do tych celów.
- Została poddana działaniu kwasu przed garbowaniem, nie po.
- Och. - Kwaśne deszcze powodowały występowanie niezliczonych odmian skóry - na rękawiczkach Glenin powtarza! się bardzo rzadki wzór topniejących płatków śniegu - ale znaki na skórze przybierały nieodmiennie białą barwę. Uszkodzenia powstałe w trakcie garbowania były zawsze brązowe.
- Straceńcy, powiadasz? - Na kilka chwil popadła w zadumę, potem się uśmiechnęła.
- Przynajmniej jeden z nich by! wysoki, ciemny i bardzo przystojny.
- Tak twierdzi Pani Ria - odparł Vassa, drgnął mu przy tym kącik ust.

Pani Ria. Glenin zrobiła dla Malerris nieskończenie więcej niż ta uśmiechnięta idiotka, której jedyną zaletą była zdolność rodzenia dzieci. Powiła różnym Panom pięć córek i trzech synów, a wszyscy okazali się silnie Magiczni i niemal tak samo głupi jak ich matka.

A jednak Ria Shakard z Trzeciego Stanu była Panią, natomiast do Glenin Feiran, Pierwszej Córką Krwi Ambrai -która musi poświęcić swoją własną Pierwszą Córkę, ponieważ rozkazano jej urodzić syna - zwracano się *domna*. Tylko *domna*.

- Skąd wiedziałaś? - spytał.

- Któż inny mógłby to być, jeśli nie Taig Ostin?

- To... nie przyszło nam do głowy - powiedział wolno Doriaz. - Nikt z nas nigdy go nie widział.

- Nikt z was nie podróżuje tak wiele jak ja. Ostatnio słyszałam, że Taig Ostin był w Rokemarsh. - Po chwili wahania, tak krótkiej, że uszła uwagi nawet spostrzegawczego Piątego Pana, dodała: - Sześciu Strażników Magii mieszka w jednym z tych absurdalnych domów na palach w Jena-tonie.

- Zgadza się - powiedział z ironicznym uśmiechem i przez moment bardzo przypominał swego brata. - Jenavirra od otwartych ksiąg, patronka wspomnień.

- Ci, którzy ocaleli, zaszyli się gdzieś na krańcach świata, tak jak tych sześciu.

Kazałam ich obserwować, rzecz jasna, w nadziei że złapiemy grubszą rybę niż Taig Ostin.

Wymówce towarzyszyło niedbałe wzruszenie ramion. Prawdę mówiąc, w ogóle nie musiała o tym wspominać; Pierwszy Pan cenił zdolności Glenin na tyle, iż pozwalał jej kierować się w takich kwestiach własnym osądem. Oczywiście, pozwolenie wydał mężczyzna i było to w najwyższym stopniu upokarzające. Ale ojciec wyjaśnił jej kiedyś, że stanowi to niezbędny element posłuszeństwa należnego tym, którzy stać się mieli niebawem Tkaczami przy Wielkich Krosnach.

Ponadto ową rybą, na którą od siedemnastu lat polowali wszyscy Panowie z Malerris, był bliski przyjaciel i dawny kochanek matki Taiga Ostina; jeśli ktokolwiek mógł ich doprowadzić do Gorynela Desse, to właśnie Taig.

A wreszcie to nie jakiś tam Pan - czy nawet Pierwszy Pan - siedział w tej chwili naprzeciwko niej. Vassa Doriaz był

9 - Wyprawa

Seneszalem ze Złotymi Nożycami, posiadał prawo decydowania o życiu lub śmierci i podlegał w tym wyłącznie Strażnikowi Krosien. To on wyszukiwał skazy i je eliminował.

- Jeśli pozbawimy Taiga Ostina jednej kryjówki, będzie musiał poszukać sobie następnej. Sądziś, że już niebawem zabraknie mu takich miejsc.

- Prędzej czy później - odparła Glenin, ponownie wzruszając ramionami. - Zabij tych magów w Jenatonie. Pozwoliłam im żyć już wystarczająco długo, a i tak nie mieliśmy z nich wielkiego pożytku. Jeśli zrobisz to jak należy, może uda się ich przekonać, by powiedzieli nam coś przed śmiercią.

Była to przejrzysta aluzja i Vassa Doriaz lekko zeszywniał. Był zręczny i bezwzględny - cechy niezbędne u Piątego Pana, który musi sprawować sądy z większą surowością niż święty Venkelos - lecz Annyas powiedziała mu kiedyś prosto w oczy, że za bardzo lubi swoją pracę: „Akceptujesz konieczność i nigdy nie odczuwasz straty. Pożałuj straconego życia, Doriazie. Pożałuj zerwanych nici. Póki się tego nie nauczysz, twoje Złote Nożyce zawsze będą cięły zbyt szybko”.

Siedemdziesięciu czterech Magicznych w ciągu pięciu lat to najlepszy dowód, jak szybko cięły. Glenin zastanawiała się, czy Doriaz zapisze owych sześciu na swoje własne konto, czy też pozostawi ich podwładnym, którzy pragnęli się odznaczyć. Cóż, to nie jej zmartwienie. Zgodnie z ułożonym wcześniej planem poświęciła jedną tajemnicę - przekłętą Garon, prze niego straciła tajemnicę, Pierwszą Córkę i mnóstwo czasu zatem musiała zdobyć następną, aby powetować sobie tą stratę. :

- Gdzie przebywa obecnie Sarra Liwellan?

- Wkrótce zjawi się na dworze Ryka i przedstawi Radzi prośbę o przyznanie jej prawa dziedziczenia ziem Sleginów.

- Cóż, nie może być Magiczna, a Taig Ostin z pewnością nie jest - inaczej nie otarłby się tak blisko o śmierć jak wtedy w Shainkroth. A więc to ten drugi mężczyzna przeprowadź ich przez Drabiny. Jak wygląda?

- Drobny, jasnowłosy. Nic charakterystycznego.

- Szkoda. Dopravdy powinniście częściej opuszczać swój zamek. - Skinęła na niego, by nalał jej jeszcze soku. Gdy to uczynił, powiedziała: - Jestem trochę zmęczona. Czy moglibyśmy dokończyć tę rozmowę jutro?

- Oczywiście *domna*.

Za wszystkie drobne zniewagi, których mu nie szczędziła, zawsze mógł jej odpłacić

- z nienaganną kurtuazją - tym lekceważącym tytułem. Zmusiła się do uśmiechu.

Gdy zamknął za sobą drzwi, pięcioma długimi łykami wypła sok owocowy.

Kilkanaście minut później, kiedy zabrała się właśnie za rozpakowywanie nocnej

koszuli, musiała rozstać się z sokiem. Ledwo zdążyła dobiec do miednicy.

Zatrzęsła się w bezsilnej złości. Przeklęty Garon! Niech będzie przeklęty w Piekło Geridona!

W owym mitycznym miejscu mężczyźni niewierni, natarczywi seksualnie lub

niezdolni do zaspokojenia kobiet, które ich poślubiły, skazani byli na wyrefinowaną

tojjurę wiecznej, pełnej, nigdy nie zaspokojonej erekcji.

3

Jedynie północne wybrzeże wyspy umożliwiało dostęp do zamku Malerris. Nie było tam co prawda zatoki na tyle głębokiej, by mógł do niej wpłynąć oceaniczny statek, nie było jednak również żadnych zdradliwych prądów, tak jak na południu, gdzie wpadały do morza wody Viranki. Glenin żałowała, że nie ma czasu na odwiedzenie wodospadu. Zresztą teraz, kiedy Strażnicy Magii wiedzieli o tamtejszych Drabinach i mogli się zjawić w każdej chwili, pociągałoby to za sobą zbyt wielkie ryzyko. Ludzie z rybackiej wioski, stanowiącej jedyną osadę na wyspie, nie wiedzieli absolutnie nic o jej pozostałych mieszkańcach. Od pokoleń zabobonny lęk powstrzymywał ich przed zbliżaniem się do zamku, nawet przed jego zniszczeniem w 960 roku. W dawnych czasach Malerryjczycy wysyłali na dół służących po zakup różnych produktów: wszelkiego rodzaju morskich stworzeń oraz warzyw i owoców, uprawianych na stokach wzgórz ponad wioską. Obecnie całe zaopatrzenie dostarczano Drabinami.

— Byłoby nieźle mieć znowu stałe źródło świeżej żywności - zauważył Vassa Doriaz, kiedy łódź wiosłowa wiozła jego i Glenin do brzegu.

Właśnie uzupełnienie zapasów stało się powodem zmiany kursu. Pierwszej nocy po wypłynięciu statku Doriaz obluźował szpunty we wszystkich baryłkach ze słodką wodą załadowanych na pokład w Gierkenshirze. Kapitan posiniał z wściekłości i złożył solenne przyrzeczenie, że nie tylko on, ale żaden

inny statek Rady nie będzie się już nigdy zaopatrywał u tego kupca, a sama Annyas dowie się o wszystkim.

Jedyną pociechę stanowił fakt, że składy portowe należały do Ostinów, zatem doprowadzenie ich do ruiny sprawi satysfakcję Pierwszej w Radzie.

Zapasy słodkiej wody mogły obecnie wystarczyć na rejs do Seinshiru, ale nie do zamku Domburr. Ponieważ wieść o ciąży Glenin już się rozniosła, kapitan rozkazał płynąć z pełną prędkością do najbliższej zamieszkałej wyspy. Była nią, oczywiście, wyspa Malerris.

W roku 961 zmieniono jej nazwę, by uczcić Auvry'ego Feirana. Propozycja wyszła od Annyas, spotkała się z aprobatą Rady i - mały dowód wdzięczności wobec byłego Strażnika Magii, który zaplanował zniszczenie zamku - na mapach wyspa nosiła obecnie miano Feiranin. Lecz mało kto nazywał ją inaczej niż Malerris.

Glenin dzielnie zniosła zdumione spojrzenia mieszkańców wioski, kiedy Doriaz pomógł jej wysiąść z łodzi na brzeg. Uśmiechnęła się i wypowiedziała słowa pozdrowienia, zastanawiając się jednocześnie, czy będzie zmuszona wykręcić się zmęczeniem, by uniknąć zorganizowanych naprędce uroczystości powitalnych.

Niepotrzebnie się martwiła, wyspiarze mieli jeszcze sporo pracy przed zmrokiem, więc po krótkiej mowie burmistrza czym prędzej się rozeszli.

Glenin i Doriaz udali się do Domu Rady, gdzie mieli spędzić noc. Żadna miłośnica w Lenfell, nawet najlichsza, nie mogła obejść się bez tego typu budowli, przeznaczonej dla członków rządu, objazdowych sędziów i innych oficjalnych osób. Dom na Feiranin był jednym z najbardziej niepozornych: składały się nań cztery ceglane ściany, słomiany dach, trzy okna i proste drewniane drzwi na skrzypiących zawiasach. Cały budynek zmieściłby się w salonie Glenin na dworze Ryka.

W środku prezentował się jednak nieco lepiej. Ktoś zatroszczył się o umeblowanie jedyne go pokoju, wstawiając tam dwa krzesła, wyściełaną kanapę, lampę i kilka małych stolików. Wysoki składany parawan oddzielał kąć przeznaczony do spania, który mógł poszczycić się łóżkiem z wysuwaną szufladą na pościel, małym piecykiem na koks, wystrzępionym dywanem z Tillinshiru oraz miednicą i dzbankiem do mycia

na żelaznym stoliku. Nie było żadnych przyborów kuchennych, jedzenie i wodę dostarczano z wioski.

Glenin ułożyła poduszki na kanapie i rozsiadła się wygodnie, opierając nogi na krześle.

- Przypuszczam, że się rozchoruję - oświadczyła. Doriaz skinął głową.
- Kiedy rozejdą się wieści o twoim poronieniu, zabronimy komukolwiek tu wchodzić. Ty, oczywiście, będziesz już w za* mku. Wyruszymy nocą.
- Chcę natychmiast wrócić na dwór Ryka.
- Bez Drabiny to niemożliwe.
- Czy myślisz, że wspomniałabym o tym, gdybym wszystkiego nie przemyślała?
- Jak masz zamiar użyć Drabiny, nie zdradzając przy okazji, że jesteś Magiczną? Wiązało się z tym ujawnienie jeszcze jednej tajemnicy - ta świadomość nie wpływała dobrze na jej i tak już zszargane nerwy - ale ponieważ tajemnica nie była jej wyłączną własnością, jakoś się z tym pogodziła.
- Co jest ważniejsze - powiedziała wyzywająco - ujawnię* nie, że w zamku Malerris nadal funkcjonują co najmniej dwie Drabiny, czy schwytanie Taiga Ostina na dworze Ryka?

Vassa Doriaz zmarszczył brwi.

Czując, jak rośnie w niej nienawiść, Glenin mówiła dalej:

- Jeżeli Desse jest mózgiem Sprzysiężenia, to Ostin jest jego silną prawą ręką. W zamku Domburr czeka na mnie ojciec. Wyślij tam mój statek - zabierze to dobre pięć dni, al nic na to nie poradzimy. Ojciec był kiedyś Strażnikiem Magii. Może korzystać z Drabin i nikogo to specjalnie nie zdziwi. To konieczność polityczna, ale powiemy, że chodzi o moje zdrowie. Mam zamiar rozchorować się bardziej niż myślisz, Vassa.

I tak też wyglądała Glenin, kiedy opuszczała Dom Rady pięć dni później -blada, słaba, wsparta na ramieniu ojca. Pomógł jej wsiąść do małego, wymoszczonego kocami powozu, który zawiózł ją powoli do zamku Malerris. Stamtąd Auvry Feira zabrał córkę na dwór Ryka, korzystając w tym celu z Drabiny.

A jeśli chodzi o wysokiego ciemnowłosego mężczyznę, który towarzyszył Glenin w Domu Rady - to nikt nigdy ni widział, aby stamtąd wychodził.

4

Auvry Feiran był zasmucony, ale pogodził się z koniecznością. Anniyas była zdruzgotana, lecz zarazem pełna nadziei na przyszłość. Elsvet Doyannis, która miała już męża i dwie córki, była szczerze przejęta współczuciem z odrobiną tylko satysfakcji.

Garon był wściekły.

- Jak mogłaś być aż tak głupia?! - krzyczał, chodząc tam i z powrotem po jej sypialni. - Gdy nareszcie nam się udało, ty to zniszczyłaś!

Glenin leżała wsparta na poduszkach i przerzucała oficjalne dokumenty. Musiała odpoczywać przynajmniej przez jeden dzień, aby słaby stan jej zdrowia nie wzbudzał wątpliwości, chociaż uzdrowicielka w zamku Malerris zrobiła to, co do niej należało, z absolutnie bezbolesną perfekcją. Glenin nie czuła nawet żadnych skurczów. Złościło ją, że musi udawać bezradną i chorą, ale wysłuchiwanie pretensji Garona było o wiele gorsze. Okazał chociaż tyle przyzwoitości, by wyładować swój gniew dopiero wówczas, kiedy zostali sami. Musiał być rzeczywiście wzburzony, skoro w ogóle na nią krzyknął.

Tak czy inaczej nie miała ochoty tego słuchać.

Odłożyła na bok papiery i podniosła wzrok.

- Jak ja mogłam? Jak ty mogłeś! Zatrzymał się w pół kroku.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Planowałam tę podróż od tygodni, a ty celowo postarałeś się, żebym zaszła w ciążę! A jeśli nie jestem już w ciąży, to

wyłącznie twoja wina! Wiesz, jak niebezpieczne są Drabiny dla Magicznego dziecka!

Zacisnął usta i spojrzął w inną stronę.

- Winny zarzucanych mu czynów - powiedziała ze złością. - Mogę się z tobą za to rozwieść, Garonie.

Odwrócił się raptownie. Liczne i długie wstążki przy jego koszuli, których celem było podkreślanie wolnych i eleganckich ruchów, ciągnęły się za nim jak wodorosty w fali odpływu. Wyglądał śmiesznie, jak większość mężczyzn, kiedy usiłują nadążyć za modą wprowadzoną przez kogoś innego. Jeśli wystarczyła jej krótka nieobecność, by zaczął wkładać na siebie takie potworności, to czegoż jeszcze można się po nim spodziewać?

- Nigdy się ze mną nie rozwiedziesz- powiedział jej mąż. - Nigdy. Matka się na to nie zgodzi.

- Zna prawa prokreacji tak samo dobrze jak ty! Ma tylko dla nich więcej szacunku! - Wspomniane prawa mówiły wprost, że to kobieta decyduje, kiedy - jeżeli w ogóle - chce urodzić dziecko. Zapobieganie niepożądaney lub przypadkowej ciąży należało do obowiązków męża. Istniały najróżniejsze sposoby, od zwykłej wstrzeźliwości, przez prezerwatywy z jelit baranich, aż po wymyślne leki, stosowane przez najbogatszych. Garon nie zaliczał się do mężczyzn wstrzeźliwych, a prezerwatywy użył jeden raz, po czym stwierdził, że psuje mu to przyjemność - jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

- Mój drogi mężu - dokończyła Glenin. - Czy miałbyś coś przeciwko temu, by twoja matka zajrzała do twojej szafki z lekami? - Doskonale wiedziała, że butelka, o którą jej chodzi, jest prawie pełna i natychmiast by go to zdradziło. -Wiedz zatem, że odtąd ja mam zamiar to robić. O każdej pełni księżyca.

- Miałem powody! - burknął Garon. Był to zwykły wykręt; w jego oczach pojawił się strach. - Już od lat powinnaś mieć dziecko! Matka też tak uważa!

Znowu ten sam argument - rozmawiać na ten temat też nie miała ochoty.

- Opanuj się, Garonie - powiedziała i chcąc, aby ktoś tę rozmowę przerwał, wezwała w myślach pokojówkę z sieni na dole - łagodnie, delikatnie i bardzo szybko, toteż dziewczyna

nawet nie zdążyła się zorientować, że nie był to jej własny pomysł.

- Masz pewnie zamiar mnie ukarać, zabraniając mi wstępu do swego łóżka? - zakpił Garon. - To nie jest żadna kara, Glenin, a twoje łóżko nie jest jedynym, jakie odwiedzam.

Zamarła i odwołała wezwanie tak gwałtownie, że służącą aż do następnego popołudnia bolała głowa.

- Coś ty powiedział? - szepnęła.

- Cóż, a jak się ma zachowywać zdrowy, normalny mężczyzna? Wyjeżdżasz na całe tygodnie. Pod twoją nieobecność nie bawi mnie udawanie eunucha, który tylko kręgosłup ma sztywny!

Uczucie, które Garon błędnie wziął za szok, oładnęło nią z taką siłą, że po prostu nie mogła się ruszyć. Wyraźnie go to ośmieliło, gdyż uśmiechnął się do niej.

- Jestem młody, przystojny, bogaty i wzbudzam pożądanie. Wyobrażasz sobie, że siedzę w swoich komnatach i usycham z tęsknoty za tobą? Nie, na jaja Geridona, na pewno nie ja!

Muszę sprawić, żeby mnie dotknął, pomyślała, przybierając lodowatą pozę, skrywającą nie zdziwienie, lecz wściekłość. Muszę sprawić, by do mnie podszedł.

Użyła więc sztuczki, którą stosowali często chłopcy z domów publicznych, by zmiękczyć serca zimnych klientek. Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Upłynęła cała minuta, może nawet dwie, nim Garon ruszył w jej stronę. Postąpił krok, potem następny, zatrzymał się, wyszeptał jej imię, potem słowo „przepraszam”, jeszcze jeden krok...

Dotknął jej ramienia. Poglaskał ją niezdarnym gestem, który miał nieść pocieszenie. Raz jeszcze ją upokorzył.

- Glenin... proszę, nie płacz. Wybacz. Nie chciałem... I już go miała.

Nigdy się nie dowiedział, co się z nim stało, podobnie jak pokojówka nie wiedziała, co było prawdziwą przyczyną jej bólu głowy. Ale Glenin wiedziała. Panowie z Malerris nie znali nikogo, kto potrafiłby tak rzucać urok jak Glenin. Nawet Pierwszy Pan, Strażnik Krosien, musiał to przyznać.

Garon opuścił jej pokój zauroczony i pozostał taki już do końca życia.

5

Dziewiątego dnia Pokrzyw i Cierni, tygodnia, któremu: patronował święty Gorynel Litościwy, dokładnie o ósmej rano, Sarra Liwellan miała wystąpić przed Radą. Można było przypuszczać, że kiedy przemówi i jej prośba o przyznanie praw spadkowych zostanie rozpatrzona pomyślnie (mało kto w to wątpił), wszyscy udadzą się na przyjęcie z okazji jej wyniesienia do wspaniałej Sali Malachitowej. Przez kilka dni poprzedzających to wydarzenie Sarra starała się zaznaczyć wszędzie swoją obecność. Popołudniami odbywała przejażdżki po okolicy w towarzystwie dworzan w swoim wieku, a owi dziarscy młodzieńcy opowiadali następnie, jak pierwszorzędnie jeździ konno. Spacerowała po rozległych Ogrodach Rady z dostojnikami, którzy wzdychali potem, że jest równie mądra, co czarująca. Pojawiła się na małym przyjęciu, które urządził na jej cześć Garon An-niyas, a skromna elegancja jej długiej błękitnej sukni wzbudziła zawiść pozostałych kobiet. Następnego ranka rzuciły się więc z krzykiem na swoich krawców, żądając wykonania dla nich podobnych kreacji (rezultaty nie we wszystkich wypadkach odpowiadały oczekiwaniom, gdyż niewiele pań posiadało wąską kibić i jędrne kragłości Sany). Przyjęła zaproszenia na rodzinne kolacje od Trevarinów, Rengirtów i Firennos, a wszyscy oni utrzymywali zgodnie, że nigdy jeszcze nie widzieli tak rozkosznego dziewczęcia, i zaczęli poważnie rozważać szanse swoich nie zaręczonych synów. Prawdę mówiąc, wszyscy wolni mężczyźni na całym dworze

Ryka marzyli, by Sarra Liwellan poświęciła im chociaż chwilę, zaszczycała choć jednym spojrzeniem swych olśniewających czarnych oczu lub by mogli bodaj z daleka napawać się widokiem jej świetlistych złotych włosów.

Sarra tego właśnie się obawiała i doprowadzało ją to do szału.

W dniu, kiedy miała zostać przedstawiona na dworze, wczesnym rankiem, uraczyła swego gospodarza, Telomira Renne, dwudziestominutowym potokiem skarg.

Wysłuchał jej patrząc, jak przemierza energicznymi krokami przepiękny dywan w jego salonie, a kiedy zabrakło jej tchu i wyzwisk, roześmiał się z własnej głupoty.

Telomir Renne stał na czele Urzędu Górnictwa; stanowisko to zawdzięczał swemu ogromnemu doświadczeniu w zarządzaniu dobrami Renne w Brogdenguardzie. Był o sześć lat starszy od Orlina, jego matka zaś nigdy nie uznała za stosowne oświecić kogokolwiek w kwestii tożsamości ojca Tela. Miała ten przywilej, rzecz jasna.

Cenzus trochę się krzywił, ale prawo matki stało ponad wszystkim. Jako dziecko Telo doznał z tego powodu nieco przykrości ze strony rówieśników, ale ponieważ jego matka była Pierwszą Córką Krwi, władającej większą częścią Neele oraz połową Brogdenguardu, rodzice szybko nauczyli swoje pociechy dobrych manier.

Na widok pięknej Jeymian Renne wydano tyle tęsknych westchnień, że mogłyby one zmienić tor huraganu. Mężczyźni od lat siedemnastu do siedemdziesięciu zabiegali o jej łaski; niezależnie od tego, który z nich był ojcem Tela, syn odziedziczył po nim jedynie kolor skóry, ciemniejszy niż u Orlina, oraz

0 dużo większy nos. Lecz mimo owych różnic, a także kilku dzielących ich lat, mogli uchodzić za bliźniaków.

Pięć lat po narodzinach Tela Jeymian Renne poznała

1 poślubiła ojca Orlina, Tolinera Aivassy - stryjecznego dziadka Mai Alvassy, kuzynki Sarry, która podszywała się pod nią w trakcie rejsu z Roseguardu do Havenportu. Te skomplikowane więzy pokrewieństwa oznaczały, rzecz jasna, iż Telo zaangażował się głęboko w to, co Sarra nazywała teraz „przedsięwzięciem rodzinnym”: w Sprzysiężenie.

Kiedy w ów zimowy poranek wybuchnął śmiechem z powodu jej skarg, Sarra nie mogła się powstrzymać i też się roześmiała. Wszystkie młode kobiety, które znała w Rosegua

rdzie, zabiłyby bez wahania, byle tylko znaleźć się na dworze i spotkać tych młodych fircyków. Czy to wina Sarry, że, najlepszy z nich wydawał jej się niebywałym głupcem, a na: określenie najgorszego nie znajdowała wprost słów? - Jesteś zepsutym bachorem - stwierdził Telo, kiedy wre-j szcie przestał się śmiać. - Robię co mogę, abyś poznała sam' kwiat męskiej młodzieży Lenfell, a ty potrafisz tylko ziewać!'

- Nie jestem żadnym bachorem! - Cisnęła w niego poduszką, którą zręcznie złapał i odrzucił. - Och, Telo, nie j wiem, co bym poczęła, gdyby ciebie tu nie było! Cieszę się, że? już jutro mój pobyt na dworze dobiega końca.

Rozsiadł się wygodnie na krześle.

- Więc obu twoim młodym straceńcom też się powiodło? W tych komnatach mogli rozmawiać swobodnie; sam'

Gorynel Desse umieścił tutaj magiczne zakazy uniemożliwiające podsłuchiwanie. Bo, prawdę mówiąc, pokoje te należały niegdyś do wielkiego maga, w owych czasach kiedy przebywał! na dworze Ryka jako przedstawiciel dziekana. Nikt, nawet Auvry Feiran, nie dysponował wystarczającą mocą, aby zdjąć zakazy, które postawił Gorynel Desse. Zatem pozostały. Wszyscy o tym wiedzieli, podobnie jak wiedzieli, że minister Renne wcale nie domagał się, aby przydzielono mu te pokoje. Tak się po prostu złożyło, iż zajmował je poprzednik Tela na tym urzędzie. W głębi duszy Sarra żywiła niejakie wątpliwości, czy rzeczywiście „tak się po prostu złożyło”.

W komnatach Annyas nie było żadnych zakazów. Sarra zdumiała się, kiedy Telomir poinformował ich o tym w odpowiedzi na pytanie Vala, chociaż w chwilę potem uświadomiła sobie, że jej zdziwienie jest zupełnie nie na miejscu. Zakazy wymierzone w nie-Magicznych można by utrzymać w sekrecie tylko wówczas, gdyby goście Pierwszej w Radzie nie dzielili się między sobą wrażeniami z wizyty u niej. Zakazy skierowane przeciwko Magicznym zostałyby odkryte natychmiast. Za brakiem zakazów przemawiała też dobrze znana i wzrastająca niechęć Annyas do wszystkiego, co w jakikolwiek sposób wiązało się z czarami.

Ale chociaż brak zakazów znacznie ułatwiał wejście, to jednak świadczył również, że Annyas nie zostawia w swoich pokojach niczego, co mogłoby przedstawiać większą wartość dla Sprzysiężenia.

Mimo to sprzyjało im szczęście. Sarra uśmiechnęła się do przyrodniego brata Orlina i odparła:

- Rzeczywiście, powiodło im się - i to dzięki wizycie w bibliotece, jeśli dasz wiarę! Val jest zdruzgotany.

Obaj kuzyni zaplanowali śmiały nocny wypad do ostatniego szczegółu - pomalowane na czarno twarze, umówione gesty do porozumiewania się bez słów, trzy różne trasy ucieczki, zatrute igły do uspiania spotkanych przypadkowo strażników. Czwartego dnia po przyjeździe Sarry na dwór Ryka, po jakiejś jej przypadkowej uwadze na temat książek, młody osiłek z Krwi Doyannis zorganizował wycieczkę do Biblioteki Rady, gdzie szczęśliwym trafem jego starszy kuzyn sprawował funkcję bibliotekarza. Tam zaś, w głównej sieni, wystawiony na widok publiczny w okazałej gablocie, znajdował się napisany własnoręcznie przez Avirę Annyas list do Rady, w którym wyrażała zgodę na objęcie godności Pierwszej w Radzie.

- Świętym niech będą dzięki, że nie napisała po prostu: „Kiedy mam zacząć?” - dokończyła opowieść Sarra. - Nasmarowała całe dwie strony, jaki to dla niej zaszczyt, że nie jest tego godna, ale będzie się niezmiernie starać, by wykonywać dobrze swoje obowiązki, że czuje się odpowiedzialna za wszystkich ludzi w Lenfell i tym podobne bzdury. Jest tam cały alfabet, w małych i wielkich literach, wyraźny podpis -słowem wszystko, czego potrzebuje Kanto Solingirt.

- Ale to styl oficjalny, nie osobisty. - Telomir wydobyl spod fotela wiklinowy koszyk, z którego wyciągnął po kłębku czarnej i zielonej wełny oraz złote szydełko.

- Na pewno nie posługuje się tak wyszukanyim językiem w prywatnej korespondencji.

- Nie słyszałeś jeszcze najlepszego. W sąsiedniej gablocie znajdował się inny list - do Tilhnshiru, gdzie bawił jej ukochany Garon. Ma spakować wszystkie zabawki, wracać na dwór Ryka i nie przynieść mamie wstydu podczas podróży, natomiast ona nie może się już doczekać chwili, gdy obsypie jego słodką buzię pocałunkami - o mało nie zwymiotowałam, zanim dotarło do mnie, jak on musi się wściekać, że coś takiego wystawiono na widok publiczny.

- A co z charakterem pisma i całą resztą? - dopytywał się Telo cierpliwie.

- Ten sam, trochę mniej staranny i krótsze zdania. Avira Annyas używa grubego papieru z Dindenshiru. Dość łatwo go zdobyć, a Kanto twierdzi, że znaki wodne to nie problem.

- Tak samo jak jej pieczęć.

- Nie dla ciebie. Twoja rodzina ma do dyspozycji najlep* sze kuźnie oraz fałszerzy w Lenfell - zgodziła się Sarra z uśmiechem. - Dziś po południu Elo Adennos wybiera się do biblioteki, gdzie skopiuje oba listy z pomocą Kuli Magicznej. Niczego więcej nam nie trzeba.

- Nic dziwnego, że Val jest rozczarowany. - Urwał i odwinął trochę przędzy z zielonego kłębka. - Czy twoje przemówienie dla Rady gotowe?

- Jeśli powtórzę tekst jeszcze jeden raz, będę go mógł recytować. Wszystko w porządku, Telo. Nie ma się czym denerwować.

- Miło mi to słyszeć. Ale wiem z doświadczenia, że to jest właśnie moment, kiedy należy zacząć się denerwować.

- Jesteś gorszy od Alina!

Spojrzał na zegar kominkowy - pięknej, starej roboty z drewna świerkowego i brązu, z mechanizmem, który tyka cichutko i nie wybijał godzin - po czym powiedział:

- Skoro już o nim mowa, mam nadzieję, że tym razem nie zamęczycie go na śmierć. Podróżowanie Drabinami to szalenie wygodna rzecz, ale co za dużo, to niezdrowo, nawet dla kogoś z takim doświadczeniem jak Alin.

- Zatrzymujemy się po drodze w Neele i jeszcze w dwóch miejscach. To wszystko. Nie mogę się już doczekać, żeby znaleźć się w domu i rozpakować książki.

- Sądziłem, że bardziej ci pilno palnąć mówkę Gorsh Desse, który spali się potem ze wstydu.

- Och, zrobię to przy najbliższej okazji. Na osobności, Telo! - zapewniła go ze śmiechem, kiedy zrobił nachmurzoną minę. - Nie mam zamiaru pastwić się nad nim przy ludziach. Mimo wszystko to najtęższa głowa w całym „rodziny przedsięwzięciu”.

- On sam też tak twierdzi. - Telomir, który właśnie wygładzał na kolanach motek przędzy, zmarszczył nagle brw i zaczął rozdzielać splątane nitki. - Nie znoszę tego gatunku wełny. Nigdy nie układa się równo. Podobno Rada jest nastawiona przychylnie do twojej prośby, nawiasem mówiąc,

Dobrze się spisałaś, Sarro. Wszyscy niezdecydowani przeszli na twoją stronę po spotkaniu z tobą. Sarra z irytacją machnęła ręką.

- To wcale nie moja zasługa. Większość z nich ma synów lub siostrzeńców na wydaniu.

- Zgoda, ale wygrywałaś ich przeciwko sobie jak wytrawny polityk. Masz znakomite wyczucie. Agatine bardzo się ucieszy, gdy...

Do pokoju wtargnął bez ostrzeżenia Elomar Adennos. Nawet nie spojrzał na Telomira Renne, tylko wbił wzrok prosto w Sarrę.

- Jeżeli masz przeżyć widoczny wstrząs, *domna*, lepiej zrób to teraz. Nie wolno ci niczego po sobie pokazać, kiedy już wejdiesz do Sali Wielkiej. Feiranowie, córka i ojciec, są na dworze Ryka i będą się przysłuchiwać twojemu wystąpieniu.

6

Glenin nie zasiadała ani w Radzie, ani w Zgromadzeniu, toteż wraz z innymi dworskimi dostojnikami zajęła miejsce na galerii ponad Salą Wielką. Garon musiał trzymać się w pobliżu swojej matki, nie żony, lecz mimo to odprowadził Glenin na górę, polecił przynieść jej dodatkową poduszkę pod plecy, zapytał troskliwie, czy czuje się na siłach znieść długie posiedzenie, i polecił Elsvet Doyannis, by uważała na nią przez cały czas.

- Masz szczęście, Glenin - szepnęła Elsvet po odejściu Garona. - Jest ci bezgranicznie oddany.

Glenin uśmiechnęła się blado i wzruszyła ramionami, skrywając w ten sposób mieszane uczucia zadowolenia i rozdrażnienia. Istotnie, teraz był jej bezgranicznie oddany - ciałem, sercem i duszą - i tak miało pozostać do końca jego dni, chyba że wcześniej zdjęłaby z niego urok. Przejawy owej nieustannej troski nużyły ją, chociaż wolalała już to niż jego dotychczasowe zachowanie. W każdym razie, powiedziała sobie, lepiej teraz, niż potem, gdyż jak dotąd nikt jeszcze nie zauważył, że zupełnie przestała go obchodzić. Łatwiej uwierzyć w ten nagły przyпіływ uczuć pod wpływem bólu po stracie dziecka, niż po okresie całkowitej obojętności. Siedziały wraz z Elsvet w pierwszym rzędzie, pośrodku galerii. Rada jeszcze nie przybyła, piętnaście prostych sosnowych krzeseł, wyściełanych czerwonym aksamitem, pozostawało pustych. Rada wchodziła zwykle drzwiami z lewej strony, gdzie honorową wartę pełnił Auvry Feiran, odziany

w paradną biel komendanta Gwardii Rady. Obok niego stał Garon w mundurze porucznika. Sprawował tę funkcję wyłącz* nie honorowo, służba wojskowa go nudziła. Na dwóch bokach trójkątnego stołu z białego marmuru gwardziści niższej rangi starannie rozkładali papier, pióra, małe kryształowe karafki z wodą, szklanki, a także, dla Flery Firennos, salaterkę pełną cukierków owocowych, które łagodziły jej chroniczny ból gardła.

Rada zbierała się w Wielkiej Sali tylko przy wyjątkowych okazjach, jak dzisiejsza. Zwyczajne sesje odbywały się w innej części dworu, w pokoju, gdzie wszyscy siedzieli blisko siebie przy drewnianym stole, zbitym z desek poszycia okrętu flagowego Wielkiej Księżnej Vellery Ganfallin. Marmurowy blat, przy którym mieli zasiąść tego ranka, stanowił prezent od wygasłej już Krwi Channe. Ród Channe ofiarował również marmurowy cokół Koła Mówcy, w odróżnieniu od prostego stołu był on jednak ozdobiony rzeźbionymi godłami wszystkich świętych. Z poręczy galerii oraz ze ścian sali zwisały proporce w barwach wszystkich żyjących rodów Lenfell. Szerokie na jedną stopę i na trzy stopy długie, umieszczone zostały w ścisłym porządku alfabetycznym, bez wyróżniania byłych rodów Krwi - zmianę tę wprowadzono wówczas, gdy Rada w prezencie ślubnym dla Glenin zniosła podział na stany. Godła, wyhaftowane na proporcach byłych rodów Krwi oraz Pierwszego i Drugiego Stanu, stanowiły jedyną oznakę rangi. Flagi wszystkich shirów, kunsztownie udrapowane, stały za krzesłami reprezentujących poszczególne prowincje członków Rady. Pośród natłoku krzykliwych barw jedynie biały marmurowy stół, takież cokół oraz podłoga dawały nieco wytchnienia zmęczonym oczom.

- Spotkałaś wcześniej tę dziewczynę? - spytała cicho Elsvet. Glenin potrząsnęła głową.

- Mój mąż nie był w stanie zrozumieć, o co ta cała wrzawa. To okropna kokietka o oburzająco złych manierach. Och, może jest nawet ładna na swój żalosny sposób, ale doprawdy, nic nadzwyczajnego.

Glenin natychmiast zrozumiała, że mężczyźni, a wśród nich także mąż Elsvet, oszaleli na punkcie tej dziewczyny, że jej sposób bycia jest czarujący, a ona sama niebywale piękna.

10 - Wyprawa

- Potem będzie przyjęcie - ciągnęła Elsvet. - Czujesz się na siłach pójść?
- Tak sędzę. To uroczo, że troszczysz się o mnie, Elsha, ale nie ma takiej potrzeby. Już prawie zupełnie doszłam do siebie - tylko moje serce jeszcze krwawi.
- Moje biedne kochanie - uzalila się nad Glenin stara szkolna przyjaciółka i pogładziła ją po ręku. - A miałam taką nadzieję, że nasze maleństwa będą się razem bawić. Czy mówiłam ci już, że znów jestem w ciąży? - pełnym troski gestem przyłożyła dłoń do brzucha.
- Moje gratulacje - powiedziała uprzejmie Glenin, choć tak naprawdę miała ochotę trzasnąć Elsvet w twarz, aby zniknął z niej ten głupi uśmiech.
- Cóż, jeszcze się doczekacie. Jesteś młoda i zdrowa, Garon też.
- Tak - odparła Glenin i dodała: - Ciii, już idą.

Członkowie Rady wkroczyli do sali według ścisłej hierarchii starszeństwa i zasiedli na swoich miejscach. Krzesło u szczytu stołu pozostało puste, należało do Annyas. Dziesięć kobiet i czterech mężczyzn miało na sobie proste białe togi, spływające aż do ziemi, ze sztywnymi, sięgającymi uszu kołnierzami. Rozpięte z przodu togi odsłaniały szaty w barwach rodzinnego shiru każdego z członków Rady. Ktoś zgłosił kiedyś wniosek, że wszyscy - Rada i publiczność - powinni stać, póki nie nadejdzie Pierwsza w Radzie. Annyas stanowczo się temu sprzeciwiła, chociaż propozycja wyszła właśnie od niej, o czym Glenin doskonale wiedziała. Wyciągnęła z tego naukę, że odmowa przyjęcia zaszczytu też może dać czasami znakomite rezultaty.

Ojciec i mąż Glenin ustawili się po obu stronach otwartych drzwi i wśród szmeru westchnień, zagłuszających nawet dźwięk trąb, wszyscy zebrani oczekiwali na Avirę Annyas Pierwszą w Radzie Lenfell.

Pod galerią zasiedli członkowie Zgromadzenia, po dziesięciu z każdego shiru, ministrowie górnictwa, rolnictwa, handlu dróg i robót publicznych, cenzusu, portów i żeglugi oraz kilku innych, a także Najwyższy Sędzia i wielu sędziów objazdowych, obecnych akurat na dworze Ryka. Glenin widział cztery pierwsze rzędy oraz dwa puste miejsca, przeznaczone dla jej ojca i męża. Garonowi przysługiwał jedynie tytuł Pana

który uzyskał dzięki małżeństwu z Pierwszą Córką, lecz wolno mu było zasiadać razem z dostojnikami, odkąd ukończył dwadzieścia jeden lat.

Auvry Feiran skinieniem głowy dał znak Radzie. Garon wyciągnął w stronę matki zaciśniętą pięść. Wsparła na niej swą upierścienioną dłoń i weszła do sali: niska, pospolita, nijaka - prezentowała się zdumiewająco przeciętnie, lecz Glenin doskonale zdawała sobie sprawę, że właśnie ten niewinny wygląd stanowił o jej sile. Któż bowiem byłby w stanie uwierzyć, iż owa drobna, uśmiechnięta kobieta, machająca pulchną dłonią do wiwatującego tłumu, potrafi knuć śmiertelnie niebezpieczne intrygi i planować skrytobójcze morderstwa?

Glenin zrozumiała korzyści wynikające z nieokreślonej i nijakiej powierzchowności, lecz sama prezentowała się niezwykle okazale i robiła z tego coraz lepszy użytek. Gdy pewnego dnia ona stanie się najpotężniejszą kobietą na świecie, będzie również na taką wyglądać.

Nie słuchała, jak Annyas wypowiada starożytną formułę, wzywając do zajęcia miejsca w Kole Mówcy. Obserwowała w tym czasie Radę. Siedzieli według liczby lat pełnionej służby, a niewidzialna linia, łącząca ich zgodnie z kolejnością starszeństwa, krzyżowała się ponad stołem, jak nić przędzy na krosnach:

ANNIYAS Tillinshir

Kenrokeshir METTYN

Ryka

Gierkenshir Ambraishir Stracony Kraj Rinesteenshir Brogdenguard

DOYANNIS FELESON -RIGGE -LUNNE -ISIDIR -BEKKE -

ELLEVIT Bleynbradden

- FIRENNOS Cantrashir

- DALAKARD Seinshir

- NUNNE Dindenshir

- SENISON Sheve

- FENNE Shellinkroth

- DOMBUR Domburronshir

Glenin doskonale widziała ich twarze. Oto portret Lenfell, pomyślała sardonicznie. Bardzo budujący, choć czasem przyprawia o mdłości.

Bystrooka, siwowłosa Tirri Mettyn, Starsza Pierwsza Córka i prapraprababka, zdążyła mieć pięciu mężów i jedenastu

oficjalnych kochanków w ciągu osiemdziesięciu lat swego życia, a przez ponad połowę tego czasu zasiadała w Radzie. Wybrana w 926 roku, przewyższała stażem wszystkich, wliczając w to również Annyas. Obie kobiety nienawidziły się wzajemnie i jakkolwiek zagłosowałyby Annyas, Tirri Mettyn zawsze głosowała przeciwnie, po prostu z nawyku.

Siedemdziesięcioletni Kanen Ellevit, który należał do Rady od roku 935, był następną żywą skamieniałością. Interesowały go jedynie trzy rzeczy: Bleybradden, pieniądze i ładne dziewczęta. W obronie pierwszego występował niekiedy tak zapalczywie, że Rada często kapitulowała, aby uchronić starca przed atakiem apopleksji. Troska Ellevita o drugie pozwoliła jego rodowi podwoić fortunę w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Co do ostatniej kwestii, to z powodu wieku zmuszony był ograniczyć się już wyłącznie do patrzenia. Sarra Liwellan ze względu na sam wygląd mogła liczyć na jego głos. Lecz Kanen Ellevit bez wątpienia spoglądał na nią przez pryzmat swoich dwóch pozostałych celów: Bleybradden łączyły silne związki z Siecią Sleginów, a przedsięwzięcia owe przynosiły również niemałe dochody.

Veliria Doyannis, matka Elsvet, reprezentowała w Radzie Rykę na długo przed urodzeniem córki. Jej postać rysowała się w różnych odcieniach szarości: oczy o barwie i twardości stali, bujne siwe włosy, splecione w warkocze, wola z granitu, ciepło osobiste o temperaturze wystygłych popiołów z pogrzebowego stosu. Jej potężny ród - niemal tak samo liczny jak Ostinowie - opanował całą wyspę i większą część północnego Lenfell. Źródłem informacji zazdrościła jej nawet Annyas, której Veliria umiarkowanie sprzyjała. Należała do najdumniejszego i najbardziej konserwatywnego rodu Krwi, nienawidziła niższych stanów i gdyby nie było to nieroztropne, nienawidziłaby też Glenin za zniesienie dawnego systemu i równouprawnienie niższych warstw. Jeśli chodzi o Sarę Liwellan, to Veliria Doyannis ceniła w niej jedynie to, że pochodzi z Krwi. Pozwolić Agatine Slegin na uczynienie z niej swojej spadkobierczyni uważała za pomysł szokujący, nad którym nie warto się nawet zastanawiać. A jednak Pani Veliria została zmuszona, aby się nad tym zastanowić, a może nawet za tym zagłosować. Mówiąc krótko, ta postać nie budziła szczególnej sympatii.

Flera Firennos już wiele lat temu powinna ustąpić ze stanowiska. Miała siedemdziesiąt dwa lata i była kompletnie głucha - chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, ponieważ ułomności fizyczne nie dotyczyły osób Krwi. Kiedy gubiła wątek swojej wypowiedzi, asystujące jej wnuczki bliźniaczki tłumaczyły to jako „zaabsorbowanie sprawami wyższej natury”. Kiedy zwracała się do członków Rady nieżyjących już od dwudziestu lat, była to „zjadliwa ironia, mająca zwrócić uwagę słuchaczy na podobne do omawianych przypadki, z którymi zetknęła się w swojej długiej karierze”. Kiedy zapadała w drzemkę podczas posiedzenia, stanowiło to „subtelny komentarz do dyskusji”. To, czy słyszała cokolwiek (nie mówiąc już o rozumieniu) z dzisiejszej sesji - czy jakiegokolwiek innej sesji Rady - nie miało większego znaczenia; jak zwykle wnuczki oddadzą głos w jej imieniu. Glenin nie zdołała zaskarżyć sobie ich zaufania, nie wiedziała zatem, na czyją korzyść padnie ten głos.

Jareth Feleson, liczący sobie sześćdziesiąt pięć lat, do tej pory nie posiwał ani nie miał zmarszczek, ponieważ nigdy jeszcze nie podjął samodzielnie decyzji w żadnej sprawie. Był mężem Marry Feleson, swojej dalekiej kuzynki, która wydawała „Gazetę Felesonów”, jedyny biuletyn rozchodzący się na obszarze całego Lenfell. Choć „Gazeta” pragnęła uchodzić za w pełni niezależną, nikt nie miał wątpliwości, że przedstawia ona stanowisko Annyas. W Radzie Jareth głosował tak, jak nakazała mu Marra, ona zaś uważała apartamenty Rady za coś znacznie pośledniejszego niż luksusowy lokal „Gazety Felesonów” na dworze Ryka. Nie było dotąd jasne, jakie żywi uczucia wobec Sarry Liwellan, lecz Glenin przypuszczała, że zagłosuje tak samo jak Annyas.

Starszy brat Solli Dalakard, Risson, walenie przyczynił się do zwycięstwa swojej Krwi nad Panami z Malerris, za co Glenin nienawidziła całej jego rodziny, choć wiedziała zarazem, że posunięcie to podyktowała bezwzględna konieczność. Solla miała pięćdziesiąt dziewięć lat, przyznawała się do czterdziestu sześciu i wierzyła, że nie szczędząc kosmetyków oraz upiornie czerwonej farby do włosów, czyni to kłamstwo wysoce prawdopodobnym. Nie znosiła mężczyzn w ogóle, a w szczególności każdego, który miałby czelność nazywać siebie „Panem”, choćby nawet poślubił Pierwszą Córkę. Była

bezgranicznie wdzięczna losowi, że jako piąta córka zwolniona jest z obowiązku rodzenia kolejnych Dalakardów. Przysięgała wyłącznie na świętą Sirallę Dziewicę - na dworze żartowano, że odda swój głos na Sarę Liwellan ze względu na samo jej imię - i co roku stawiała wniosek, aby wszyscy święci płci męskiej zostali usunięci z oficjalnego kalendarza.

Glenin spojrzała na kobietę, siedzącą obok Felesona, i ponownie zacisnęła usta. Od piętnastu Pokoleń Ambraishir reprezentowała rodzina Glenin. Obecnie na tym miejscu posadziła swój kościsty tyłek niejaka Lirsa Rigge. Zasiadała tu od czasu zniszczenia Ambrai i była pierwszą osobą, która została dopuszczona do Rady, chociaż nie pochodziła z Krwi. Wybrano ją zaocznie. Trzy rody Krwi z shiru - Ambrai, Alvassy i Desse - splamiły się udziałem w rebelii; jeśli chodzi o Pierwszy Stan, to Feiranowie już nie istnieli - z wyjątkiem Auv-ry'ego, ten jednak miał inne obowiązki - a ród Garvedian wydał nieodżałowanej pamięci Maga Dziekana. Spośród Drugiego Stanu tylko rodzina Rigge z całą pewnością nie utrzymywała żadnych kontaktów ze zdrajcami. Ich ziemie leżały na dalekiej północy shiru, a oni sami pojawiali się na Ośmiokątnym Dworze tylko wtedy, kiedy ich wezwano. Po szesnastu latach w Radzie Lirsa Rigge nadal głosowała zgodnie z większością i nadal sprawiała wrażenie zdumionej, że w ogóle pozwala się jej głosować. Glenin wątpiła jednakowoż, czy tak szczupła twarz o tak wielkich oczach może wyrażać jakiegokolwiek uczucia poza zdziwieniem.

Semal Nunne, który liczył sobie lat czterdzieści i do tej pory się nie ożenił, siedział nadąsany naprzeciwko Lirsy Rigge. Nunne uważał się za eksperta w sprawach wojskowych. Jego wiedza o wojnie zaczynała się jednak i kończyła na uwielbieniu dla mężczyzn w mundurach. Nazywano go Krwawa Krew, bowiem w przypadku jakiegokolwiek kryzysu, drobnego lub poważnego, domagał się natychmiast wysłania Gwardii Rady. Niezadowolenie na jego przystojnej, ponurej twarzy wiązało się bezpośrednio z faktem, że elitarny Legion Ryka odbywał właśnie musztrę na placu ćwiczeń, on zaś musiał w tym czasie tkwić tutaj. Mógł zagłosować na niekorzyść Sarry Liwellan z czystej złośliwości.

Kwestia reprezentacji Straconego Kraju była problematyczna od co najmniej stulecia. Spośród dwóch rodów Krwi

z tego shiru Ostinowie stronili od polityki, przy życiu zaś pozostał tylko jeden Pelleris: ponurej sławy Skrętacz. Dalecy krewni Krwi Renne, Halvos, Somme i Grenirian, zamieszkujący w Straconym Kraju, zajmowali miejsca w Radzie przez całe ubiegłe stulecie. Lecz w roku 964, kiedy ślubny prezent Glenin umożliwił wszystkim dostęp do Rady, wybrana została niejaka Fiella Lunne - ku oburzeniu połowy Lenfell. Nie dlatego że należała po prostu do byłego stanu, ale do Czwartego Stanu. Jej ojciec pochodził co prawda z Ostinów, a dziadek z rodu Grenirian, nie miało to jednak najmniejszego znaczenia. W ciągu czterech lat spotkało ją wiele upokorzeń, szczególnie ze strony Velirii Doyannis, która nie odezwała się do niej nawet jednym słowem, ani publicznie, ani prywatnie. Zacięta i uparta Fiella Lunne miała pięćdziesiąt trzy lata, więc przekroczyła już wiek, kiedy upokorzenia odbiera się jako zniewagi osobiste. Domagała się jednak szacunku w imieniu swego shiru - i jedno ostre spojrzenie jastrzębich, zielonych oczu, osadzonych w łagodnej z pozorów twarzy potrafiło jej zwykle zapewnić szacunek. Nie miała dzieci, za to od śmierci swego ukochanego męża w 946 roku wychowywała pod swym dachem tuzin młodych siostrzenic i siostrzeńców, a niektórzy z nich poświęcili się za jej przykładem służbie publicznej, jeden z wychowanków sprawował obecnie urząd ministra cenzusu. Z uwagi na powiązania Sleginów i Renne z Ostinami, blisko spokrewnionymi z rodziną Lunne, młoda Liwellan mogła liczyć na jej głos.

Piera Senison nie miała jeszcze czterdziestu lat, a rozwodziła się już trzy razy (przelotność jej zainteresowań objawiała się często również podczas posiedzeń Rady). Była równie blisko spokrewniona z Tivą Senisonem, którego poślubiła Lilen Ostin, jak Glenin - to znaczy w bardzo znikomym stopniu. Senisonowie zwykle wspierali Sleginów, lecz Piera żywiła urazę do Agatine: pragnęła mieć Orlina Renne dla siebie. Nieustannie kierowała złotobrazowe oczy w stronę drzwi, gdzie miała ukazać się Sarra Liwellan, jakby nie mogła się już doczekać, by odegrać się na tej, w której Agatine widziała swoją spodkobierczynię.

Chudy i drapieźny Granon Isidir był, w wieku lat czterdziestu jeden, ukochanym dzieckiem najdumniejszego rodu w południowym Lenfell. Isidriowie przez dziesięć lat stawiali

zbrojny opór całej potężnej Vellery Ganfallin i nigdy nie pozwolili nikomu o tym zapomnieć. Granon z wielką swadą przeciwstawiał się Anniyas dla samej radości, jaką sprawiało mu wyrażanie odmiennego zdania. Jego imię wiązano z wieloma kobietami, lecz nigdy się nie ożenił; z uczuciami, jakie żywił w stosunku do swego rodu, miasta i shiru, nie mogła rywalizować żadna kobieta. Jego surowa babka pozwalała mu pozostawać w stanie bezżennym; szkoda było tracić naprawdę wartościowego mężczyznę, oddając go drogą małżeństwa innej rodzinie, która czerpała odtąd wszelkie korzyści z jego uzdolnień. Zasiadał w Zgromadzeniu od dwudziestego piątego roku życia, a do Rady wybrano go bezprecedensową większością dziewięćdziesięciu sześciu procent głosów.

Deiketa Fenne była prawie w wieku Anniyas, wyglądała dwadzieścia lat starzej, obie zaś znały się od ponad czterdziestu lat wspólnej służby publicznej: Fenne pełniła ją w Zgromadzeniu, Anniyas natomiast w Radzie. Stały się przez ten czas serdecznymi przyjaciółkami i sprzymierzeńcami politycznymi. Anniyas pragnęła zniesienia stanów między innymi ze względu na Deiketę, bowiem do tego czasu jej stara przyjaciółka z powodu swego pochodzenia nie mogła uzyskać miejsca w Radzie. Wiele lat temu na krótko pojawiły się plotki, że jedna z wnuczek Fenne miała poślubić Garona, lecz dziewczyna nagle umarła niedługo po wstąpieniu na scenę Glenin. Garon nie wiedział, co naprawdę przydarzyło się czarującej panience, w której już prawie zdążył się zakochać. Ale wiedziała to Glenin. Wiedziała również Anniyas.

Ostatnie krzesło po lewej stronie stołu zajmowała Goryn-na Bekke. Otrzymała to miejsce na mocy specjalnego porozumienia, kiedy jej ciotka (także Gorynna i także Bekke) zmieniła zdanie na temat służby publicznej, a następnie zrezygnowała wkrótce po swoim wyborze w 963 roku. Rody Bekke i Renne władały wspólnie całym Brogdenguardem, a ich bliska współpraca była przedmiotem zazdrości całego Lenfell. To, co wyprodukowali jedni, drudzy sprzedawali. Surowce z kopalni Renne oraz wina z winnic Renne przewoziła flota handlowa Bekke; szkło z manufaktur Bekke oraz zboże z farm Bekke rozprowadzało konsorcjum handlowe Renne, i tak dalej. Gorynna spędziła swoje młode lata najpierw zdobywając praktykę, a następnie zarządzając wysoce dochodową

wytwórnią ceramiki Bekke (blaty stołów w stu trzydziestu wzorach, wanny kąpielowe w pięciu stylach, ośmiu rozmiarach i szesnastu kolorach, dwadzieścia siedem modeli umywalek i niezliczone odmiany ceramiki użytkowej). Obecnie, mając lat czterdzieści, uznała pracę dla rządu za dobry interes, przynoszący zyski w postaci nadwyżek skarbowych. Ponieważ Sarra Liwellan była przybraną córką Orlina Renne, Orlin Renne zaś był mężem Agatine Slegin, przeniesienie praw dziedziczenia leżało w interesie rodziny Bekke, tak więc Go-rynną stała zdecydowanie po stronie dziewczyny.

Najmłodszym z nich wszystkich i ostatnim pod względem starszeństwa był pełen posępnego uroku i absolutnie bezwzględny Irien Dombur, niegdyś towarzysz zabaw dziecięcych Garona. Został wybrany przed dwoma laty na miejsce kuzyna, który zginął w wypadku ulicznym. Podobno nie był to wcale wypadek; podobno ta gałąź rodu Dombur snuła plany powtórzenia podbojów Vellery Ganfallin, chociaż z pomocą pieniędzy, a nie żołnierzy; podobno Irienowi tak spodobała się Sarra Liwellan, że myślał o poślubieniu jej. Glenin, znając dobrze Iriena, wiedziała jednak, że pociąga go nie tyle sama uroda dziewczyny, ile jej majątek, pomnożony o dziedzictwo Sleginów.

Kiedy Annyas skończyła już swoją przemowę i do Sali Wielkiej weszła, samotna i nieustraszona, główna atrakcja dnia, Glenin musiała się poważnie zastanowić, czy się mimo wszystko nie pomyliła. Sarra Liwellan miała promiennie jasne włosy, delikatną budowę, była nader elegancko ubrana i bezsprzecznie urocza. Kremowa skóra, ciemnobrązowe oczy, pełne usta o kącikach wyginających się nieznacznie ku górze -przed wprawnym okiem Glenin nie ukrył się jednak także nieco krzywy nos i trochę zbyt szerokie brwi, psujące idealny owal twarzy. Suknia Sarry, zapięta pod samą szyję i spływająca wzdłuż szczupłej sylwetki aż do ziemi, pozwalała zatuszować jeszcze kilka drobiazgów, które Glenin zobaczyła od razu, a które uszły uwagi reszty dworu: że wszyte z przodu wąskie pionowe paski w błękitno-turkusowych barwach Liwellan i błękitno-żółtych barwach Sleginów zręcznie maskują zdecydowanie za krótką talię i że niemodna, długa suknia skrywa wysokie obcasy, które przydają dziewczynie całe dwa cale do jej skromnych pięciu stóp „wzrostu. Któż jednak

zwracałby uwagę na drobne mankamenty urody, oczarowany przepychem wijących się złotych loków, opadających bujnymi splotami na plecy?

Sarra Liwellan sama w sobie stanowiła cenną zdobycz. A kiedy przypadnie jej w udziale majątek Sleginów, stanie się najlepszą partią w Lenfell. Glenin szybko policzyła w pamięci głosy. Pięć na korzyść dziewczyny; trzy zdecydowanie przeciw; trzy głosy za Anniyas i dwa przeciwko niej; jeden całkowicie nie do przewidzenia.

Lecz jak zagłosuje Anniyas?

Dziewczyna przystanąła i skłoniła głowę, nieznacznie, tylko tyle, ile wymagano od osób Krwi dla okazania szacunku Radzie. Na stole złożyła oprawiony w skórę tekst swojej prośby. Potem ruszyła w prawo, w kierunku Koła Mówcy. Ręce miała puste, zamierzała wygłosić swoją mowę nie korzystając z notatek. Taka pewność siebie mogła zdumiewać u osoby zaledwie dwudziestodwuletniej, lecz Sarra Liwellan ostatnie kilka lat spędziła u boku Agatine Slegin. Oparła kształtne dłonie na złotej poręczy, ustawiła się tak, by móc się łatwo zwracać albo do Rady, albo do zebranych dostojników, i zaczęła mówić.

- Przybyłam tu dzisiaj, aby przedstawić przed Radą swoją pokorną prośbę. Jestem głęboko wzruszona, że przypadł mi w udziale zaszczyt przemawiania do was, i nie mniej wzruszona zaufaniem i nadzieją, jakie pokłada we mnie moja przybrana matka. Jestem też dumna, że Pani Agatine Slegin uznała mnie za godną, abym przemówiła tu dzisiaj w jej imieniu.

Glenin zmarszczyła brwi po tym intrygującym wstępie. Dziewczyna dziękowała za przywilej, uderzając w nutę pokory, lecz zarazem przypominała każdemu, kim jest. Głos miała czysty, donośny, nie wpadający pod wpływem zdenerwowania w piskliwe tony i pozbawiony nawet śladu lekko nosowego akcentu z Sheve. Nie mówiła Radzie rzeczy oczywistych. Nie przypominała, że Agatine Slegin jest ostatnią z rodu, nie ubolewała, jakie to smutne wydarzenie, gdy wymiera starożytna rodzina. Nawet słowem nie wspomniała o tym, że studiowała, podróżowała i uczyła się sztuki rządzenia. Wyraziła natomiast uznanie Glenin:

- Kilka lat temu Rada zniosła system Krwi i Stanów, który długo uniemożliwiał wielu utalentowanym ludziom

sprawowanie urzędów. Było to dalekowzroczone posunięcie, dzieło Pani Glenin Feiran.

Przez krótką chwilę, kiedy rozbrzmiewały przeznaczone dla obu kobiet oklaski, ciemnobrązowe oczy Sarry Liwellan szukały i znalazły wysoko na galerii szarozielone oczy Glenin Feiran. Przez ten jeden moment Glenin nie mogła odwrócić wzroku. Jej czary przyczały się w niej, dziwnie spłoszone. Lecz kiedy dziewczyna przestała przeszywać ją spojrzeniem, drżenie minęło i pozostały jedynie zakłopotanie i zaduma.

- Powiedziałam: dalekowzroczone, ponieważ korzyści płynące z otwarcia Rady dla wszystkich są oczywiste. Obecnie Rada o wiele rzetelniej reprezentuje Lenfell w całej jego różnorodności. Moja prośba jest właśnie wynikiem owego otwarcia i owej różnorodności. Przeniesienie praw dziedziczenia to kwestia rzadko roztrząsana, lecz ja stoję w tej chwili przed wami, aby właśnie o to poprosić. Z wielu względów moja prośba odzwierciedla samą istotę Tradycji Lenfell. Dotyczy bowiem nie tylko prawa własności, lecz również prawa matki.

- O co jej chodzi? - szepnęła Elsvet. Glenin potrząsnęła głową.

- Matka przekazuje swoje nazwisko i swoją własność w darze dzieciom, chyba że pod wpływem nadzwyczajnych okoliczności musi je wydziedziczyć albo się ich wyrzec.

Mród ściał twarz i umysł Glenin. „Wydziedziczyć albo się wyrzec” - po tym, jak wspomniała moje imię! Usłyszała szept Elsvet: „Przebiegła mała dziwka!”, i zapragnęła kopnąć swoją starą „przyjaciółkę”.

W trakcie dalszej przemowy Sarra Liwellan patrzyła po kolei na wszystkich członków Rady.

- Dawno temu Pani Agatine Slegin przyjęła mnie pod swój dach. Moja rodzona matka nie mogłaby zaopiekować się mną bardziej troskliwie. Tak więc w każdym sensie tego słowa, z wyjątkiem więzów Krwi, jestem córką Agatine Slegin.

Glenin wiedziała już dokładnie, dokąd to wszystko zmierza. Posunięcie mogło okazać się sprytne, mogło też być niewiarygodnie głupie; przekona się o tym po głosowaniu.

- Jeżeli Rada wyrazi zgodę - mówiła dalej dziewczyna - pewnego dnia będę dziedziczyć po Agatine Slegin, jak gdybym była jej rodzoną córką. Lecz co z jej synami? Zostali zrodzeni

z jej ciała. Ja nie. Noszą jej nazwisko. Ja nie mogę. A mimo to nie wolno im w świetle prawa dziedziczyć niczego, oprócz udziałów w Funduszu Posagowym Sleginów. Gdzie jest prawo matki, jeśli chodzi o czterech ukochanych synów Agatine Slegin?

- Mężczyźni nigdy nie dziedziczą! - wykrzyknęła Veliria Doyannis. - Nigdy! Oburzające jest nawet o tym wspominać! Pierwsza w Radzie, domagam się...

- Velirio, moja droga! - Annyas sprawiała wrażenie lekko zgorszzonej, jakby Veliria Doyannis wyrażała się niegrama-tycznie. - *Domna* Liwellan jest w Kole Mówcy. Chciałabym jej wysłuchać.

- Dziękuję, Pierwsza w Radzie - odpowiedziała dziewczyna z wdzięcznym ukłonem. ~ Tak się składa, że zgadzam się z dostojną Panią. Mężczyźni nie mogą dziedziczyć na równi z kobietami. Ale zastanawiałam się nad tym, szczególnie w związku z moją obecną sytuacją. Czy nie wydaje się wam, że jest to naruszenie prawa matki? Czyż każda kobieta nie powinna cieszyć się przywilejem swobodnego przekazywania swojej własności dzieciom, zrodzonym z jej ciała i noszącym jej nazwisko? Tak winno brzmieć prawdziwe prawo matki, które legło u podstaw wszystkich praw Lenfell.

- Pierwsza w Radzie - wycedził Irien Dombur. - Czy mogę zadać pytanie? Annyas skinieniem głowy wyraziła zgodę.

- *Domna* Sarra, jak zrozumiałem, jesteś tu, abyśmy rozstrzygnęli przypadek twoich praw dziedziczenia, a nie twoich przybranych braci.

- Rzeczywiście, przybyłam tu w swojej własnej sprawie - zgodziła się Sarra z ochotą.

- Ale jest najzupełniej pewne, że Rada podejmie decyzję na moją korzyść.

Zdecydowałam się przyjechać tutaj na wypadek, gdyby Pani Agatine nie uzyskała zgody na to, co mogę nazwać prawem przybranej matki, a wówczas chciałabym przedstawić Radzie rozwiązanie, uwzględniające w pełni jej prawo matki Krwi.

- Kochasz jej synów tak, jakby byli twoimi braćmi - powiedziała Flera Firennos ku ogólnemu zdumieniu. Staruszka od lat nie powiedziała w Radzie niczego sensownego, głosowała jedynie pod dyktando wnuczek. Wprawiła zebra

nych w jeszcze większe zakłopotanie, kiedy dodała: - Bardzo to chwalebne, moje dziecko. Masz mój głos.

Glenin raz jeszcze obliczyła w pamięci głosy. Sześć zdecydowanie za - a Granon Isidir sprawiał wrażenie, jakby się namyślał, czy oddać swój głos, zanim Annyas odda swój, a wówczas on siłą rzeczy zagłosuje przeciwko niej. Jako ukochane dziecko swego rodu mógł wiele zyskać, gdyby prawo matki rozszerzono tak, by zapewnić synom dziedziczenie wprost.

Znowu mówił Dombur:

- Pierwsza Córka może dać synowi dodatkowy posag, jeśli tak się jej podoba. Tak więc faktycznie mężczyzna może posiadać własność, chociaż nie w sensie prawnym. Wszystko to jednak związane jest z małżeństwem, kiedy posag - cokolwiek by to było - staje się własnością kobiety. Jeśli nieszczęśliwie dojdzie do rozwodu, posag należy do niej.

Mała Liwellan popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie, jeśli mąż pozostanie jedynym właścicielem tego, co dała mu matka.

Rozpętało się piekło.

Velina Doyannis z krzykiem poderwała się na nogi, Piera Senison gniewnie uderzała pięścią w stół, ministrowie i członkowie Zgromadzenia mówili jeden przez drugiego, cała galeria dygotała od wrzasków. A także okrzyków radości. Glenin słuchała i patrzyła, nie zwracając uwagi na zapluwającą się Elsvet. Pewnego dnia miała urodzić syna, którego od niej oczekiwano. Do tego czasu zamierzała znów objąć w posiadanie Ambrai. Czy nie byłoby wspaniale zostawić wszystko jemu, tak aby żadna kobieta - żadna Pani z Malerris - nie mogła rościć sobie prawa do posagu? To błyskotliwe posunięcie zrobiło na Glenin duże wrażenie. Niezależnie od tego, jak szlachetne pobudki kierowały Sarrą Liwellan, to proponując tak niesłychane rozwiązanie, umocniła znacznie swoje wątpliwe prawa do spadku. Lepiej przecież oddać ziemie Sleginów w ręce tej Liwellan, niż przekazać je mężczyznom. Bardzo sprytna młoda osóbką. Szkoda tylko, że nie pożyje dostatecznie długo, by znów zobaczyć Roseguard.

Annyas dała w końcu znak Auvry'emu Feiranowi, który odstąpił jeden krok od drzwi. Glenin poczuła delikatne muś

nięcie jego czarów. Nie uspokajał nikogo bezpośrednio, gdyż niektórzy mogliby podejrzewać użycie czarów. Po prostu studził emocje u tych, których podniecenie samo z siebie zaczynało już opadać, a ten jeden krok przypominał o jego obecności wystarczająco dobitnie, by uciszyć pozostałych. Glenin uśmiechnęła się dyskretnie. To, czego w młodości nauczył go Goryncl Desse, malerryjskie szkolenie doprowadziło do perfekcji.

- Coś podobnego - zafrasowała się Annyas. - Co za hałas! Moja droga - zwróciła się do Sarry Liwellan - doskonale rozumiem, że uczucia, jakimi darzysz swoich braci, skłoniły cię do wysunięcia podobnej propozycji, ale...

- Odmawiam roztrząsania tej kwestii - warknęła Veliria Doyannis.

- ...ale - ciągnęła Annyas, rzucając na boki karcące spojrzenia - Rada nie może podjąć decyzji w tej sprawie. To problem dla Zgromadzenia.

- Tak, Pierwsza w Radzie - odparła dziewczyna. - Przykro mi, że stałam się przyczyną takiego zamieszania.

- To nie twoja wina. - Annyas uśmiechnęła się serdecznie. - Czy pragniesz powiedzieć coś jeszcze?

- Tylko tyle, że cokolwiek zadecyduje Rada, Pani Agatine i ja zastosujemy się do twoich życzeń.

Glenin, skrywając następny uśmiech, zastanawiała się, czy ktoś jeszcze usłyszał to subtelne rozróżnienie.

- Dobrze więc. Koledzy, czy jesteśmy gotowi głosować? Byli gotowi. Garon powstał i podniósł ze stołu oprawioną

w skórę petycję. Wręczył ją Irienowi Domburowi, który otworzył okładki, wziął do ręki pióro i pospiesznie nabazgrał swój podpis. Na galerii rozległy się oklaski, jednak szybko ucichły, bowiem poproszono o spokój.

Garon wręczył petycję Deikecie Fenne, ta zaś najpierw przygryzła górną wargę, a następnie potrząsnęła głową. Nie podpisze; zagłosowała przeciw. Tekst wędrował wzdłuż jednej krawędzi stołu, a każdy z członków Rady musiał dokonać wyboru.

Porządek składania - bądź nieskładania - podpisów był w najwyższym stopniu nietypowy. Zazwyczaj Annyas głosowała jako pierwsza. Glenin zastanawiała się, co Annyas chce osiągnąć, skoro zdecydowała się odstąpić od utartych zwyczajów?

Piera Senison zamknęła z trzaskiem skórzane okładki. Glenin poznała po wyrazie twarzy Sarry Liwellan, że dziewczyna spodziewała się tego. Annyas też - ale czyżby jej brwi zmarszczyły się leciutko na znak dezaprobaty? Czy miała zamiar głosować na korzyść dziewczyny?

Annyas gestem poleciła synowi, by ją ominął.

- Chwilowo się wstrzymam, jeśli moi koledzy pozwolą.

Lirsa Rigge, pozbawiona tym sposobem przykładowo do naśladowania, sprawiała wrażenie lekko wystraszonej. Tirri Mettyn była najwyraźniej zła. Podpisała jednak, chociaż nie miała pojęcia, czy głosuje za, czy też przeciwko Annyas. Możliwe, zadumała się Glenin, że Pierwsza w Radzie to właśnie miała na celu: mniej lub bardziej uczciwy wybór, zgodny z własnym sumieniem każdego z obecnych, a nie głosowanie wedle albo wbrew jej woli. Glenin zadawała sobie jednak pytanie, czym szczególnie wyróżnia się Sarra Liwellan, że odstąpiła dla niej od ustalonej procedury.

Dombur, Dalakard, Firennos, Ellevit i Mettyn podpisali. Fenne, Senison i Nunne nie. Matka Elsvet nie tylko zatrzasnęła petycję, ale jeszcze odchyliła się na krześle, złożyła ręce na piersiach i spiorunowała wzrokiem Sarę Liwellan -która odpowiedziała jej spojrzeniem pełnym niewzruszonego spokoju.

Garon ponownie otworzył petycję, a jego twarz wyrażała tyle irytacji, ile ośmielił się okazać. Zaczynał czuć się jak głupiec, zmuszony do otwierania okładek raz po raz. Tłumiony gniew w jego oczach był najzabawniejszą rzeczą, jaką zdarzyło się Glenin oglądać w ciągu kilku ostatnich tygodni. Jareth Feleson okazał się na tyle uprzejmy, że jedynie potrząsnął głową, a do tego posłał dziewczynie, stojącej na marmurowym cokole, skruszony, a zarazem pytające spojrzenie. Lirsa Rigge również odmówiła podpisania dokumentu. Fiella Lunne podpisała. Granon Isidir, który wciąż sprawiał wrażenie zamyślonego, nie podpisał. Gorynna Bekke nabazgrała zamasyście swoje nazwisko. Tak więc siedem głosów padło za, siedem przeciw, Annyas wstrzymała się od głosu.

Dokładnie tak zaplanowała to sobie Pierwsza w Radzie. Glenin popatrzyła na nią z lęklwym podziwem, zmieszany z autentyczną pokorą. Mogła się jeszcze wiele nauczyć od

Aviry Annyas. Kiedy Garon ponownie przedstawił petycję matce, ta złapała za pióro i podpisała.

Sarra Liwellan zawdzięczała teraz swój spadek Pierwszej w Radzie.

A Glenin pomyślała, że chyba jednak pozwoli się tej małej nadal żyć. Nie zaciąga się długów u kogoś, kogo zamierza się usunąć.

Osiem do siedmiu, zwykła większość. Garon ogłosił to, co i tak było dla wszystkich oczywiste, a w następnej chwili *domna* - obecnie już Pani - Liwellan uroczyście otrzymała podpisaną petycję. Podziękowała, przycisnęła do siebie skórzaną okładkę, skłoniła się i opuściła Salę Wielką.

Rada także wyszła, Annyas jako pierwsza, w ślad za nią reszta. Dopiero wtedy sala rozbrzmiała gwarem głosów. Elsvet wybąkała coś w tym sensie, że z matką nie da się wytrzymać przez najbliższe trzy tygodnie i czy Glenin będzie *strasznie* niezadowolona, jeśli Elsvet przyjdzie kilka razy na kolację? Glenin skinęła głową, nawet nie musiała udawać współczucia; Veliria Doyannis mogłaby dawać lekcje snobizmu babce Allynis - i nauczyć żołnierza gwardii, jak należy przeklinać.

Galeria opustoszała. Glenin czekała, aż przyjdzie po nią Garon, wykorzystując tę chwilę, by zastanowić się nad głosowaniem. Kiedy przyszła kolej Jaretha Felesona i Lirsy Rigge, było jasne, że padną jeszcze dwa głosy na korzyść dziewczyny - Fielli Lunne i Gorynny Bekke, siedzących przy końcu stołu. Jedyną niewiadomą stanowił Granon Isidir; gdyby zdecydował się głosować za, cały wysiłek Annyas poszedłby na marne, pozostałoby jej tylko złożyć dziewiąty, zbędny podpis. Ryzyko, pomyślała Glenin cierpko. Jeśli gobelin ma być utkany jak należy, nie wolno zdawać się na przypadek. Lecz Annyas przez całe życie toczyła nierówną walkę z przeciwnościami, a mimo to wygrywała. Dlatego właśnie Panowie z Malerris dawno temu wybrali ją do swoich celów - dla owej nieprzewidywalnej, niebezpiecznej, rzadkiej zalety, której w jednakowym stopniu bali się, którą pogardzali i z której czerpali korzyści: Annyas miała szczęście.

Później, podczas przyjęcia w Sali Malachitowej - cztery tysiące stóp kwadratowych zielono-czarnej, kamiennej podłogi, połyskującej w blasku kryształowych żyrandoli - Annyas

roześmiała się, kiedy Glenin delikatnie wypomniała jej podjęte ryzyko.

- Moja droga, nie było żadnego ryzyka. Wiedziałam, co zrobi Granon, zanim jeszcze weszła dziewczyna. Wiesz, Isidirowie chcą, aby go poślubiła, musiał więc głosować przeciw.

Glenin gwałtownie zamruła powiekami znad swojego kieliszka z winem.

- Słucham?

- Isidirowie rozumują w następujący sposób. Z majątkiem Sleginów dziewczyna może wybrać sobie męża, jakiego zechce. Natomiast bez niego, biorąc pod uwagę jej zdolności i ambicje, będzie zmuszona poszukać mężczyzny z bogatej, politycznie ustosunkowanej rodziny. Isidirowie mają to wszystko, a oprócz tego ważne miasto i większą część shiru w kieszeni. Nie posiadając własnej rodziny, dziewczyna poświęci się bez reszty tej, którą stworzą ona i jej mąż. I choć będą nosić nazwisko Liwellan, majątek przypadnie Isidirom.

- Sądziłam, że babka Granona wołałaby, żeby się nie żenił.

- Chyba że z Sarra Liwellan.

Glenin zmarszczyła brwi i dworzani, który właśnie zamierzał do nich podejść, wycofał się pospiesznie. Nikt nie przeszkadzał Pierwszej w Radzie i jej synowej.

- Ale z majątkiem Sleginów stanowiłaby znacznie lepszą partię, gdyby Granon umiał zaskarbić sobie jej względy.

- Och, potrafi być czarujący, kiedy mu na tym zależy. Prawdopodobnie zdobyłby ją, gdyby się postarał. - Annyas mrugnęła do niej. - Czego jednak nie zrobi. Głosował przeciw, bo tak kazała mu babka. Ale głosował przeciw także dlatego, że nie ma zamiaru poślubić żadnej kobiety, bogatej czy nie. A zwłaszcza Sarry Liwellan...

- ...która oczywiście zażądałaby dla siebie miejsca w Radzie z ramienia

Rinsteenshiru - dokończyła Glenin, kiwając ze zrozumieniem głową.

- A Granon zamierza je trzymać, dopóki zdoła usiedzieć na krześle. - Annyas ponownie się roześmiała. - To miło, że mógł głosować zgodnie z wolą babki, a także swoją własną. Ostatnimi czasy nie spotyka się tak znowu wielu przykładów synowskiego oddania.

11 - Wyprawa

Obie kobiety ujęły się pod ręce i przeszły przez salę, uśmiechając się i witając gości, lecz nie wdawały się z nikim w dłuższe rozmowy. Pojawił się niewolnik, odziany w barwy Rady, z tacą pełną kieliszków; Glenin podała jeden Anniyas, drugi wzięła dla siebie i w milczeniu spełniły toast musującym różowym winem.

- Powiem to teraz - mruknęła Anniyas, patrząc w inną stronę - gdyż tutaj żadna z nas nie może sobie pozwolić na okazanie słabości, nie możemy się więc rozplakać. Chcę, żebyś wiedziała, moja droga, że rozumiem twój ból. Mnie również nie pozwolono urodzić Pierwszej Córki.

Wszystkie mięśnie w ciele Glenin stężały. Ale uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

Anniyas spojrzała na nią, skinęła głową z aprobatą i mówiła dalej:

- Byłam bardzo młoda - młodsza niż ty teraz - i bardzo kochałam ojca tego dziecka. Ale nie mogłam go urodzić. Musiałam mieć syna, z innym mężczyzną. - Upiła łyk wina. - Ból towarzyszył mi bardzo długo... dopóki ty nie przybyłaś na dwór Ryka, a wtedy zrozumiałam głęboki sens mojej ofiary. Czy pozwolisz mi, Glensha, traktować cię jak Pierwszą Córkę, której nie wolno mi było mieć?

Glenin nie mogła wydusić z siebie słowa, patrzyła tylko na tę nijaką, pulchną, małą kobietę, która twardą ręką rządziła całym Lenfell.

- Pewnego dnia ty także zrozumiesz, i wybaczysz, kiedy spotkasz dziewczynę, która poślubi twojego syna. - Anniyas urwała. - No, Glenin! Powiedziałam, żadnych łez, i mówiłam poważnie. Co sobie ludzie pomyślą?

Glenin powstrzymała więc łzy i znów spróbowała się uśmiechnąć.

- O, tak już lepiej. Chodźmy poszukać tej małej Liwellan, dobrze? Chciałabym ją poznać. Uważam, że jest urocza.

Przed przyjęciem Sarra wypić łączywie kieliszek różowego szampana, aby zwilżyć czymś wyschnięte gardło i ukoić nerwy. Wino przyniósł jej Telomir Renne. Dogonił ją w korytarzu, prowadzącym do Sali Malachitowej, wręczył opatrzoną podpisami petycję służącemu, by odniósł ją do jego kwatery, i poprowadził Sarre w stronę niszy z oknem, wychodzącym na jezioro i wyrastającą wprost ze ściany kaskadową fontannę.

- Usiądź - polecił, podając jej kieliszek. - Dostałem to w kredensie. Pij szybko, lada chwila zjawią się tu tłumy.

- Muszę się uczesać...

- Nie ma potrzeby - powiedział niecierpliwie. - Pij. Wyglądasz wystarczająco dobrze. I biorę świętych na świadków, że ja też starałem się tak wyglądać, kiedy wdałaś się w ten wywód o synach i prawie matki. Sarro, co cię napadło?

Wypiła, rozejrzała się - w pobliżu było tylko kilku służących i gwardia honorowa w korytarzu - i wypić następny łyk. Pomimo niemożliwego koloru wino było orzeźwiająco chłodne i wytrawne.

- Kiedyś i tak będą zmuszeni to zrobić. Po prostu zawczasu przyzwyczajam ich do tej myśli. Telo, dlaczego An-niyas rozstrzygnęła głosowanie na moją korzyść?

- Dlaczego jej nie zapytasz? Będzie tu za kilka minut.

- Telo! Dlaczego?!

Spojrzał szybko w głąb korytarza; rozbrzmiewające echem kroki i głosy przybliżały się coraz bardziej.

- Ponieważ w tej chwili ty, Agatine, Orlin, ja - i wszyscy zainteresowani tym, żebyś dziedziczyła fortunę Sleginów -zawdzięczamy Annyas wielką łaskę.

- Myśli, że nas kupiła? - Sarra aż się zakrztusiła. - Jak ona śmie...?

- Prawdę mówiąc, bardzo mnie to cieszy. Bo to znaczy, że ona przewiduje dla ciebie jakąś przyszłość.

Sarra zastanowiła się nad tym. Potem przełknęła resztę wina.

Telomir mówił szybko i cicho:

- Z pewnością zamierza użyć dóbr Sleginów, aby tobą manipulować. Pomyśl, w jakiej znajdziesz się sytuacji, kiedy przyjdzie ci wybierać pomiędzy ludźmi z Sheve, za których będziesz odpowiedzialna, a... innymi ludźmi, którzy zażądają od ciebie wypełnienia zobowiązań.

- Nie martwi mnie to - powiedziała, niemal szczerze. Niebawem wszyscy w Sheve będą... bezpieczni.

- Mam nadzieję. - Podniósł wzrok, gdyż obok niszy przeszli pierwsi goście. -

Posłuchaj, Sarro. Rada zjawi się później - muszą zrzucić swoje togi. Nim tu dotrą, nie zdołasz opędzić się od mężczyzn. Wykorzystaj ich. Pomogę ci, ale ni mogę pętać się stale za tobą. Nie pij za dużo i nie wdawaj się w żadne poważne rozmowy.

- I nie składaj żadnych pochopnych, pijackich obietni małżeństwa - dokończyła, robiąc do niego minę. - Nie jeste taka głupia, Telo.

- Tylko nieostrożna. Wiesz, z kim będziesz musiała mówić, prawda? Przynajmniej przez kilka minut. Będę w pobliżu

i jeśli wynikną jakieś kłopoty, natychmiast się zjawię. Podczas tej rozmowy jednak musisz radzić sobie sama, Sarro. Skinęła głową z determinacją.

- Poradzę sobie. Ale cieszę się, że tu jesteś.

- Zawsze o tym pamiętaj. Poczułaś już działanie wina Świetnie. Uśmiechnij się do mnie. O, właśnie tak. Przed chwilą odniosłaś wspaniałe zwycięstwo, staniesz się jedną z najbogatszych kobiet na świecie i wprost nie możesz się doczekać, by zobaczyć setki mężczyzn pływających na rzesach po tłuczonym szkle tylko po to, żebyś kopnęła ich w tyłek swoją śliczną małą stopką.

Roześmiała się do tej wizji; było na dworze kilku lalusiów, których z przyjemnością ujrzałyby w takiej właśnie sytuacji. Kiedy wprowadził ją przez dwuskrzydłowe drzwi do Sali Malachitowej, musujące wino krążyło już we krwi, zadarła więc wyniośle podbródek i uśmiechnęła się swoim najśłodszym uśmiechem - skrywającym pogardę, popłoch i gwałtowne pragnienie, by wrócić do domu. Zgodnie z zapowiedzią Telomira natychmiast obskoczyli ją młodzi mężczyźni na wydaniu. Flirtowała, śmiała się, szydziła, popijała małymi łydkami wino, zastanawiając się cały czas, kiedy wreszcie będzie mogła opuścić to przyjęcie, wydane z okazji jej triumfu.

Garon Annyas przepchnął się do niej przez tłum, by złożyć gratulacje; uśmiechnęła się do męża swojej siostry, jak gdyby naprawdę go lubiła. Młodzieniec Krwi Doyannis, gotów widocznie narazić się na potępienie ze strony ciotki Velirii, błagał o przywilej odprowadzenia Sarry na statek, którym nazajutrz udawała się w drogę do domu. To wywołało gromkie protesty. Dlaczego właśnie jemu miałyby przypaść to szczęście, nie wolno jej opuszczać dworu tak szybko, co poczną, nie mogąc dłużej napawać oczu jej pięknem, złamie im serca, jeżeli ich teraz porzuci - i tym podobne żenujące brednie. Irien Dombur, już bez togi, pozwolił sobie na dużą śmiałość, schwycił Sarre bowiem za rękę i ucałował wewnątrz jej dłoni - zamiast musnąć wargami nadgarstek, jak nakazywał obyczaj, złożył długi, namiętny pocałunek, w którym wziął udział nawet koniuszek jego języka. Otworzyła szeroko oczy, zdumiona tą zuchwałością, lecz z trudem przy tym mogła powstrzymać chichot. Opanowała w końcu zarówno urazę, jak rozbawienie, i przywołała na twarz uprzejmy uśmiech.

Przez całą godzinę wszystkie najznamienitsze rody Lenfell, reprezentowane przez swych młodych, urodziwych potomków płci męskiej, gorliwie jej nadskakiwały. Głowa rozbolała ją jak jeszcze nigdy w życiu.

Nagle w prześwicie pomiędzy dwoma haftowanymi surdutami Sarra ujrzała Avirę Annyas i Glenin Feiran, zmierzające w jej kierunku. Kiedy tłum młodych mężczyzn rozstąpił się na boki, by przepuścić Pierwszą w Radzie, spostrzegła, że

nadchodzi też Auvry Feiran z sędziwą Flerą Firennos, wspar-1 tą na jego ramieniu. i Sarra poczuła mdłości. Jakikolwiek chroniłby ją czar albo. zakaz, niech okaże się silny - lecz nie na tyle silny, by; wyczuło go troje potężnych Magicznych. Bo miała już; pewność co do Annyas, całkowitą pewność. Tylko to miało; jakiś sens. A Pierwsza w Radzie była o dwa cale wyższa od Sarry^i ważyła prawie dwa razy tyle, wyglądała przy tym na swojej sześćdziesiąt osiem lat i ani minuty mniej. Jej jasnobrażowe włosy mocno już przyprószyła siwizna, oczy zaś miała mętne jak płytkie niecki z wodą. Z odległości sześciu stóp Sarra czuła silny, kwiatowy aromat jej perfum. i

Glenin Feiran była doskonale piękna, chociaż nieco blada.' Sarra dowiedziała się od Elomara, że niedawne poronienie spowodowało jej wcześniejszy powrót na dwór Ryka. Drabiną, z ruin Zamku Malerris - ku ogólnemu wzburzeniu. Lecz doskonale rozumiano, że troska Auvry'ego Feirana o zdrowiu córki zmusiła go do użycia jedynej Drabiny, jaka jeszcze; działała w zamku. A skoro mógł jej użyć, z pewnością nie gnieździli się tam żadni Panowie z Malerris. Ci bowiem od razu zabiliby człowieka, który sprowadził na nich zagładę.

I był tu również on, jej ojciec - Sarra usiłowała odpędzić od siebie wspomnienie wysokiego, roześmianego mężczyzny, który kołysał ją w ramionach, czytał jej bajki i razem z nią zbierał polne kwiaty na łąkach za Ośmiokątnym Dworem...

A także wspomnienie wspólnych zabaw z Glenin na Podwójnych Spiralnych Schodach, kłótni, lekcji konnej jazdy, rodzinnych pikników, usypiania z głową na ramieniu siostry...

Uciekała przed tymi obrazami, potem nagle zmieniła zda* nie, schwytała je wszystkie i wcisnęła w odległy zakątek swego serca, tak by nie mogły uciec i jej zdradzić. Przynajmniej miała wspomnienia, dobre wspomnienia o ojcu, siostrze i matce; to więcej niż miała Caillet.

O wiele więcej niż jej wspomnienia o Caillet...

-O to i ona! - wykrzyknęła Annyas z ożywieniem. -** Moja droga Glenin, muszę ci przedstawić Panią Sarę Liwel* lan. Pani Sarro, to moja synowa, Pani Glenin Feiran. Ledwo miała czas spojrzeć w oczy siostrze, gdy Anniya wyciągnęła rękę do Auvry'ego Feirana.

- Komendancie! Jak widzę, zjawili się wreszcie, by dotrzymać towarzystwa córce. Potrzebny nam jeszcze Garon i rodzina będzie w komplecie. Właśnie, gdzie się podział ten chłopak? Droga Flero, doprawdy, nie powinnaś tak długo stać. Gdzież są twoje czarujące wnuczki?

- Czarująca - zgodziła się Flera Firennos, kiwając głową i uśmiechając się do Sarry. Sarra ujęła staruszkę pod ramię.

- Pozwól, że poszukamy miejsca, gdzie będziesz mogła usiąść, Pani - powiedziała. - Czy mogę przeprosić na chwilę, Pierwsza w Radzie?

Telomir Renne dogonił je w połowie drogi ku krzesłom, stojącym pod ścianą z wielkimi oknami.

- Niezła sztuczka - mruknął. - Pójdę z wami i pomogę.

- Czarująca - powtórzyła jak echo Flera Firennos. -Przypominasz mi kogoś, moje dziecko. Nie mogę sobie przypomnieć kogo. Na pewno też była czarująca. - Spojrzała na Sarrę figlarnymi, starczymi oczami. - Jednak Avira nie powinna tego wiedzieć, prawda?

Sarra mrugnęła z uśmiechem.

- Niech to będzie naszą tajemnicą.

- Czy mogę zaproponować ci odrobinę wina, Pani? - spytał Telo.

- Młody człowieku, czy próbujesz mnie upić, a potem nakłonić, bym cię poślubiła? - odparła z kokieterijną surowością.

Chichocząc - odrobinę histerycznie - Sarra powiedziała:

- Czyż nie jest okropny? Jego matka powinna dać mu porządnie w skórę!

Jasne oczy dosłownie zapłonęły złośliwą uciechą.

- Jego matka nigdy nie budziła wątpliwości, moje dziecko. A jeśli chodzi o jego rzekomo nieznanego ojca...

- Niech lepiej pozostanie bezimienny, jeśli pozwolisz, Pani - przerwał Telo uśmiechając się z przymusem. Sarra obrzuciła go szybkim spojrzeniem, gdy mówił dalej: - Pozwól, że poszukam twoich wnuczek, by dotrzymały ci towarzystwa.

- Jest mi tu zupełnie dobrze bez ich gderania - odparła staruszka, a następnie zaśmiała się cicho, kołysząc się w przód i w tył. - Och, gdyby tylko Avira wiedziała to, co ja wiem o was!

- To nasza tajemnica - powtórzyła Sarra, ukloniła się starej damie i zaraz mrugnęła do niej znacząco. Kiedy Telo odprowadził ją na bok, spytała półgłosem: - Czy myślisz, że ona naprawdę wie...?
- Któż to może stwierdzić? Uśmiechnij się. Nie musisz rozmawiać z nimi długo. Na wszelki wypadek bądź gotowa zrobić to co ja.
- Bardzo chciała zapytać, kim był jego ojciec. Później -kiedy nie będzie w pobliżu jej własnego ojca.
- Proszę mi wybaczyć tę zwłokę - zwróciła się do An-niyas - ale ona naprawdę wyglądała na bardzo zmęczoną.
- Och, jest zmęczona już od lat - powiedziała Pierwsza w Radzie. - To bardzo uprzejmie z twojej strony, że zatroszczyłaś się o nią, moja droga Sarro - czy mogę nazywać cię Sarra? - a to tylko dowodzi, jak mądra była decyzja Rady. Dobrze zadbasz o Roseguard i resztę dóbr Sleginów.
- Czynisz mi zaszczyt, Pierwsza w Radzie. - Jakież to dziwaczne wymieniać uprzejmości z tą kobietą. Wprost nie chciało się wierzyć, że jest odpowiedzialna za śmierć tylu ludzi.
- Wystarczy jej raz spojrzeć i już wie, ile kto jest wart -powiedział Auvry Feiran, patrząc z uśmiechem na Glenin. -Nie znamy się *jeszcze*, Pani Liwellan. Jestem Auvry Feiran, ojciec tej oto Pani, którą raczyłaś dzisiaj tak szczerze pochwalić.
- To dla mnie przyjemność. - Nie podała mu ręki do ucałowania. - Zarówno poznać cię, jak i powiedzieć szczerą prawdę o twojej córce. - Sarra obdarzyła siostrę swym najbardziej niewinnym uśmiechem. To była niebezpieczna gra, a co więcej, zaczynała się jej podobać. Nie jestem tym, kim wierzycie, że jestem - a kim jestem naprawdę, nigdy nie uwierzycie.
- Żałuję, że nie spotkałyśmy się wcześniej - powiedziała Glenin.
- Słyszałam o twojej stracie. Wielką przykrość sprawiła mi ta wiadomość - odparła Sarra, najzupełniej zgodnie z prawdą, gdyż dziecko Glenin byłoby jej bratankiem lub bratanicą.
- Dziękuję. Istotnie, jestem trochę zmęczona. Jeśli zechcecie mi wybaczyć...

Auvry Feiran okazał niepokój.

- Czy wystarczy, jeśli odprowadzi cię ojciec? Czy może życzysz sobie, bym poszukał twojego męża?

Położyła rękę na jego ramieniu i po raz ostatni spojrzała na Sarre.

- Jestem przekonana, że jeszcze się spotkamy, Pani Sarro.

- Z pewnością, Pani Glenin.

I nagle, tak po prostu, było już po wszystkim. Odeszli, Sarra natomiast została, mając u jednego boku Annyas, u drugiego Tela, a do tego rozochocony zastęp młodych mężczyzn uwijających się w pobliżu.

Niezupełnie po wszystkim. Jeszcze nie. Annyas wyciągnęła szyję jak wścibski wróbel i spytała:

- Czy któryś z nich ci się podoba?

Musiała zauważyć, że Sarra popatrzyła na swoich wielbicieli.

- Żaden - odpowiedziała bez namysłu. Pierwsza w Radzie wybuchnęła śmiechem.

- Wdzięk, inteligencja i dobry gust! Wybacz mi moją szczerość, droga Sarro, i wiedz, że doceniam twoją. A teraz, kiedy już ustaliliśmy, że możemy mówić ze sobą otwarcie, czy mogę udzielić ci jednej rady?

- Bardzo proszę.

- Miej dzieci, jeśli chcesz, ale nie poślubiaj nikogo. Matka często śpiewała mi starą piosenkę, właśnie o tym. Prawie wszystko już zapomniałam, ale... - Urwała, a potem wyrecytowała:

Choć, wydaje się mocny jak dąb,

To pamiętaj, że dąb powala nawałnica.

Choć wydaje się piękny jak róża,

To pamiętaj, że kwiaty więdną.

Choć wydaje się twardy jak stalowe ostrze,

To pamiętaj, że stal się kruszy.

Choć wydaje się szczery jak...

- ...A niech to, nie pamiętam, jak dalej. Ale skoro już zaczęłam, będzie mnie to dręczyć, dopóki sobie nie przypomnę! Ministrze Renne, czy słyszałeś tę piosenkę?

- Żałuję, Pierwsza w Radzie, ale nie. - Uśmiechnął się. ~ Prawdę mówiąc, mam równie dobre ucho do poezji i muzyki co koń roboczy. *i*

Sarra uśmiechnęła się wesoło. Domyśliła się od razu, że kiedy Anniyas wspomniała o radzie, chodziło jej o ostrzeżenie. Wiedziała też, że to nie jej matka śpiewała tę piosenkę,; ułożyła ją sama Anniyas, być może na poczekaniu, ale raczej przygotowała ją wcześniej. Bowiern tak naprawdę chciała uprzedzić Sarre, kogo nie powinna poślubić: żadnej młodej gałązki z Dębu Ostinów, żadnego młodego pąka z Różanej Korony Slegjnow, żadnego młodego ostrza spośród Rosveni-rów...

Rosvenir? Czyżby ten idiota minstrel należał do Sprzysiężenia? Jeśli tak, to niech lepiej omija z daleka Roseguard.

- To takie irytujące, nie móc sobie przypomnieć - powiedziała Anniyas.

Czego? Innych skalanych rodów? Alvassy, Garvedian, Desse, Gorrst, Maurgen, Adennos, Solingirt; Sarra potrafiłaby ich wymienić bardzo wiele, wiele też posiadało godła do wykorzystania w piosence.

Na twarzy Sarry pojawiły się urocze dołeczki.

- Och, przypomnisz sobie, na pewno. Obudzisz się w środku nocy i będziesz pamiętać każde słowo - i nie uwolnisz się od tego przez kilka dni. Ze mną jest tak zawsze.

- Jesteś stanowczo za młoda na to, by pamięć płątała ci figle, moja droga!

A to z kolei było napomnienie, by nie zapominała, komu zawdzięcza swój spadek.

- Nigdy nie zapominam o ważnych rzeczach, Pierwsz w Radzie.

- Ach tak. A co, twoim zdaniem, jest naprawdę ważne? Takie niewinne pytanie, i takie niebezpieczne. Sarra zaczynała rozumieć, dlaczego Avira Anniyas wzbudza strach.

- Rodzina, rzecz jasna-powiedziała-i...

- Matko! - wykrzyknął Garon Anniyas. - Tu jesteś! Wcześniej Sarra założyłaby się o Ośmiokątny Dwór, ż

widok męża jej siostry nigdy nie sprawi jej radości.

Pocałował matkę w policzek, skinął głową w stronę Sarr i Tela i rzekł:

- Szukałem Glenin.

- Nie czuła się dobrze i wyszła. - Annyas wydawała się rozdrażniona tą przerwą w rozmowie, ale tylko przez chwilę; kiedy spojrzała na syna, widać było, jak go uwielbia.

Nie miało to nic wspólnego z uczuciem, które Sarra zobaczyła w oczach Lilen Ostin, kiedy chodziło o Taiga; Lilen kochała swego syna bezgranicznie, ponieważ знаła go na wylot. Lecz poświęciłaby Taiga wtedy, w Pinderonie - zrobiłaby to, choćby miało jej pęknać serce. Nie dlatego że jej lojalność wobec Sprzysiężenia była silniejsza niż miłość do syna, ale dlatego że zdradzając innych, aby go ocalić, zdradziłaby również jego.

Żadne tego rodzaju dylematy nie mąciły uczuć Annyas w stosunku do Garona. Był jej jedynym dzieckiem, dzielnym chłopcem, najdroższym skarbem; kochała go miłością zachłanną, absolutną i ślepa.

- Dlaczego nikt po mnie nie posłał? - spytał Garon gniewnie. - Jak dawno wyszła? Zresztą nieważne, idę do niej natychmiast.

Annyas chwyciła jego dłoń.

- Jest z nią Auvry, mój najdroższy. Na pewno ma wszystko, czego jej trzeba.

Nie taka znowu ślepa jest matczyzna miłość, by Annyas nie dostrzegła, że uczucie do Glenin bierze w nim górę, pomyślała Sarra. Jak na razie matka nie była zazdrosna - z czego Sarra domyśliła się, że to mężowskie oddanie musiało się zrodzić niedawno, prawdopodobnie na skutek poronienia. Lecz Annyas pragnęła, by syn pozostał przy niej. Nie przy Glenin, przy niej. Wielka gra, pomyślała Sarra i postanowiła dokuczyć trochę Pierwszej w Radzie.

- Oczywiście, że tak - oznajmiła Garonowi. - Była trochę blada i zmęczona, jak sama przyznała. Na galerii musiało być gorąco i duszno, a jeszcze ten ścisk tutaj!

Prawdopodobnie chciała po prostu zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Widzisz, Garonie? - uspokajała go matka. - Posłuchaj Pani Sarry.

- Nie masz powodu się martwić - ciągnęła Sarra, ignorując ostrzegawcze spojrzenie Telomira Renne. - Ojciec ją wyprowadził. - I kiedy w umysł Garona zapadł już obraz chwiejącej się na nogach ukochanej, dokończyła: - To takie słodkie, że się o nią troszczysz. Jeśli kiedykolwiek zdecyduję się wziąć

sobie męża, mam nadzieję, że zaopiekuje się mną tak dobrze, jak ty Panią Glenin. To przeważyło szalę; obowiązek wobec ukochanej kobiety zwyciężył. Garon przeprosił wszystkich i wyrwał się z uścisku matki.

- Wrócę, gdy tylko się przekonam, czy Glenin niczego nie brakuje - oznajmił i wyszedł z Sali Malachitowej.

Telo zrobił jakąś żartobliwą uwagę na temat odurzonych młodych kochanków. Sarra uśmiechnęła się. Annyas nie. Jeszcze przez kilka minut uprzejmie wypytywała Sarre o Aga-tine, Orlina, czterech chłopców i uroki Roseguardu, potem życzyła jej spokojnej podróży do domu, przeprosiła i odeszła, by pomówić z Kanenem Ellevitem.

Minęła następna godzina i naprawdę było po wszystkim. Sarre bolały stopy od wysokich obcasów i wychodząc z Sali Malachitowej musiała się postarać, żeby nie utykać. Kiedy tylko znaleźli się w mniej uczęszczanych korytarzach, wiodących do komnat Tela, zrzuciła buty z nóg i niosła je w rękę. Wówczas suknia stała się o dwa cale za długa i Sarra omal się nie przewróciła.

Gdy wreszcie znaleźli się pod ochronnym działaniem zakazów Gorynela Desse, Telo zdjął surdut i czapkę, po czym opadł na fotel.

- Pierwszy raz słyszałem, żeby ktoś nazwał Garona „słodkim”.

- Kiedy postanowił, że jest tak nieprzytomnie zakochany w Glenin?

- Nie jest. Wszyscy wiedzą... - Urwał nagle. - Och. Ale sprawia takie wrażenie, prawda?

Sarra cisnęła buty mniej więcej w kierunku swojej sypialni i wyciągnęła się na kanapie.

- Myślę, że to całkiem świeże uczucie. Widziałeś wyraz twarzy jego matki? Na samej krawędzi zazdrości.

- Więc trochę ją popchnęłaś. Roześmiała się wesoło.

- Tylko odrobinę. Jak ci się podobała jej piosenka?

- Mógłbym dodać jeszcze następne wersy. „Choćby zmierzał do celu prosto jak strzała, to pamiętaj, że drewno łatwo się zgina”. I tak też jest z Garonem, przygięty aż do samej ziemi.

- Lecz mimo to leci prosto do Glenin. - Odwróciła głowę, kiedy w otwartych drzwiach pojawili się Alin Ostin i Valirion Maurgen. -1 cóż? Co sądzicie o mojej mowie?

- Świetna! Tak jakbyś sama nie wiedziała! - Alin uśmiechnął się i złożył elegancki ukłon.

- W każdym razie wyglądałaś wspaniale - zakpił Val. -Mnie też trzeba by pogratulować doboru sukni.

- Trzeba by cię wychłostać - odcięła się Sarra. - Czy wiesz, jak długo musiałam ją wkładać? - Uniosła ramiona, każdy rękaw ozdabiał rząd dwudziestu pięciu maleńkich perłowych guzików, ciągnący się od mankietu do łokcia. Z tyłu suknia zapinała się na kolejne pięćdziesiąt guzików.

- Ośmielę się spytać, czy moja Pani potrzebuje pomocy, aby to z siebie zdjąć? Odnosząc się z najwyższą obojętnością do zalotów kuzyna, Alin zwałił się na fotel, skrzyżował ręce na piersiach i przymknął oczy.

- Obudźcie mnie, kiedy już trzeba będzie iść na statek. Sarra wybuchnęła śmiechem, po raz pierwszy tego dnia

czuła się odprężona. Nigdy dotąd nie miała bliskich przyjaciół płci męskiej i zaczynała dopiero odkrywać, jacy mogą być zabawni. Doświadczała zupełnie innego rodzaju bliskości niż w przypadku Orlina i swych przybranych braci, pozbawionego też całkowicie, pomimo sporadycznych zuchwalstw Vala, damsko-męskich podtekstów, które pojawiały się, gdy był przy niej Taig. Albo ten idiota minstrel. Na pewno żaden z nich nie poświęciłby tyle czasu i energii, by przygotować dla niej suknię.

Val przez trzy dni bacznie obserwował, co nosi się na dworze, nim postanowił, że Sarra powinna całkowicie zlekceważyć obowiązującą modę. Żadnego odsłaniania ciała, musi być okryta od szyi aż po nadgarstki i kostki u nóg. Żadnych haftów i ozdób, żadnych klejnotów, żadnych koronkowych wstawek, wycięć czy obszytych wstążkami falbanek, odsłaniających przejrzystą, koronkową bieliznę.

- Pokaż im tylko to, co chcesz, żeby widzieli - powiedział, kiedy dwa dni temu rysowała dla niego projekt sukni. - To znaczy kolory Liwellanów i Sleginów, włosy i twarz. Uwaga

ma być skupiona na tobie. Na tobie, nie na stroju. Nie rozpraszaaj ich klejnotami, haftami ani wymyślnym krojem" sukni, zwłaszcza zbyt dużym dekoltem. Daj im coś, na co będą mogli popatrzeć, a kiedy skończą patrzeć, zaczną słuchać. I Sarra uważała, że surowy krój postarza ją o sto lat. W tej s prostej sukni czuła się jak przekwitła dama dworu. Musiała jednak przyznać, że strój spełnił oczekiwania Vala. Ludzie patrzyli na nią, zauważali to, co powinni zauważyć - i zaczynali słuchać. Ale za to zrzucenie z siebie tej przeklętej sukni zajęło jej i całe pół godziny. 'l

- I cóż - spytał Telo - jak wasze ćwiczenia w złodziejstwie?

- Doskonale - odparł Alin. - Każdy, kto nie mógł się dopchać do Sali Wielkiej, znalazł się później na przyjęciu, więc na całym dworze Ryka nie było prawie nikogo.

- Poza tym nie sądzę, by ktokolwiek odwiedzał bibliotekę - dodał Val. - Tu chyba nikt nie umie czytać.

- To straszne mówić tak o samej śmietance towarzyskiej Lenfell - zachichotał Telo.

- Z wyjątkiem tu obecnych, rzecz jasna.

- Nie mówi się rzeczy oczywistych. - Val rozwalił się w fotelu, przerzucając swoje długie nogi przez poręcz. - Elomar tulił do siebie tę Kulę, którą zrobił dla Kanto Solingirta, jak matka nowo narodzoną Pierwszą Córkę. Skoro już mowa o Pierwszych Córkach, Sarro, co tam słyszeć u Glenin Feiran?

- Spotkałam ją i jej ojca na przyjęciu. Było bardzo miło. Za to Annyas mówiła rzeczy, które z pewnością was zainteresują. - Opowiedziała im o „piosence" i o jej ukrytym znaczeniu.

Val nie wydawał się specjalnie poruszony.

- Wszyscy wiedzą, że te rody są związane ze Sprzysiężeniem.

Alin zareagował nieco inaczej; to jego brat był wszak owym „dębem", przed którym ostrzegła Annyas.

- Wyraziła to tak otwarcie? Wcale mi się to nie podoba, Sarro.

- Niezupełnie otwarcie, ale wiedziałam, o co jej chodzi, a ona wiedziała, że ja wiem. Nie przejmowałabym się tym. Wkrótce wszyscy będziemy bezpieczni w Sheve. Valirion zwrócił się w stronę gospodarza.

- Właśnie o tym myślałem. Powinieneś jechać z nami. Zaczyna się tu robić bardzo nieprzyjemnie i byłoby lepiej, gdybyś wyjechał teraz, razem z nami, niż gdybyśmy musieli wracać po ciebie później. Możesz powiedzieć, że brat chce z tobą rozmawiać osobiście...

- Och, Annyas będzie tym zachwycona - przerwał Te-lo. - Nie ufa mi zbyt. Gdybym próbował wyjechać...

- Co to znaczy „próbował”? - oburzyła się Sarra, podnosząc się z kanapy. - Jesteś ministrem Lenfell. Możesz jechać, dokąd ci się podoba.

- Owszem, a szpiedzy Rady będą chodzić za mną krok w krok. Przypuszczam, że nie życzycie sobie, by przyjaciele Annyas weszli na statku przez całą drogę do Roseguardu?

- Ten problem - mruknął Alin - dałby się łatwo rozwiązać.

Telo obdarzył Alina dziwnym spojrzeniem. Sarra uśmiechnęła się pod nosem. Nie wydawało się do pomyslenia, by wąły, nieśmiały Alin, ze swoim niewinnym wyglądem, jasną czupryną i wielkimi błękitnymi oczami, mógł skrzywdzić choćby muchę.

- Może i tak - powiedział wreszcie Telo - ale wciąż jestem tu użyteczny. Dołączę do was w Sheve, kiedy życie na dworze Ryka stanie się zbyt... nieprzyjemne. Zmienił temat i zaczął opowiadać plotki o dworskich dostojnikach. Nadeszła pora kolacji. Zapalenie wieczornej świecy należało do Sarry. Zbliżała się już czternasta, kiedy Telomir wysłał całą trójkę do łóżek, bowiem następnego ranka musieli wstać bardzo wcześnie.

Val i Alin zajmowali sąsiednią sypialnię. Sarra zapukała do drzwi łączących oba pokoje, a kiedy pojawił się Alin, zadała mu tylko jedno pytanie.

- Kto był ojcem Tela? Drgnął zaskoczony.

- Nie wiesz?

- Gdybym wiedziała, tobym nie pytała.

- Sarro, skoro on sam ci nie powiedział... '
- Nie powiedział. Ale ty mi powiesz. - Popatrzyła na, niego groźnie. - Alinie. No, już.
- Więc... ale nie słyszałaś tego ode mnie.
- W ogóle niczego nie słyszałam. Kto nim był?
- Gorynel Desse. - Kąciki jego ust uniosły się w ledwie dostrzegalnym uśmiechu. - Dobranoc, Sarro - powiedział i zamknął drzwi.

8

Byli gotowi do odjazdu o piątej. Szary, chłodny poranek wróżył deszcz jeszcze przed południem. Niewielka ceremonia pożegnalna odbyła się na okrągłym, położonym w pobliżu stajni Brukowanym Dziedzińcu, gdzie zwykle witano przybywających na dwór ministrów. Wielbiciele Sarry oraz członkowie Rady, którzy głosowali na jej korzyść - a także kilku spośród tych, którzy głosowali przeciw - przysłali służących lub niewolników z tradycyjnymi upominkami na drogę. Były to małe bukiety, przewiązane wstążkami w barwach rodu ofiarodawcy i zastępujące życzenia szczęśliwej podróży.

Telomir wyjaśniał ich znaczenie. Wszystko, co Sarra wiedziała - i co było dla niej istotne - jeśli chodzi o florę Lenfell, to jak obliczyć wysokość plonów podczas żniw. - Dostyc typowe - powiedział Telo, gdy przywiązywali bukiety do jej siodła. - Nagietki to smutek z powodu rozstania, niezabudki dla zachowania dobrych wspomnień, świeże liście geranium dla ochrony i tak dalej. O, a tu mamy ciekawą sugestię.

Kilku ofiarodawców uczyniło różne ziołowe i kwiatowe aluzje, wskazujące, że naprawdę znają język roślin, a nie tylko naśladową zwyczaj, nie rozumiejąc jego znaczenia. Ci, którzy wyznawali głębokie uczucie, dołączyli do bukietów fiołki na znak wierności kochanka. Jeden bukiet zawierał ususzony kłos zboża, symbolizujący bogactwo. Żaden, jak dowiedziała się z ulgą, nie zawierał ziół ani kwiatów związa-

12 - Wyprawa

177

nych z małżeństwem. Do wszystkich, życzeń dołączono natomiast rutę, jej zapach bowiem, jak wiadomo, odstrasza widma.

Sarra składała podziękowania wszystkim, w których imieniu otrzymała życzenia, a w tym czasie Alin i Val przywiązali do jej siodła resztę bukietów. Gdy skończyli, nieszczęsna klacz wyglądała niczym udekorowana kaplica jakiegoś świętego i po prostu tonęła we wstążkach. Sarra miała nadzieję, że jedwab dobrze trzyma barwniki, w przeciwnym razie siwa klacz stałaby się bardzo kolorowym koniem, gdyby spadł oczekiwany deszcz.

Nadeszła wreszcie pora wyjazdu. Telomir zamierzał towarzyszyć im do pierwszej gospody, potem musiał wrócić do swych porannych obowiązków. Wszyscy służący oraz niewolnicy już się rozeszli i nagła cisza zaczęła irytować Sarre - szczególnie po kilku tygodniach spędzonych na hałaśliwym dworze. Oprócz dwóch stajennych na Brukowanym Dziedzińcu pozostało ich tylko pięcioro: Sarra, Telo, Alin, Val oraz Elomar Adennos - od chwili zawinięcia do portu Ryka używał on innego nazwiska, wcielił się także w postać skromnego sekretarza, co czyniło go prawie niewidzialnym.

- Ach, jesteście jeszcze! - zawołał słodki głos z głównego ganku. - Bałam się, że nie zdążę!

Wbrew zwyczajowi, by upominki na drogę wręczała tylko służba bądź niewolnicy, po stopniach zbiegła lekko Glenin Feiran. W jednym ręku trzymała niewielki bukiet, w drugim zaś mały woreczek z czarnego aksamitu.

- Moja Pani! - wykrzyknęła Sarra. - Z pewnością powinnaś pozostawać w łóżku, dopóki...

- Czuję się dzisiaj zupełnie dobrze. To nader uprzejmie z twojej strony, że martwisz się o mnie. - Glenin wręczyła jej kwiaty: drobne błękitne niezabudki i nic ponadto. - Przepraszam za tę monotonię - powiedziała z uśmiechem. - Rozkochałaś w sobie wszystkich mężczyzn na dworze i ogołocili szklarnię do czysta!

- Są śliczne - odparła Sarra. - Dziękuję.

- Mam dla ciebie coś jeszcze. - Glenin rozwiązała tasiemkę i na otwartą dłoń Sarry wypadła szklana kula. Wewnątrz,

pośród wirujących w przejrzystej wodzie odłamków błękitnego kryształu, zamknięty był mały złoty sokół o żółtych oczach z topazów. W srebrnych szponach trzymał wieniec ze złotych róż.

- Tak naprawdę, to prezent od Pierwszej w Radzie - powiedziała Glenin. - Nalegałam jednak, bym to ja mogła ci go wręczyć.

Sokół Liwellanów, Różana Korona Sleginów. Anniyas już od wielu tygodni znała wynik głosowania; takiej kuli nie da się wykonać w ciągu jednego dnia.

W odległym zakątku pamięci Sarry rozbłysło niechciane i nieproszone wspomnienie: jej czwarte urodziny, ostatnie, jakie obchodziła w Ambrai, i nowa sukienka dla lalki, uszyta przez Glenin niezdarными rękami siedmioletniej dziewczynki.

- Ja... nie wiem, co powiedzieć - wyznała Sarra szczerze. - Jest piękny. Będę go strzec. Dziękuję i proszę podziękować ode mnie Pierwszej w Radzie.

- Zrobię to, moja droga.

Nadszedł Alin, by przywiązać u siodła Sarry ostatni z pożegnalnych bukietów. I wtedy zdarzyły się dwie dziwne rzeczy. Źrenice Glenin zwięzły się, kiedy spojrzała surowo na Alina. Rozchyliła wargi, a z jej ust wydobył się niemal bezgłośny szept. Natomiast Alin, zapewne pod wpływem jej natarczywego wzroku, potknął się o kostkę bruku i wpadł prosto na Sarę. Szklana kula wyslizgnęła się z jej palców i roztrzaskała na kamieniach.

Sarra stała jak porażona, a przeczucia krzyczały w niej, gdy zobaczyła, że złoty sokół gubi wieniec z róż i tonie w kałuży. Alin cofnął się, mamrocząc pod nosem przeprosiny niczym przerażone dziecko. Telo podniósł sokoła; Val ukląkł, by pozbierać szklane okruchy.

- Co za przeklęty pech! - powiedział Telo. - To wszystko przez ten śliski bruk...

- Śliski, akurat! Co za niedzara! - zawołał Val. - Błagam o wybaczenie, Pani!

- Tak mi przykro - wybąkała Sarra, trzęsąc się ze zgrozy; sama była zdziwiona własną reakcją na ten dość przecież błahy incydent. - Tak mi przykro.

Jeżeli Glenin była wściekła, to nie dała tego po sobie poznać.

- Co za wstyd! Lecz nie martw się, Pani Sarro. Każę naprawić sokoła i wieniec i prześlę ci duplikat do Rose-guardu. !

Val wręczył odłamki szkła stajennemu, by ten je wyrzucił. Alin skrył się za koniem. Glenin pieczołowicie schowała sokoła i wieniec.

Pięć minut lub pięć godzin później - Sarra nie była w stanie stwierdzić, ile czasu minęło - wyjechali z Brukowanego Dziedzińca. W odległości mniej więcej dziesięciu mil od Ryki, kiedy przez mgłę i chłód poranka zmierzali na północ, do portu, Sarra wreszcie złapała oddech. A gdy rozejrzała się dookoła, pierwszą osobą, jaką zobaczyła, był Alin. Całym jej ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz.

Czary, pomyślała. Próbuje się uwolnić - Alin ma rację, to boli...

Spiął konia i podjechał bliżej.

- O co chodzi?

- Ona... ona cię rozpoznała. - Zawstydziała się, bowiem głos jej drżał.

- To niemożliwe. - Błękitne oczy pociemniały pod zmarszczonymi brwiami. - Jakim cudem? Nigdy przedtem mnie nie widziała. A nawet jeśli wie, jak wygląda Taig, to wcale nie jestem do niego podobny.

- Rozpoznała cię - powtórzyła Sarra. - Widziałam to na jej twarzy. Ja... czułam to. Przez jakiś czas milczał.

- Ufam twoim przeczuciom, Sarro - odezwał się w końcu - lecz myślę, że tym razem się mylisz. Choć ja się nie myliłem - dodał ponuro. - Stłukłem tę szklaną kulę celowo.

Raz jeszcze zaniemówiła i tylko potrząsnęła bezradnie głową.

- W środku była Kula Magiczna. Maleńka, jak moje czary, ale czułem ją.

A więc ją rozbił - i jedynie święci wiedzą, czym ryzykował, kiedy wy dostały się z niej czary. Ani on sam, ani Elomar nie dotykali szczątków, ponieważ byli Magiczni.

Val pobierał szkło, Telomir zaś zajął się sokołem i wieńcem. Sarra próbo-

wała sobie przypomnieć, czy coś wtedy czuła. Nie, była zbyt oszołomiona -
ponieważ działały na nią uwolnione czary.

- Dzięki tej Kuli mogłaby nas obserwować - dodał Alin.

To dlatego miała wrażenie, że wpatrują się w nią żółte oczy sokoła - dokładnie tak
samo czuła się w zamku Malerris.

Okręt flagowy floty Sleginów był najszybszą jednostką, jaką dysponowała Pani Agatine. Kiedy Sarra przebywała na dworze Ryka, kapitan Nalle załadowała fracht w porcie Ryka, popłynęła z powrotem do Havenportu, zabrała stamtąd trochę drobnicy oraz kilku pasażerów i przycumowała „Różaną Koronę” do Północnego Nabrzeża w Ryce, by oczekiwać na przybycie Sarry. Nowy ładunek tekstyliów, wina i artykułów żywnościowych zmierzał do Renig. Tam statek miał załadować drewno z lasów otaczających Zwierciadło Maidil, oraz stado galazhi, wysyłane na eksperymentalną hodowlę do Cantrashiru (próby takiej podjął się ród Gorrst, finansowali ją Ostinowie) i płynąć do Roseguardu. Niezależnie od innych celów, każdy rejs „Różanej Korony” musiał przynosić zyski.

Kiedy weszli na pokład - tym razem obyło się bez podstępów - Kanto Solingjrt powitał Sarrę uśmiechem i skinieniem głowy, po czym schronił się przed deszczem do swojej kajuty. Zaszył się tam wraz z Elomarem Adennosem i obaj nie wychodzili całymi dniami, sporządzając projekty falsyfikatów.

Mag Dziekan Lusath Adennos opuścił dwór Ryka tydzień wcześniej, gdy jego starania o przydział większych funduszy i lepszej kwatery zakończyły się fiaskiem. Zatrzymał się u ciotki przy Północnym Nabrzeżu i tam czekał na „Różaną Koronę”. Po wejściu na pokład on również nie opuszcza swojej kabiny - prywatnej kabiny Pani Agatine - zdruzgotany odmową Rady. Gdyby znał prawdziwy cel misji Sarry, może jego nastrój trochę by się poprawił. Tym razem jednak, po raz

pierwszy w swych dziejach, Strażnicy Magii postanowili trzymać dziekana w całkowitej nieświadomości.

Do pozostania na zalewanym potokami deszczu pokładzie mogło skłaniać tylko jedno: urzekający widok niknącej w oddali Ryki. Val i Alin natychmiast zeszli do swej wspólnej kajuty. Sarra miała kwaterę tylko dla siebie - choć obecnie dzieliła ją ze swoim drugim wcieleniem.

Mai Alvassy nie była wiernym sobowtórem Sarry. Włosy miała nieco dłuższe niż sięgająca podbródka fryzura w stylu Ambrai, którą Sarra dawno już zresztą zarzuciła. Tak więc Mai upinała włosy na czubku głowy i wkładała perukę. Miała też o dwa cale więcej wzrostu, ciemnoniebieskie oczy i cerę w odcieniu przybrudzonego różu - dziedzictwo po ciemnoskórej babce Gorynnie Desse - jak również nieco wyższy głos i trochę szczuplejszą twarz. Obie były jednak na tyle do siebie podobne, że dopóki nie pokazywały się razem, podstęp miał wszelkie szanse się udać.

Krótkie przechadzki po pokładzie odbywały na zmianę, wkładając wtedy niebieski wełniany płaszcz z kapturem należący do Sarry. Choć wszyscy na statku odnosili się z sympatią do Sprzysiężenia, jednak względy bezpieczeństwa nakazywały zachowanie tajemnicy, tak jak w przypadku Maga Dziekana. Agata Nalle każdego wieczoru jadła z nimi kolację. Val, udając służącego, budził je każdego ranka na śniadanie. Udawał przy tym, że ich nie odróżnia - ze względu na włosy i odcień skóry było to niedorzeczne, ale przynajmniej dzień zaczynał się od czegoś zabawnego.

Z wyjątkiem tych wizyt były zdane wyłącznie na własne towarzystwo. Nie mając najmniejszego pojęcia, kim naprawdę jest Sarra, Mai nie wiedziała również, dlaczego ich podobieństwo odgrywa aż takie znaczenie. Początkowo czuła się bardzo onieśmielona, lecz nawet gdy zachowywała milczenie, Sarra cieszyła się z jej towarzystwa. Pozostawiona samej sobie, pogrążona w rozmyślaniach o Kuli Magicznej i dociekaniach, co się za nią kryło, chyba by oszalała. Były w tym samym wieku - Sarra starsza o dziewięć tygodni - urodziły się w tym samym mieście, ich matki łączyło bliskie pokrewieństwo, przez pierwsze pięć lat życia obu dziewczynek właściwie niczym się nie różniło. Po opuszczeniu Ambrai ich losy potoczyły się już zupełnie inaczej, z wyjątkiem jednej tylko wspólnej

cechy: obie żywiły nieprzyjazne uczucia wobec Annyas i Panów z Malerris, to zaś doprowadziło je obie do Sprzysiężenia.

Zarówno Tama A Wassy, jak i jej mąż, Gerrin Desse, nie przeżyli upadku Ambrai.

Wkrótce po tym, jak Gorynel Desse zabrał Maichen i Sarę do Straconego Kraju, Mai, jej siostra Elin oraz brat Pier popłynęli potajemnie do majątku Ałvassy w Bleybradden. Ta zamorska posiadłość stanowiła posag ich dziadka, Piergana Rille - którego rodzina zgodziła się też użyć swego nazwiska Caillet.

W środku nocy - tej samej nocy kiedy spłonęło Ambrai, chociaż o tym Mai dowiedziała się dopiero dużo później - zjawiała się piękna kobieta i zaprowadziła ją, jej rodzeństwo, a także dziadków do powozu. Dzieci spały, a gdy się obudziły, jechali właśnie do niewielkiej posiadłości, wniesionej rodzinie w posagu przez Enisa Dombura. Drabina przeniosła ich z Bleybradden do Domburronu, lecz Mai nie zapamiętała jej położenia.

- Ale pamiętam maga - wyznała pewnego wieczoru. - Elseveth Garvedian. Była jeszcze piękniejsza niż Lusira, jeżeli możesz to sobie wyobrazić. Opuściła nas w Domburronie. Nigdy jej więcej nie widziałam.

- Matka Lusiry? - zastanawiała się Sarra.

- Nie, a Lusira powie ci tylko, że to jakaś daleka kuzynka. - Mai poruszyła lewym ramieniem; gest ten Sarra próbowała sobie przyswoić, tak jak sama wpajała Mai swój nawy wbijania paznokci w dłonie. Na wszelki wypadek postanowiły wymienić się również przyzwyczajeniami. - Zresztą nie woln było pytać. Dziadkowie przykazali nam, byśmy nigdy ni rozmawiali z nikim o naszej przeszłości. Szczególnie po tym jak wuj Toliner odszedł od nas do Panów z Malerris.

- Mąż Jeymian Renne, ojciec Orlina - powiedziała Sarra.

- Synowie Agatine są moimi kuzynami. - Mai uśmiechnęła się nieśmiało. - W ten sposób my też jesteśmy kuzynkami.

Sarra również się uśmiechnęła, z radością godząc się n pokrewieństwo, chociaż Mai nie zdawała sobie oczywiście sprawy, że to prawda, a nie tylko uprzejmość.

- Jesteśmy wystarczająco do siebie podobne, by nazywa się siostrami!

Mai skinęła głową, w świetle lampy jej błyszczące włosy poruszyły się jak płynny jedwab. Włosy Caillet wyglądałyby tak samo, pomyślała Sarra, przesyta nagłą tęsknotą, by spędzać tak długie, wypełnione zwierzeniami noce ze swoją prawdziwą siostrą. Z kimś kto wyglądał tak jak ona, myślał tak jak ona, wierzył w to co ona. Taka właśnie była Mai -a Glenin nie.

Po przybyciu do Domburronshiru życie Mai biegło tak samo zwyczajnie i ciężko jak życie Caillet w Straconym Kraju. Elinar Alvassy i Piergan Rille wychowywali troje wnuków w niewielkim majątku Dombur, stanowiącym posag ojca Elinar. Nie można powiedzieć, że zupełnie zniknęli ludziom z oczu, znajdowali się jednak daleko od dworu Ryka i dopóki nie ciążyły na nich żadne podejrzenia, nie zwracano na nich uwagi.

- Anniyas zaplanowała sobie, że cały ród Ambrai, magowie i wszyscy, którzy byli z nimi związani, umrą „przez pomyłkę” tej nocy - powiedziała Mai. - Mielśmy szczęście, że udało nam się uciec.

Ja też, pomyślała Sarra, uświadamiając to sobie w pełni po raz pierwszy. Patrząc na Mai, słuchając jej opowieści, zrozumiała wreszcie, co by się stało, gdyby schwytano ją i Maichen.

Inna ulotna myśl zyskała obecnie twarz i była to prawie jej własna twarz: Matka i ja zginęłybyśmy, a Caillet nigdy by się nie urodziła. Ojciec - nie, Anniyas! On nas kochał, nie mógłby nas zabić...

Lecz stałoby się jeszcze gorzej, gdyby zabił wszystkich pozostałych... a oszczędził matkę i mnie.

Na tym właściwie kończyła się historia Mai. Troje dzieci wyrosło pod własnym nazwiskiem, choć nie we własnym domu. W opustoszałym majątku pozostali w końcu tylko Mai i dziadek Piergan. Elinar umarła w 966 roku. Dwudziestoletni, mocno Magiczny Elin został zabrany przez Gorynela Desse, gdy Mai skończyła trzynaście lat. Pier, zaledwie siedemnastoletni i również Magiczny, wyjechał do Cantrashiru i przyłączył się do Sprzysiężenia.

- Wkrótce ponownie ich zobaczysz - zapewniła Sarra. -Spodoba ci się w Sheve. Nie jest to wprawdzie Ambrai, ale... -urwała; niewiele brakowało, a znów powiedziałyby za dużo.

- Prawie nie pamiętam domu - zadumała się jej kuzynka. - Ale nie wierz we wszystko, co usłyszysz, Sarro. Ośmiokątny Dwór był cudownym miejscem i czułam się tam bardzo szczęśliwa. Lecz we wspomnieniach ludzi stał się czymś więcej, niż był w istocie. Mówią o nim tak, jakby był... doskonały. A nie był.

Przetrząsając własne wspomnienia, myśląc o uciekinierach, których spotkała przez te wszystkie lata, Sarra wiedziała, że Mai ma słuszość. Ale, wzięwszy pod uwagę jej własne zamierzenia, nie wydawało się to wcale takie złe.

- Czy nie sądzisz, że ludzie chcą go tak pamiętać? Chyba wszyscy chcą o nim pamiętać. Jako o symbolu.

- Och, dla dobra Sprzysiężenia, tak. Wspomnienie o tym, co przepadło. Lecz Ambrai było moim domem, Sarro, i powinno być zapamiętane takie, jakie było naprawdę. Ten wymyślony ideał, o którym mówią, nigdy nie istniał. A jeśli nawet, to odszedł na zawsze. Nie ma sensu odbudowywać tego, czego nigdy nie było. Tracimy w ten sposób siły i czas, ażeby stworzyć kłamstwo.

Sarra przytaknęła, czuła jednak, że należy zastąpić słowo „kłamstwo” słowem „marzenie” - a wówczas odbudowanie Ambrai nie będzie już ani beznadziejne, ani daremne.

Piątej nocy podróży zjawił się Elomar Adennos. Mai przebywała wówczas na pokładzie, a mag wyjaśnił jej, że powinna pozostać tam aż do odwołania, on bowiem musi odbyć rozmowę z Sarrą na osobności. Przyniósł ze sobą okazały dzban grzanego wina, zapowiadał się więc długi wieczór.

Zasiedli wygodnie, stawiając kubki z winem w zasięgu ręki. Sarra usadowiła się ze skrzyżowanymi nogami na dolnej koi, mag zaś wybrał sobie jedno z dwóch drewnianych krzesel.

- Czary w Kuli Magicznej nie są ani zwyczajne, ani łatwe - zaczął bez żadnych wstępów.

- Była gotowa, zanim przybyłam do Ryki - zadumała się Sarra. - Czegoś takiego nie da się zrobić w jeden dzień. Czy dmuchano szkło wokół Kuli, czy wstawiono Kulę w szkło?

- W każdym wypadku byłaby to straszna robota.

- To znaczy, że nie wiesz. Cóż, to nie takie ważne, jak sądzę. Alin powiedział, że Glenin chciała mnie w ten sposób obserwować.

- Kula sama w sobie nie była groźna. W przeciwnym razie uciekające czary obróciłyby w perzynę cały dziedziniec. Po tych resztkach, których odważyłem się dotknąć, zorientowałem się, że jej cel rzeczywiście stanowiła obserwacja. Alin jest bardziej wyczulony, niż sądzi.

- A Glenin jest sprytniejsza, niż przypuszczałam. Tego rodzaju prezenty zwykle pokazuje się gościom - jako dowód łaski Annyas, no zresztą sam wiesz. Nawet na statku, za każdym razem kiedy chciałabym na nią popatrzeć...

Adennos skinął głową.

- Właśnie. Pewnego dnia staniesz się bardzo bogata, a tym samym bardzo potężna. Być może, taka Kula to zwykły podarunek dla ważnych gości.

- Hmm. Nie sądzę. Sporo podróżowałam, a nikt nigdy nie pokazał mi czegoś takiego - a pokazaliby, choćby po to by się poszczycić. Dlaczego Glenin dała ją mnie? Co ona podejrzewa?

- Albo Annyas - przypomniał. - Ofiarowano ją w jej imieniu, chociaż zrobiła ją Glenin.

- Skąd wiesz? Zawahał się.

- To posmak czarów, jeśli można to tak nazwać. Alin nie potrafi dostrzec subtelnych różnic w dziełach Magicznych, ale ja potrafię. To tak jak podpis.

- Czy można go sfalszować, tak jak Kanio podrobi charakter pisma Annyas?

- Wybitnie uzdolniony Mag mógłby.

Znowu coś dla Gorynela Desse! Sarra uśmiechnęła się do Elomara.

- Przesłuchuję cię jak sędzia zbrodniarza, wiem, ale jesteś dzisiaj wyjątkowo rozmowny, więc korzystam z okazji.

- Pytaj.

Roześmiała się z tej nader zwężłej odpowiedzi.

- Dobrze, zatem czy wiesz, dlaczego Glenin rozpoznała Alina?

- A rozpoznała?

- Tuż przed tym, jak zbił Kulę. Nie widziała go po raz pierwszy, Elo, nie rozpoznała też rodzinnego podobieństwa. Nie jest aż tak duże. Patrzyła na niego, jakby spotkała go już wcześniej. On twierdzi, że nie.

- Nie mogę ci pomóc, *domna*. Nie zauważyłem tego.
- Hmm. To źle. Następne pytanie... - Urwała i wbiła wzrok w swój kubek. - Elo... jak myślisz, co oni o mnie wiedzą?

- Nic. Rozpoznałoby cię natychmiast.

Tak właśnie się stało, gdy po raz pierwszy ujrzała Caillet.

- Co do Sprzysiężenia... - Adennos odchylił się na krześle; i wyciągnął przed siebie skrzyżowane nogi. - Nie mają nic, na czym mogliby oprzeć swoje podejrzenia, ponieważ nic podejrzanego nie zrobiłaś. Lecz przez kilkanaście lat mieli na oku Panią Agatine. Być może, Kula miała służyć do śledzenia jej, nie ciebie.

- Następna rzecz, której nie możemy być pewni.

- W Sprzysiężeniu jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Wykrzywiła się do niego.

- Czy Kanto już zdecydował, co takiego napisze Annyas, aby się obciążyć? Nie, zaczekaj... o tym pomyśli Gorynel Desse, prawda? Czy rzeczywiście jest ojcem Tela Renne?

Elomar zakrztusił się winem.

- Kto ci o tym powiedział? i

- Nieważne. Ale to prawda, może nie? Ma w sobie jakieś czary? - Potrząsnęła głową, zniecierpliwiona własną głupotą. - Jest synem Gorynela Desse, oczywiście, że ma. Więc umieszczono w nim zakaz, tak jak we mnie.

- Skąd ty...?

- Och, to oczywiste! Czy mógłby zająć w rządzie aż tak wysoko, gdyby Annyas wiedziała, kim jest jego ojciec? Poza tym dotykał szczątków Kuli, natomiast ani ty, ani Alin nawet się do nich nie zbliżyliście. Więc jego czarów strzeże zakaz, prawda? Ochłonawszy trochę, Mag Uzdrawiciel pochylił się lekko na krześle.

- Czy masz jeszcze jakieś pytania, na które nie muszę odpowiadać?

Sarra wybuchnęła śmiechem.

- Jeszcze tylko jedno, a potem zlituję się nad tobą. Założę się, że przez ostatnią godzinę powiedziałaś tyle co w ciągu całego minionego roku.

Na jego chudej twarzy pojawił się kwaśny uśmiech.

- Więcej.

- Bardzo zabawne. Powiedz mi zatem - czy o coś jeszcze powinnam zapytać?
Przestał się uśmiechać, ale nie odpowiedział. Zamiast tego skłonił się lekko i ruszył w stronę drzwi. Sarra rąbnęła pięścią w poduszkę.
- Elomarze! Nie waż mi się powiedzieć, żebym porozmawiała z Gorynelem Desse!

10

Dziesięć mil drogi do Roseguardu, aby oddać starcowi kolejną przysługę... No cóż, pomyślał Collan cierpko, i tak jechałem w tamtą stronę.

W ciągu ostatnich kilku lat powtarzał te słowa dosyć często. A od czasu sromotnej ucieczki z Pinderonu przemierzył wzdłuż i wszerz całą północną półkulę. Zawsze przybywał do miejsc, gdzie „dobrze przyjmują minstrela i możesz nieźle zarobić”, zawsze miało mu to zająć „tylko godzinę lub dwie”, zawsze miała to być „zaledwie drobna przysługa”.

I tak zawsze w końcu dokądś jechał.

W Roseguardzie znano go dosyć dobrze. Tak naprawdę, był znany na całym obszarze od Cantry przez Renig aż do Shainkroth. Jego sława sięgała nawet zamku Wyte Lynn -choć nie wybierał się tam w najbliższym czasie, a to z powodu drobnego nieporozumienia, gdy piętnastoletnia córka rodu Ellevit została przyłapana z nim sam na sam, zupełnie nago. (To nie była jego wina; naprawdę sądził, że chciała, aby dla niej zagrał, nawet przyniósł ze sobą lutnię. Chodziła jeszcze do szkoły i miała piętnaście lat, o połowę mniej od niego, na litość Geridona!)

Kiedy Col rozpoczynał swoją karierę, musiał często śpiewać przez cały wieczór, żeby zarobić na wikt i nocleg, a cały zarobek szedł do kieszeni oberżysty. Obecnie wieść o jego przybyciu rozchodziła się po mieście, dworze lub zamku lotem błyskawicy, a tawerna, w której raczył się zatrzymać, natychmiast zapełniała się po brzegi. Ściągał tylu klientów, że mógł

domagać się równego udziału w zyskach. Jak na kogoś, komu w wędrówce towarzyszy jedynie lutnia i siwek rasy tillinshir (będący własnością Witte'ów wążach z Pinderonu, którego -ze zdumiewającym jak na minstrela brakiem wyobraźni -nazwał Pstrokatym), był zamożnym człowiekiem. Lecz jego majątek, oprócz sum potrzebnych na podróż, spoczywał bezpiecznie w piwnicach Bractwa Uzdrawicieli w każdym z większych miast północnego Lenfell. Nie ufał bankom; Ministerstwo Handlu skrupulatnie je kontrolowało i nierzadko konfiskowało wkłady. Co się tyczy jego macierzystego Bractwa -Bardów - to ostatnimi czasy stało się ono przypadkową zbieraniną miernych wierszokletów. Col natomiast uważał, że kto jak kto, ale uzdrowiciele z pewnością przetrwają, niezależnie od praw stanowiących przez Radę. Ludzie zawsze potrzebowali lekarzy.

Gdyby wiedział, że zarząd skarbu bractwa jest filią Sieci Ostinów, chyba padłby trupem.

Po zajściach w Pinderonie Col ukrywał się przez jakiś czas. Taig Ostin, który wreszcie dogonił go w pół drogi do Cantry, robił co mógł, aby pozyskać Cola dla Sprzysiężenia. Col nawet nie chciał o tym słyszeć. Miał jednak zobowiązanie wobec Taiga, zdążył się już przy tym nauczyć, że dług nie spłacony szybko komplikuje dłużnikowi życie. Zgodził się więc dostarczyć wiadomość do pewnego domu w Cantrze -ponieważ i tak jechał w tamtą stronę - przekonany, że to zakończy całą sprawę.

Lecz w Cantrze przepiękna *domna* Garvedian prosiła go tak wdzięcznie, że byłoby grubiaństwem odmówić. Razem z Pstrokatym popłynął więc do Neele - co wydawało się wówczas nie najgorszym pomysłem, bowiem Gwardia Rady miała go na czele swojej listy poszukiwanych jeszcze przez wiele tygodni po Pinderonie. Dostarczenie wiadomości zajęło mu godzinę, natomiast całe dwa tygodnie na próżno usiłował wydostać się z Brogdenguardu, dopóki inna kobieta, też związana ze Sprzysiężeniem, nie pomogła mu dostać się na pokład statku pływającego pod banderą jej rodu. Po przybyciu do Ambraishiru zapłacił za przejazd w ten sposób, że pognął biednego Pstrokatego przez burzę z piorunami, aby pewnemu staruszkowi mieszkającemu u ujścia rzeki Brai wręczyć skórzaną torbę z bliżej nie znaną zawartością. Skończyło

się na tym, iż Col musiał pozostać u starca, który leczył go z paskudnego przeziębienia. Dał mu również nowe struny do lutni oraz zbiór rzadkich pieśni jeszcze sprzed Pierwszej Inwazji. Gdy więc staruszek poprosił o przewiezienie tej samej skórzanej torby, znów z niewiadomą zawartością, do niewielkiego majątku nad Posępną Zatoką, honor nakazywał mu to uczynić.

W ten sposób Col, nim zdążył się zorientować - i, oczywiście, wbrew swojej woli - stał się kurierem Sprzysiężenia. Dzięki temu, że wiódł życie włóczęgi, nie rzucał się w oczy; dzięki swemu nastawieniu „Nie mów mi, nie chcę nic wiedzieć” - był nieoceniony. Gdyby go schwytano, nie mógłby wyjawić praktycznie nic.

Nie chciał tego. Ale nim zdążył uwolnić się od jednego zobowiązania, już ciążyło na nim następne. Doprowadzało go to do szału. Mimo to... dopóki nikt nie kazał mu jechać do Pinderonu i dopóki nie podejrzewano go o żadne związki ze Sprzysiężeniem, odwdzięczał się, wyświadczając przysługi za przysługi wyświadczone jemu. Za każdym razem uśmiechał się jedynie szyderczo, bowiem ten łańcuch zdawał się nie mieć końca. Ale dzięki temu stał się również sławnym minstrelem i zdołał zgromadzić całkiem poważne kwoty w kilku skarbcach Bractwa Uzdrowicieli.

A teraz znów winien był przysługę rycerzowi Strażników Magii Gorynelowi Desse we własnej osobie. Col od razu odgadł, że wszystko zostało z góry ukartowane. Jak inaczej wyjaśnić zagadkowy fakt pojawienia się Daliona Witte w tak dogodnym momencie? Starzec zapewniał go, że był to czysty przypadek, Witte przyjechał do Cantry zalecać się do dziewczyny z Krwi Firennos, został odrzucony, postanowił więc ukoić swój smutek w tawernie. Ale dziwnym trafem wszedł do tej samej tawerny, w której występował Col - i dziwnym trafem w tej samej tawernie pojawił się Gorynel Desse, akurat w stosownej chwili, by ocalić jego skórę. I osmalić ją przy okazji - dokładnie w momencie gdy Collan i Dalion Witt rozpoznali się nawzajem, palenisko za plecami Cola nagi buchnęło płomieniem, oślepiając wszystkich oprócz niego. Czym prędzej wybiegł na ulicę, włożył lutnię do futerału, a Desse już stał przy nim, bez ogródek domagając się wdzięczności za swoją magiczną interwencję.

Collan wprowadził konia do stajni obok zajazdu, gdzie zwykle się zatrzymywał, gdy przyjeżdżał do Roseguardu. Bynajmniej nie wpadł w zachwyty z powodu nowego zadania. - To tylko wiadomość - powiedział mag. - Zabierze ci to najwyżej jeden dzień. I tak jechałeś w tamtą stronę. Ludzie w Roseguardzie są hojni i potrafią docenić dobrą muzykę. Nie stracisz na tej podróży.

Lecz tym razem było inaczej.

Do tej pory zawsze doręczał zapakowane przedmioty -nigdy nie pytał, co wiezie, bo naprawdę go to nie obchodziło -lub ustne wiadomości, przekazywane szyfrem, który dla niego nie miał żadnego sensu. Wolał to drugie. Ale tym razem nie była to ani wiadomość ustna, ani zapakowana przesyłka: szyfr składał się nie ze słów, lecz z kwiatów.

- To nowy pomysł - wyjaśnił Dese - oparty na starej tradycji, która już wyszła z mody. Na pewno zrozumiesz przesłanie.

Zrozumiał, choć specjalnie go to nie obeszło. W kilku starych pieśniach pojawiał się zawily język kwiatów i ziół, lecz większość ludzi znała jedynie jego podstawy: życzenia na drogę, bukiety z okazji pierwszego kobiecego krwawienia lub oświadczeń. Kwiatowa metafora była znakomitym szyfrem, pozwalającym zachować niemal całkowitą tajemnicę.

- Może to również znaczyć, że wiadomość jest niebezpieczna, musi więc wyglądać jak najbardziej niewinnie, a cóż bardziej niewinnego niż wiązanka kwiatów? - mówił mag.

Collan parsknął. Niewinnego, jeszcze jak! Pierwszy raz rozumiał, co jeden z członków Sprzysiężenia miał do powiedzenia drugiemu. I to będzie jego słabość, jeżeli schwyta go gwardia.

Na ile mógł ocenić, nie pozostawało mu nic innego, jak tylko dostarczyć wiadomość. Ale to już ostatni raz. Ostatnia przysługa, jaką zgodził się wyświadczyć komukolwiek.

Rzecz jasna, starzec nawet nie pomyślał, jak trudno zebrać tak wiele różnych kwiatów. Po pierwsze, była zima. Po drugie, chociaż jest wiele miejsc, gdzie można kupić kwiaty, to gdyby zażądał wszystkich naraz, uznano by go za dziwaka - w najlepszym razie. Z pewnością nie mógł też krążyć od kwiaciarni do kwiaciarni po całym Roseguardzie niczym jakaś obłąkana pszczoła.

13 - Wyprawa

Col zostawił Pstrokatę w stajni i wszedł do zajazdu „Pod Rozszczebiotany Szczygłem” (powtórzenie tej nazwy trzy razy - wolno lub szybko - stanowiło dobry sprawdzian stopnia upicia się). Był zmęczony i wymówił się od śpiewania, a *domna* specjalnie nie protestowała, wiedząc, że powetuje to sobie następnego wieczoru. Po kolacji Col udał się do łóżka w towarzystwie uroczej siostrzenicy gospodyni i tuż przed zaśnięciem doszedł do wniosku, że najłatwiej - i najtaniej - zdobędzie to, czego potrzebuje, kradnąc po prostu kwiaty z Ogrodów Roseguardu. Wiadomość przeznaczona była dla Pani Agatiny; zatem przekaże ją używając do tego jej własnych kwiatów.

Nazajutrz wczesnym rankiem stanął więc jako pierwszy u głównej bramy do posiadłości. Strzegły jej dwa starożytne, na wpół zrujnowane barbakany, które przed zupełnym zawaleniem chroniły tylko pędy pnących róż. Strażnicy Róż pomyślał i skrzywił się. Gry słów są dobre w pieśniach, ale oglądać je na własne oczy - to już lekka przesada, jak na jego gust.

Pomimo zimy było dość ciepło, czyste niebo i promienne słońce obiecywały wspaniały dzień. Collan zapłacił miedziak za wstęp, dostał mapę ogrodów i rozpoczął poszukiwania. Uszedł ledwie pięć kroków i zupełnie zapomniał, po co tu przyszedł. Nawet w zimie Ogrody Roseguardu były zjawiskiem przekraczającym wszelkie wyobrażenia.

Miliony kwiatów w tysiącach kolorów, kształtów i rozmiarów wydzielały wonie, które odurzały niczym wino. Zioła, płożące się na rabatach bądź pnące zwartymi rzędami po wysokich, wolno stojących ścianach, pachniały jeszcze bardziej intensywnie, mieniając się przy tym wszelkimi odcieniami zieleni, od niemal czarnej do srebrzystej. W głąb ogrodu wiodła szeroka, porośnięta aksamitną trawą aleja, wzdłuż której dobrane parami drzewa wystrzelały w górę na podobieństwo ogromnych świec, ustępując stopniowo miejsca niższym krzewom o barwie ognistej miedzi. Z kamiennych łuków opadały kaskadami purpurowe, białe i szkarłatne róże. Spośród kwietnej masy wyłaniały się niekiedy pióropusze białej i brązowej ozdobnej trawy, a dalej znowu drzewa, uginające się pod ciężarem wszelkich owoców. Jadalne i ozdobne rośliny tworzyły misterny, wzorzysty dywan, otoczony grubym, sięga-

jącym kolan żywopłotem. Zewsząd dobiegało radosne brzęczenie sytych pszczoł i różnorodny chór ptasich głosów.

A wszystko to zdołał zobaczyć, uszedłszy zaledwie pięć kroków w głąb ogrodu. Mapa powiedziała mu, że całość zajmuje pięć mil kwadratowych.

- Pierwszy raz, co?

Czyjś głos wyrwał go z cudownego snu na jawie, pełnego kolorów, zapachów i dźwięków. Wciąż oszołomiony niewiarygodnym przepychem ogrodu, odwrócił głowę. Przed nim stał wysoki, barczysty mężczyzna o sympatycznej twarzy. Był mniej więcej w wieku Cola, a w okrytej rękawicą dłoni trzymał parę ogrodowych nożyc.

Collan skinął głową.

- To... - zdołał tylko powiedzieć i urwał, zakłopotany. Świetny z niego minstrel, skoro brakuje mu słów na wyrażenie swoich uczuć.

Ale ogrodnik zrozumiał.

- Tak, to prawda. Właśnie odbywam zwykły, poranny obchód. Jeśli masz czas, możesz pójść ze mną. Nowi goście sprawiają, że ja też zaczynam patrzeć świeżym spojrzeniem. -Przełożył nożyce do lewej ręki i uniósł prawą dłoń. - Verald Jescarin, mistrz Ogrodów Roseguardu. - Skrzywił się nagle i zdjął rękawicę, przytrzymując ją w zębach. - Przepraszam -mruknął niewyraźnie.

Nagle Collan przypomniał sobie, po co tu przyszedł. Któż mógł zaprowadzić go do odpowiednich kwiatów, jeśli nie człowiek, który ich doglądał? Odpowiedział na pozdrowienie Jescarina i uśmiechnął się.

- Jeżeli uda ci się znieść mnóstwo głupich pytań, to z przyjemnością będę ci towarzyszył.

Spacerowali krętymi ścieżkami, a Jescarin wyjaśniał cierpliwie Colowi, co gdzie rośnie i dlaczego. Niektóre zioła odstraszały owady, inne je wabiły; w jednej części ogrodu dominowały różne odcienie czerwieni, symbolizujące lato, w następnej - dobrane z równym artyzmem błękity zimy. Gdy z wolna okrążali wysoki żywopłot, Collanowi aż zapało dech na widok oślepiającego piękna tej wydzielonej części ogrodu. Każdy liść, źdźbło trawy, krzak i drzewo mieniły się srebrem; wszystkie kwiaty, od maleńkich konwalii po ogromne lilie i pnącza, były białe.

- Ogród Wiecznych Śniegów - powiedział Jescarin. -» Ulubione miejsce Pani Agatine. Mój ojciec poświęcił lata, by to wszystko kwitło przez cały rok. Powinieneś tu przyjść, kiedy dojrzewają białe czereśnie.

- „A pośród gałęzi jarzą się Magiczne Kule nieskazitelnie białego śniegu” - wymamrotał Col.

- A więc znasz tę pieśń! Ale to nie jest o Roseguardzie, wiesz. Bard Falundir śpiewał tak o Ambrai. - Jescarin przyklęknął i ujął w palce ciężką kiść kwiatowych kielichów w kształcie trąb. - Aha! Mam cię! - Trzymał w ręku łodygę, na której rozkwitło kilka różowych pąków. - Wykopuję ją co roku, a ona co roku znowu wyrasta i rumieni się ze wstydu wśród tej bieli.

- Ambrai? - Collan poczuł w skroniach zdradzieckie pulsowanie. Nazwę umarłego miasta słyszał mnóstwo razy, to nie; mogło być to. Ale imię Falundira wymawiano rzadko od czasu, gdy bard popadł w długotrwałą niełaskę. Dźwięk tego« imienia musiał wywołać znajomy ból głowy.

Verald Jescarin wstał i ostrożnie schował występłą roślinę; do torby, aby posadzić ją później na innej rabacie.

- To przez tę właśnie pieśń nie mógł już nigdy grać. Collan odwrócił się, by ukryć grymas bólu, bowiem łomotanie w skroniach przybrało na sile.

- Wiem, że Roseguard jest bardzo liberalnym miejscem, ale czy to rozsądne mówić o takich rzeczach?

- Nie ma tu nikogo prócz ciebie. A ja znam twoje imię, minstreli. Powiedz mi, jak się miewał stary Gorsha, kiedy go; ostatnio widziałeś?

- Był nieznośny, arogancki i uparty.

Jescarin roześmiał się - donośny, głęboki śmiech wstrząsnął całym jego ciałem, śmiały się chyba nawet palce u jego nóg.

- Co oznacza, że jest zdrowy jak koń. Miło mi to słyszeć. A zatem, w czym mogę ci pomóc, rfo/wn/ Rosvenir? Czyli, mówiąc wprost, dlaczego kradniesz moje oleandry, lawendę i białą topolę?

Wymienił właśnie te rośliny, z których Col obrywał gałązki i wsuwał do kieszeni - ukradkiem, tak mu się przynajmniej wydawało. Zaskoczenie sprawiło, że przeszedł mu ból głowy; jeśli słowa, które go wywołują, nie padną ponownie, to już ni

wróci. Nie miał pojęcia, dlaczego niektóre słowa powodują ból, a inne nie - nie udało mu się jak dotąd odkryć żadnego klucza. Co więcej, kiedy tylko próbował dopasować do tego jakiś klucz, głowa natychmiast zaczynała mu pękać. Jescarin uśmiechał się do niego.

- Daj mi po prostu listę i pójdziemy zerwać resztę, oszczędzając sobie trudów długiego chodzenia.

Collan potrząsnął głową.

- Spacerując nie rzucamy się w oczy. Szukając wybranych roślin, i owszem. Poza tym... - Wyszczrzył zęby. - Chcę obejrzeć to miejsce.

- Trudno się dziwić. Tata naprawdę się postarał, a ja też chyba nieźle sobie radzę, nie chwając się!

Opuścili Ogród Wiecznych Śniegów i aleją porośniętą drzewami ruszyli w stronę rzeki. Po chwili Collan spytał:

- Jak się domyśliłeś?

- Rośliny mówią. Czego ci jeszcze potrzeba? To jest Dom Zielonego Cienia, nawiasem mówiąc. Zwróć uwagę, że odcień liści jest coraz ciemniejszy, im bardziej zbliżamy się do wody - dla kontrastu z osikowym gajem na tamtym brzegu. Jesienią wszystko przybiera złotą barwę, to dopiero wspaniały widok.

Col spróbował to sobie wyobrazić.

- Na pewno. Szukam nawłoci, janowca, rododendronu...

- Kto powinien się strzec przed niebezpieczeństwem? - Jescarin machnął nożycami. - Nieważne. Zapomnij, że o to pytałem.

Szli dalej. Darń pod stopami była sprężysta i jednolicie gęsta, lecz Col naliczył przynajmniej sześć gatunków trawy, różniących się od siebie kształtem źdźbeł i odcieniem zieleni, które tworzyły delikatny, jakby pikowany wzór aż do samej rzeki.

- Jak to zrobiłeś, że mają tę samą wysokość i grubość? Jescarin ciachnął nożycami w powietrzu. „

- Ręcznie, minstrelu! Ręcznie!

Dokładnie w tym momencie, jakby na umówiony znak, wyłonili się z zarośli dwaj ogrodnicy z kosami i rozpoczęli pracę nie opodal rozłożystego kasztanowca. Collan popatrzył z ukosa na swego przewodnika, ten zaś roześmiał się gromko.

- Zaraz nazrywam ci jeżyn, jeśli wybaczysz mi to kłamstwo!

- Wolałbym raczej kilka liści - jesionu, dębu i głogu. Z pełnych wyrazu oczu zniknęła cała wesołość.

- Akurat te trzy? Wszystkie naraz? Collan skinął głową.

- Jest aż tak źle?

- Wygląda na to, że nie najlepiej. Jescarin na chwilę przymknął oczy.

- „Prowadź nas, Przewodniczko”. Niech święta Rill czuwa nad nami, a zwłaszcza nad moją dobrą Panią i jej mężem.

Ranek minął szybko. Szli zwykłym szlakiem Veralda wstępując tylko na chwilę do szklarni po rośliny, któryc potrzebował Col. Łodygi lawendy zabrali z suszarni, a gałązka leszczyny wraz z orzechami znalazła się w kuchni ogrodników. Mistrz Ogrodów Roseguardu udzielał obszernych wyjaśnień, nazywał wszystkie kwiaty, drzewa i krzewy, zwracał uwagę na grę kolorów, snuł plany na przyszłość. Colla słuchał i wkładał do kieszeni potrzebne mu rośliny. Nie padł już ani jedno słowo dotyczące Sprzysiężenia.

- Prawie ósma - zauważył wreszcie Jescarin. - Sela pewnie zastanawia się, gdzie jestem. Chodźmy do domu i zjedz z nami, *domni*. Mamy wspaniałego kucharza. Mniej więcej ćwierć mili od rzeki stał schludny, kryty strzechą piętrowy domek o licznych oknach, ozdobionych kolorowymi skrzynkami na kwiaty. Wzdłuż wysypanej żwirem ścieżki rosły różane krzewy, a po obu stronach drzwi stały duże drewniane donice okute polerowanym brązem, z których białe dzwonki Miramili wylewały się na podobieństwo piany mydlanej. Collan pochylił się, by je powąchać, i natychmiast kichnął.

Wyprostował się i spostrzegł, że Jescarin przygląda mu się badawczo spod zmarszczonych brwi. Potem drzwi się otworzyły i długonoga, ciemnowłosa, bardzo ładna kobieta w bardzo zaawansowanej ciąży spojrzała na Cola wielkimi zielonymi oczami. Znowu kichnął.

- Wiedziałem, że cię znam! - wykrzyknął Jescarin. - Selu! Czy wiesz, kto to jest? Sela przyjrzała się bacznie twarzy Cola i wybuchnęła melodyjnym śmiechem.

- Moje pierwsze kwiaty!

Zdumiony Collan cofnął się o krok, lecz Sela złapała go za rękę i wciągnęła do środka, przez cały czas wesoło szczebiocząc. Wtórował jej Jescarin.

- ...znajomy, ale nie mogłem przypomnieć sobie imienia...
- ...jeszcze dzieckiem i matka powiedziała mi, że to o wiele za wcześnie...
- ...przez bramę, kichając tak potężnie...
- ...zapomnieć, jaki byłeś miły dla małej dziewczynki...
- ...okazuje się, że to ty jesteś tym minstrelem...
- ...chwaliłam się tymi kwiatami przez lata!
- ...i wysłannikiem Sprzysiężenia na dodatek!

Col najchętniej zatkałby im obojgu usta, ale zamiast tego wydał tylko z siebie przeszywający gwizd.

- Nie jestem niczym wysłannikiem!

Natychmiast zapadła cisza. Sela znów wpatrywała się w niego wielkimi zielonymi oczami.

Chwila była wyjątkowo niezręczna, a do tego pod czaszką pojawiło się nagle znajome pulsowanie.

- Przepraszam - powiedział Col - ale bierzecie mnie za kogoś innego. Nigdy przedtem was nie widziałem i nie wiem, o czym mówicie.
- Na pewno pamiętasz! - wykrzyknęła młoda kobieta. -Jarmark świętej Siralli w Sleginholdzie, kiedy...
- Skoro mówi, że nie - powiedział Jescarin - to znaczy, że nie.

Sela nachmurzyła się.

- Ale... - Przełknęła ślinę i na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech. - Cóż, zapewne. Widocznie tak musi być. Witam w moim domu minstrela Rosvenira. Usiądź, proszę.

11

Coł spędził z nimi dwie miłe godziny. O pół do dziewiątej zjawiała się Tamsa, Pierwsza Córka Seli, niespełna czteroletnia, wraz z gromadą innych dzieci wracających właśnie z długiej pieszej wycieczki. Domek natychmiast wypełnił się mnóstwem brudnych rąk, rumianych twarzy, porzucanych bezładnie rękawiczek, kapeluszy i płaszczy, a także piskami, śmiechami i krzykami dzieci, które domagały się wody, soku oraz zaprowadzenia do toalety. Collana zadeptywały małe, tupoczące stopy (co odbiło się fatalnie na jego wyczyszczonych do połysku butach), poszturchiwały małe łokcie (zbyt nisko jednak, by ucierpiały od tego intymne części jego ciała), chwytaly małe dłonie (należące widocznie do początkujących drwali, którzy wspinali się po nim jak po drzewie).

Sela i Verald uwijali się bez wytchnienia, a z pomocą przyszli im trzej młodzi oraz dwaj starsi mężczyźni, którzy chwyтали rozbiegane dzieci i ustawiali je na dywanie z poleceniem: „Zostań tu!” Na okiennych parapetach, znacznie poza zasięgiem małych, żwawych paluszków, wylegiwały się trzy koty o imponujących grzywach i jedynie one spośród obecnych przyglądały się zamieszaniu z wyrazem najwyższej obojętności.

- Przez jeden dzień w tygodniu zajmują się nimi mężowie, a matki mogą w tym czasie odpocząć! - wyjaśnił Collanowi Verald, starając się przekrzyczeć wrzawę. - Próbujemy tak je przegonić, aby padały ze zmęczenia i pozwoliły się położyć spać. Czasem to się udaje!

Col zdjął ze swojej nogi małą wiewiórkę i podniósł za ramiona do góry. Duże brązowe oczy na małej brązowej twarzy spojrzały prosto na niego. Rozejrzał się bezradnie, dostrzegł jednego ze starszych mężczyzn i podał mu wijące się dziecko.

- Czy mógłbyś... uch! - Jak na swój wiek, dziewczynka miała długie nogi; mała stopa ugodziła go prosto w żołądek. - Czy byłbyś tak dobry i zechciał wziąć ją ode mnie?

- Maidalin! - krzyknął mężczyzna i uwolnił go od dziewczynki. - Usiądź obok Tirez, o, tutaj, kochanie.

Verald szczyrzył zęby.

- Od razu widać, że nie masz własnych dzieci!

- Istotnie - odparł Col z przekonaniem. Niezależnie od zamiarów kobiet, które dzieliły z nim łożę, zawsze był niezmiernie ostrożny.

- Viko! - krzyknęła Sela. Collan poczuł kłujący ból w lewej skroni, a jego wybawiciel uniósł głowę. - Na pomoc!

- Opowiedzieć wam coś? - spytał Viko i skrzywił się boleśnie, gdyż odpowiedział mu chór ochrypłych głosów.

- NIE!

Nie twarz, imię, pomyślał Col i zastosował zwykłe lekarstwo: zaczął obliczać powierzchnię pokoju w calach kwadratowych.

- A nie chcecie piosenki? - powiedział z desperacją Verald. - Mamy tu dzisiaj prawdziwego minstrela! Jeśli będziecie się zachowywać bardzo cicho, to może wam coś zaśpiewa!

- Piosenkę! Piosenkę! - zawyło jedno z dzieci, inne zaraz mu zawtórowały i zabrzmiało to jeszcze bardziej przeraźliwie niż przedtem.

W razie potrzeby Col potrafił sprawić, by słyszano go nawet podczas bijatyki w tawernie. To było o wiele poważniejsze wyzwanie.

- CISZA!!! - ryknął.

Małe buzie otworzyły się szeroko ze zdumienia. Wielkie oczy zrobiły się jeszcze większe. Duże płuca natomiast wydały z siebie westchnienie niekłamanej ulgi.

- Teraz dobrze - powiedział Col normalnym tonem. - I tak już ma pozostać. *Domna* Trayos, zdaje się, że masz pod ręką jakiś nastrojony instrument, prawda?

Verald wybiegi z pokoju i niemal natychmiast wrócił, niosąc dziecięcą mandolinę.

- Należy do...

- Do mnie! - wrzasnęła mała dziewczynka.

Zielone oczy, ciemna skóra, wystające kości policzkowe -z całą pewnością córka Seli. Col skłonił się przed nią.

- Czy uczynisz mi ten honor i pozwolisz, abym pożyczył sobie twoją przepiękną mandolinę, *domndl*

Przejęta, że zwrócił się do niej używając zaszczytnego tytułu, jaki przysługiwał dorosłym, kiwnęła jedynie głową.

- Wielkie dzięki. - Kątem oka dostrzegł uśmiechy na twarzach jej rodziców.

Sześciu ojców wymknęło się do jadalni, by się nieco posilić - oraz napić, jak podejrzewał Col, a jeśli się dobrze uwiną, to zdążą zobaczyć dno w jednej czy drugiej butelce. Nastroił instrument na otwarte granie, wystarczyło więc inaczej ułożyć palce na strunach, aby zmienić tonację. Mandolina była o połowę mniejsza od tej, na jakiej zwykle grywał, co -przy jego dużych dłoniach - wykluczało skomplikowaną grę palcami.

Zaczął od „Małej błękitnej świnki”, a następnie poprosił, by pomogły mu zaśpiewać „Ile małych myszek?”, ponieważ nie pamiętał słów. Potem zwolnił tempo i zagrał „Świętego Jey-miana i niedźwiedzia”, „Lisvet zgubiła swój cień”, skończył zaś występ starą ambrajską kołysanką „Księżycy w moim oknie”.

Poskutkowało. Małe główki kiwały się do taktu, powieki opadały, a kilkoro dzieci po prostu ułożyło się do snu na dywanie. Col raz jeszcze skłonił się rozespanej córce Seli, położył instrument na gzymsie kominka i na palcach wymknął się z pokoju.

Verald podążył za nim.

- Dziękuję - wymamrotał wzruszony. - Jeśli nawet nie jesteś jeszcze ojcem, to z pewnością kiedyś nim będziesz, i to wspaniałym.

- Nie, jeśli zdołam tego uniknąć - zachichotał Col. -Zabawiać dzieci, to co innego.

Ale być ojcem - to oznacza jedną kobietę, jeden dom i żadnych tawern!

- Porozmawiamy, kiedy już spotkasz tę jedną kobietę -powiedział gospodarz z cierpkim uśmiechem. - Czy masz wszystkie potrzebne rośliny?

- Tak, dziękuję. - Poklepał płócienną torbę, którą pożyczył mu Jescarin, i zatrzymał się w drzwiach, by pomachać Seli na pożegnanie. Uśmiechnęła się i kiwnęła głową, niosąc Tamę do łóżka. - Jak długo tu zostaną?

- Na całe szczęście, najwyżej godzinę. To wszystko dzieki ludzi, którzy pracują dla Sleginów. Dobrze nam się żyje, chociaż tobie pewnie wydaje się, że nudno - dodał, gdy drzwi zamknęły się za nimi i obaj ruszyli ścieżką wśród różnych krzewów. - Pani Agatine daje nam wykształcenie i pracę, zapewnia posag i pomaga przy zawieraniu kontraktów małżeńskich. Kiedy się zestarzejemy, możemy zamieszkać w Sle-ginholdzie lub w innym z jej majątków.

- To dobra, szczodra Pani - powiedział Collan, myśląc o przerażającej wiadomości, którą będzie musiał dostarczyć jej jutro.

- Tak jest w istocie. A *domna* Liwellan pójdzie w jej ślady, choć proszę świętego Venkelosa Sędziego, aby to się stało jak najpóźniej.

- *Domna* jaka?

- Sarra Liwellan. Zostanie spadkobierczynią naszej Pani, jeżeli Rada wyrazi zgodę. - Urwał i czubkiem buta usunął kamień ze ścieżki. - Jest teraz na dworze Ryka, gdzie przedstawia swoją prośbę.

Sarra Liwellan. To imię nie wywoływało bólu głowy, budziło jednak zdecydowanie nieprzyjemne skojarzenia -z wyjątkiem klapsa, którego wymierzył jej za to, że go kopnęła.

- Jeśli znajdziesz trochę czasu przed wyjazdem - mówił Verald - zrób nam ten zaszczyt i przyjdź na kolację.

- Przyjdę, jeśli będę mógł.

- I weź ze sobą lutnię. Chciałbym usłyszeć, jak śpiewasz coś bardziej pikantnego niż „Mała błękitna świnka”.

Collan roześmiał się, przyjął zaproszenie i ruszył w stronę wyjścia z Ogrodów Roseguardu. Mili ludzie, myślał w drodze powrotnej do swojej kwatery w zajezdzie. Miły dom, miła mała dziewczynka, miłe życie.

I nudne jak dzień w Domburronie.

Umowa, którą Collan zawarł z właścicielką „Rozszczebio-tanego Szczygła”, polegała na tym, że musiał grać przez półtorej godziny każdego wieczoru, kiedy sala jadalna zapelniała się najlepszymi gośćmi. Jego umowa z siostrzenicą właścicielki „Szczygła” była o wiele mniej formalna. Obie kobiety poczuły się bardzo zawiedzione z powodu jego podrażnionego nosa. („Te wszystkie przeklęte kwiaty - powinienem był wiedzieć!”) W żadnym razie nie mógł śpiewać, zatem ten wieczór miała wypełnić muzyka wyłącznie instrumentalna. Nie mógł również oddawać się rozkoszom zmysłowym - choć w tym przypadku nos posłużył mu jedynie jako wymówka. Chciał mieć całą noc dla siebie, aby w spokoju ułożyć wiadomość. Z żalem, gdyż siostrzenica była równie ładna, jak pomysłowa, wyrzekł się towarzystwa dziewczyny i obiecał wynagrodzić jej to następnym razem. Krążył zatem pomiędzy stolikami z lutnią zawieszoną na rzemiennym pasku, brzdąkając lub szarpiąc struny w zależności od tego, na co w danej chwili przyszła mu ochota. Mrugał przy tym znacząco do zameżnych kobiet, które oblewały się rumieńcem, starannie natomiast omijał wzrokiem ich niezameżne córki. Roseguard nie był wprawdzie małym, konserwatywnym miasteczkiem, gdzie za jedno spojrzenie można zarobić cios w szczękę, ale nie był też na tyle „liberalny”, by mężczyzna mógł się otwarcie zalecać do każdej kobiety, jaka wpadła mu w oko. Klientelę „Szczygła” stanowili solidni, zacni, uczciwi obywatele, przeważnie zamożni kupcy i rze-

mieślnicy, których córki korzystały z usług płatnego kochanka, brały sobie męża, miały kilkoro dzieci i dopiero wtedy robiły (dyskretnie), na co im przyszła ochota. Minstrele, choćby najślawniejsi i najbardziej atrakcyjni, nie byli tą kategorią mężczyzn, jakich każda szacowna *domna* z Roseguardu wyglądałaby z utęsknieniem dla swoich córek. Matkom jednak owe figlarne spojrzenia sprawiały wyraźną przyjemność, a niektóre chichotały jak uczennice, kiedy Col szczyrzył do nich zęby.

Grał tego wieczoru całe dwie godziny, uznał bowiem, że jest to winien swojej gospodyni. Kiedy skończył, przyjął napełniony winem Puchar Barda i opróżnił go czterema długimi łykami, jak wymagał zwyczaj. „Pod Szczygłem” ów Puchar Barda był szczególnie pięknej roboty, cały z kutego srebra, na nóżce inkrustowanej lapis-lazuli. Podziwiał go przez chwilę, nim wypił, a w tym czasie właścicielka zain-tonowała „Strofę dla minstrela” w wersji przeznaczonej dla lutnisty:

Pierwszy pokłon niski dla świętej Velenny, Bowiem jej dar sprawił, że nie chodzę głodny; Dalej pokłon składam znamienitym bardom, Gdyż dzięki ich pieśniom śpię w łóżku wygodnym; Trzeci pokłon tobie, moja Pani Lutnio, To twoich strun echo w mej sakiewce dzwoni; A ostatni nie dla was, drodzy przyjaciele -Przed moim zacnym koniem wolę głowę skłonić!

Były też inne wersje, w zależności od używanego instrumentu, lecz jedna rzecz pozostawała niezmienna: minstreł, który nie zdążył wypić Pucharu Barda przepisowymi czterema łykami przed końcem strofy, musiał zagrać następną pieśń, zanim wolno mu było spróbować jeszcze raz. I jeszcze raz. Aż do skutku. Collanowi zdarzało się niekiedy celowo nie zdążyć - korzystał po prostu z okazji, by wspaniale i tanio się upić - ale tylko wtedy, gdy miał pewność, że oberżysta nie weźmie mu tego za złe, i tylko tam, gdzie w Pucharze Barda podawano dobre wino. Jednak już na początku swojej kariery nauczył się, że to się rzadko zdarza; na ogół minstrelom podawano mętny osad z samego dna beczki, często skwaś-

niały - a oni musieli pić, jak wymagał obyczaj, gdyż w przeciwnym razie kazano im dalej śpiewać. I dalej pić.

Napełniwszy żołądek wyśmienitym czerwonym cantrashi-rem, Col udał się do kuchni na kolację: pieczeń baranią w sosie cytrynowym, duszone ziemniaki z tymiankiem oraz sałatkę z warzyw i jabłek. W pokoju czekała na niego butelki wina, a wkrótce chłopiec kuchenny przyniósł mu gorącą herbatę i specjalność zajazdu „Pod Rozszczebiotanym Szczygłem”: tort pomarańczowo-migdałowy.

O czternastej, kiedy po posiłku i winie zostały już tylko rozkoszne wspomnienia, Col zaczął żałować, że nie opróżnił Pucharu Barda jeszcze kilka razy. Kiedy w pełni zrozumiał znaczenie przesłania, które miał jutro obwieścić Pani Agatine Slegin, poczuł nieodpartą pokusę, aby upić się do nieprzytomności.

Gorynel Desse kazał mu dwa razy wyliczyć z pamięci wszystkie rośliny, ich kolejność oraz kolory wstążek, którymi powinny być przewiązane - Col odczuł to jako zniewagę, ponieważ zwykle wystarczyło mu raz usłyszeć pieśń, by mógł ją potem bezbłędnie zagrać i zaśpiewać. Lecz w ten sposób mag chciał uzmysłwić mu doniosłość przesłania. W drodze do Roseguardu Col starał się zapomnieć, co bukiet miał obwieścić Pani Agatine, i prawie mu się to udało. Lecz teraz, kiedy ułożył wszystkie jego fragmenty, znaczenie poszczególnych kwiatów, liści, nasion i korzeni było tak oczywiste, jakb wypisano je ognistymi literami.

Mięta - ucieczka - ukryta między wielkimi różowymi płatkami rododendronu, sygnalizującymi niebezpieczeństwo. Do łądygi Col przywiązał liście białej topoli, trzy na górę i osiem na dole. Czas; dokładne określenie terminu, w jaki Pani Agatine powinna opuścić Roseguard. Trzeciego dnia ósmego tygodnia? Ósmego dnia trzeciego tygodnia? Był ostatnia noc pierwszego tygodnia roku... Postawiłby wszystkie swoje oszczędności w Neele i w Shainkroth, że należy uciekać raczej wcześniej niż później. Wiadomość była pilna; po cóż nakazywać komuś ucieczkę z siedmiotygodniowym wyprzedzeniem?

Tak więc Pani Agatine ma dziewiętnaście dni na poczynienie przygotowań i wyjazd - chyba że liście mówią o dniach i godzinach, nie o tygodniach i dniach. Col wątpił w

jednak; inne elementy bukietu nie miały już związku z czasem.

Nagle wzdrygnął się, gdyż zdał sobie sprawę, że minęła już święta Lirance, a on zapomniał o dniu swoich urodzin, nawet jeśli sam wybrał sobie ów dzień. Miał trzydzieści jeden lat, czy coś koło tego. Popatrzył znów na rośliny; układając następny fragment bukietu poczuł, że jeśli nie dostarczy tej wiadomości i nie wyjedzie stąd szybko, może już nie będzie miał okazji zapomnieć o swoich trzydziestych drugich urodzinach.

Związał razem gałązki jesionu, dębu oraz liście głogu i dołączył do nich gałązkę jałowca, symbolizującego pomoc. Dwa gotowe, jeszcze dwa. Wplótł nagietki w młody pęd czerwonego oleandru i owinał to wszystko długimi łodygami lawendy. Ta wiązanka doradzała zachować ostrożność i strzec się podstępny. Bez żadnego wskazania na osobę zdrajcy, pomyślał Cołlan i potrząsnął głową. Następna kompozycja miała chyba nieść pocieszenie: żółte goździki, purpurowy janowiec i gałązka leszczyny podkreślały z naciskiem, że ochronę zapewnią czary.

Gollan poskładał wszystkie cztery części bukietu i ułożył je na stole. Rozprostował zmęczone palce, a potem zanurzył dłoń w swojej torbie podróżnej, by wyjąć wstążki. Dał mu je Desse wraz z dokładną instrukcją, które rośliny powinny być nimi przewiązane. Col wygładził na powierzchni stołu długie paski jedwabiu, na przemian szerokie albo bardzo wąskie. Rozmiescił je zgodnie z przeznaczeniem, splótł ze sobą końce i związał pierwszy bukiet wielokolorową kokardą.

Na chwilę przerwał pracę. Popatrzył na swoje dzieło. A potem wybuchnął śmiechem, który nie brzmiał jednak szczególnie wesoło. Oto miał przed sobą dalszy ciąg wiadomości.

Wstążki oznaczały barwy rodowe, szeroka - pierwszą, wąska - drugą.

Zalecenie ucieczki zdobiły wstążki: czarna i purpurowa, błękitna i żółta, karmazynowa i szara, brązowa i zielona. Znał pierwsze dwie pary, widniały na proporcach powiewających nad Roseguardem. I chociaż aż do dzisiejszego ranka nie znał pozostałych, to ponieważ widział domek pośród Ogrodów -z poduszkami, zasłonami i serwetkami na stole - wiedział już, do kogo należą.

Wstążką szarą i pomarańczową przewiązane były dąb, jesion i liście głogu wraz z gałązką jałowca. Szeroka wstążka zielona i wąska szara oplatały nagietki, oleander i lawendę.

I wreszcie kolory odnoszące się do magicznej części przesłania: błękitny i turkusowy, szary i zielony, szary i turkusowy. .

Cały bukiet przewiązany był szeroką wstążką szarą i wąską karmazynową: kolorami Krwi Desse.

Wszystko razem składało się na prawdziwe dzieło sztuki w dziedzinie porozumiewania się bez słów. I w dodatku naprawdę przerażające. Col wpadł w większy popłoch niż szerszeń zaplątany w pajęczynę.

Rody Renne, Slegin, Jescarin i Trayos muszą opuścić Roseguard najpóźniej ósmego dnia trzeciego tygodnia. W bezpieczne miejsce zaprowadzi ich przewodnik z rodu Ostinów. Podstęp zagraża ze strony Feiranów. Ratunek jest w wiedzy, opiece i czarach - a Col aż za dobrze zrozumiał, kto ma zapewnić opiekę. Ta mała Liwellan musi wiedzieć coś ważnego; Taig powiedział mu, że nie jest Magiczna. Zatem czarami dysponuje ktoś całkowicie nieznanym nazwiskiem Rille.

Złapał się na tym, że miętosi w palcach końce wstążek szarej i turkusowej, barw Rosvenirów, i zaklął. Jak ten pozbawiony matki syn Piątego Stanu śmiał mieszać go do tego? Już chdał usunąć trefne wstążki, gdy nagle do niego dotarło. Był w Roseguardzie; był posłańcem; groziło mu niebezpieczeństwo; plan ułożony przez Panią Agatine, który miał zapewnić wszystkim bezpieczeństwo, dotyczył również jego.

Włożył bukiet do torby, zamknął za sobą drzwi, po czym zszedł na dół, aby się zabawić i upić.

Gdy więc następnego ranka o siódmej zjawił się w posiadłości Sleginów, wzrok miał nader mętny, a obrzydliwy posmak w ustach przywodził mu na myśl wody Posepnej Zatoki.

Tego właśnie dnia Pani Agatine przyjmowała gości spoza Sheve. W opalonym koksem przedpokoju Collan musiał więc czekać i czekać w towarzystwie złotnika z Neele, czterech: kupców sukiennych z Firrense, rybaka z Seinshiru, kuśnierza znad jeziora Tiłlin, dwóch wytwórców atramentu z zamku Wyte Lynn oraz delegacji matek i synów z Bractwa Muzykantów w zamku Roke. Wszyscy szukali zatrudnienia i wszyscy przynieśli ze sobą próbki swego kunsztu. Złotnik i wytwórcy

atramentu byli pod tym względem w najlepszej sytuacji. Kuśnierz straszliwie się pocił, rybak co chwila zaplątywał się we własną sieć, a kupcy sukienni przypominali juczne konie. Lutnie, mandoliny, flety, bębny, trąbki i inne liczne instrumenty brzęczały, klekotały i dzwoniły, aż Collan nabrał ochoty, by zerwać wszystkie struny, przebić wszystkie membrany i owinać każdy kawałek metalu wełną, znajdującą się na podorędziu w dużych ilościach.

On sam przyniósł jedynie bukiet. Co najzupełniej wystarczało, gdyż janowiec i lawenda wyczyniały straszne rzeczy z jego nosem. Czynił ogromne wysiłki, by nie zacząć kichać. Na domiar złego miał na sobie niebieską czapkę, zapiętą ciasno pod brodą. Ile razy był zmuszony ją wkładać, odczuwał nieprzepartą pokusę, by przyłączyć się do Sprzysiężenia, gdyby tylko obiecali mu, że zniosą ten przekłety obyczaj.

Orlin Renne - zwałście wysoki, nienagannie ubrany, z listą nazwisk w ręku - pojawił się w drzwiach i uprzejmie powitał gości. Collan nie prosił wcześniej o posłuchanie. Minstrel mógł składać wizytę wszędzie i oczekiwać, że zostanie przyjęty o każdej porze. Poza tym nie był obcy w Rose-guardzie i odźwierny go rozpoznał.

Orlin Renne również. Gdyby Col nie oczekiwał takiej reakcji, pewnie by nawet nie zauważył, jak z twarzy Orlina znika uprzejmy uśmiech, marszczą się natomiast wydatne brwi. Dobrze, pomyślał Collan, już wiedzą, że coś się dzieje. Tym lepiej. Wolał nie przynosić tego rodzaju wieści ludziom zupełnie na to nie przygotowanym. Mimo to, ponieważ nie figurował na liście, miał zostać przyjęty przez Panią Agatine na samym końcu. Ku jego uldze, pierwsi weszli muzykanci. Renne zlitował się nad kuśnierzem i kupcami sukiennymi, wyznaczając ich jako następnych w kolejce. Na starożytnym szafkowym zegarze dochodziło już pół do jedenastej, gdy Collan, który po wejściu wytwórców atramentu oczekiwał w przedpokoju zupełnie sam, został wprowadzony przed oblicze Pani.

Jej piękny owalny gabinet przyjęć zdobił słynny dywan wykonany w Klasztorze, w barwach Sleginów, błękitnej i żółtej, z ornamentem z róż, para wiszących brązowych świeczników i biurko ze starego złotego dębu, na którym stał

14 - Wyprawa

medalion z wyrzeźbionymi kwiatami amarylisu - hołd wdzięczności złożony rodzinie jej męża. Przy tym właśnie biurku oczekiwała go Pani - elegancka, piękna i zatroskana.

Orlin Renne gestem odprawił niezdecydowanego sekretarza. Kiedy za wychodzącym zamknęły się drzwi i zostali w gabinecie tylko we troje, Collan skłonił się po raz wtóry, podszedł do biurka i położył swój bukiet na blacie. Nie powiedział przy tym ani słowa.

Szczupłe palce Agatine dotknęły po kolei każdej wstążki, a blask słońca odbijał się od złotego herbowego sygnetu na jej kciuku. Przez dłuższy czas jedynie patrzyła i dotykała w milczeniu poszczególnych fragmentów kwiatowej układanki. Mąż stanął za jej plecami, a jedną dłoń, tę ze ślubną obrączką, oparł delikatnie na jej ramieniu. Wreszcie Agatine podniosła głowę i popatrzyła Collanowi prosto w oczy.

- Cóż - mruknęła. - Zaczęło się. Nie spodobał mu się ton jej głosu.

- Jestem pewna, że prawie wszystko zrozumiałeś - dodała nieco pogodniej. - Czy jest coś, co trzeba ci wyjaśnić?

- Nie, Pani. Wolałbym nie wiedzieć.

Zmarszczyła brwi i spojrzała na męża, który powiedział:

- Jesteś w to zamieszany, szanowny minstrelu, czy ci się to podoba, czy nie. Barwy Rosvenirów...

- ...to nie moje zmartwienie - przerwał Col. - To nie jest nawet moje nazwisko.

- Nie? - spytała Agatine z dziwną nutą w głosie.

- Dostałem je wraz z krążkiem identyfikacyjnym po kimś, kto umarł. - Zawahał się, potem wzruszył ramionami. Polubił tych ludzi już przy pierwszym z nimi spotkaniu

- ponad pięć lat temu - a za każdym razem gdy dla nich grał, byli bardzo uprzejmi i hojni. Zdecydował się więc ujawnić prawdę. -Urodziłem się jako niewolnik.

- Czyj? Skrętacza Pellerisa?

- Tak. - Znów wzruszył ramionami. - To było dawno temu. Próbuje o tym zapomnieć.

Dziwne, że tak niewiele pamiętał ze swojego dzieciństwa. Ocalenie zawdzięczał temu, że zdołał o wszystkim zapomnieć, toteż nikt nie mógłby obecnie poznać po jego zachowaniu i sposobie mówienia, kim był niegdyś. I chociaż niekiedy śniły mu się tamte czasy, a z owych snów budził się zlany potem,

nie starał się sobie tego przypominać. W tej chwili nie pamiętał prawie nic ze swego niewolniczego życia. Właściwie powinno go to nawet ucieszyć, tylko że znowu dopadł go znajomy ból głowy. Cóż, ostatniej nocy spełnił rzetelnie swój obowiązek wobec Kiya Niedbałego, a takie są skutki nadmiaru wina.

Pierwszy raz miał kaca, który nie zaczął się dokładnie w momencie otwarcia oczu.

- Każdy wolałby zapomnieć o takich rzeczach, Agatine powiedział Orlin Renne.

Ścisnął żonę mocniej za ramię, jak gdyby chciał udzielić jej ostrzeżenia.

- Kupiliśmy i obdarzyliśmy wolnością kilku niewolników Skrętacza. Jeden z nich naucza obecnie moich synów. Może go znałeś - nazywa się Taguare.

Orlin znów zacisnął palce na jej ramieniu. Collan przyglądał się temu zdumiony, czując równocześnie coraz silniejsze pulsowanie pod czaszką.

- Minstrel z pewnością wolałby, żeby nie przypominać mu o jego przeszłości - powiedział Orlin Renne zgrzytliwym głosem.

- Sądzę, że to może okazać się konieczne - odparła cicho, ale stanowczo. Renne przez chwilę wahał się w milczeniu, potem skinął głową i cofnął rękę.

- Taguare? - spytał Collan, ryzykując większy ból. To był błąd. - Przekleństwo! - mruknął i zaczął masować pulsującą żyłę na skroni.

- Boli cię głowa, prawda? - spytała Pani Agatine.

- To te kwiaty - powiedział z przekonaniem. - Mocne zapachy podrażniają...

- Nie, to nie kwiaty.

- Agatine! - warknął Renne. - Nie! Zignorowała go.

- Jeśli powtórzę to imię jeszcze raz lub jeśli zaczniesz się zastanawiać, dlaczego niektóre dźwięki powodują ból, ból stanie się silniejszy - prawda, *domni* Rosvenir?

- Skąd o tym wiesz? - spytał napastliwie.

- Lecz jeśli będziesz unikał tych dźwięków, ból głowy minie.

Chociaż nawet się nie poruszyła i chociaż było wręcz nie do pomyślenia, aby ta łagodna, piękna kobieta mogła wzbu-

dzać strach, Collan postąpił krok do tyłu na wzorzystym dywanie.

- Cóż to za straszliwa ironia - ciągnęła - że minstrelowi, który swoimi palcami i głosem tworzy tak cudowne dźwięki, niektóre dźwięki sprawiają tyle bólu. Ale tak właśnie działają zakazy.

- Cz-czary? - prawie się zakrztusił.

- Jeśli komuś zdarzyło się zobaczyć, zrobić lub dowiedzieć

o czymś, o czym bezpieczniej jest nie pamiętać, mag może postawić zakazy. W twoim przypadku uczynił to Gorynel Desse.

Gdyby nosił przy sobie miecz, przyłożyłby go jej teraz do gardła - nie bacząc na Orlina Renne.

- Chcesz powiedzieć, że ten stary... że zrobił coś z moją głową?

- Dla twojego własnego bezpieczeństwa, Collanie.

- Oszalałaś - warknął. - Nie mam zamiaru dłużej tego słuchać. Dostaliście tę przekłętą wiadomość, a ja...

- Imię Taguare sprawia ból - powiedziała cicho. -I Viko.

1 Elseveth.

Dźwięki, to były tylko dźwięki - a jednak powodowały nieznośne cierpienie. Czapka zaczęła go dusić, nie mógł złapać oddechu. Znowu usłyszał te dźwięki i swój własny rozpaczliwy krzyk; usłyszał ciężkie kroki Orlina Renne i głuchy odgłos, z jakim jego ciało zważyło się na dywan.

Dzień, tydzień lub rok później zaczęły docierać do niego niewyraźne wrażenia: kłáb waty w gardle, lepki posmak w ustach, bolesne zmęczenie w każdym mięśniu. Ale nieznośne pulsowanie pod czaszką zniknęło. Spróbował rozewrzeć powieki, lecz blask słońca go oślepił.

- Ciii - usłyszał łagodny głos. - Wszystko będzie dobrze.

- Czyżby? - To był inny głos, głęboki i gniewny.

- Dawno temu Gorsha dał mi miksturę, Orlinie. Jest zalecana w takich wypadkach.

Na szczęście Sarra nigdy nie musiała jej zażywać.

- Chcesz powiedzieć, że zaplanowałaś to wszystko?

- Odźwierny przekazał wiadomość, że jest tu Collan.

- Ale nie uznałaś za stosowne powiadomić o tym mnie. Dziękuję ci za zaufanie, Pani.

- Przestań - powiedziała kobieta znużonym głosem. Musiałam to wiedzieć.

Col chciał zapytać co, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Czyjeś palce dotknęły jego czoła, a potem przejechały po włosach w geście matczynej troski. Nie miał czapki, to przynajmniej była drobna pociecha.

- Ja też pamiętam, co Gorsha opowiadał o tym środku, Agatine - rzekł Orlin Renne.

- Robi z zakazami piekielne rzeczy, kiedy zaczyna działać. Zakazy Sarry powstrzymują jej czary. Ale dobrze wiesz, że z Collanem jest zupełnie inaczej. Zakazy? U niego? Ach - to miało coś wspólnego z czarami, Gorynelem Desse i bólami głowy...

- Muszę wiedzieć, w którym dokładnie momencie zakazy przestaną działać - nalegała. - Nigdy jeszcze nie stosowano tego środka. Prosił mnie o to Gorsha, ale gdybym wiedziała, że będzie aż tak źle, nigdy bym się na to nie zgodziła.

- Prosił, żebyś to zrobiła Collanowi?

- Od tej pory będzie należał do Sprzysiężenia. Musimy wiedzieć.

Do Sprzysiężenia? Zdziwił się, gdy nagle dotarło do niego to, co powiedziała. O nie - nie ja, Pani! Jego wysiłki, aby się poruszyć, zaowocowały pojedynczym skurczem w lewym ramieniu. Powinno go to przerazić, lecz strach wydawał się uczuciem tak samo dalekim i obcym jak ból głowy powodowany przez dźwięki.

- Bez wątpienia - powiedział Orlin Renne z miążdżącą ironią - te zakazy należą do bardziej subtelnych dokonań Gorshy. I dopóki Collan tego nie prześpi, każde z tuzina imion będzie go bolało jak gwoździe wbijane w czaszkę.

- Wydobrzeje do jutra.

- Tak sądzisz? Weź pod uwagę, ile tego środka wlałaś mu już do gardła. W porządku, Aggie, nic więcej na ten temat nie powiem. Dowiem się nawet, gdzie się zatrzymał, i poślę po jego rzeczy. Skoro przyjechał do miasta, to całkiem naturalne, że tutaj właśnie zamieszka.

Mimo obrzmiałego języka i spuchniętych warg zdołał wykrztusić:

- Nie za-zamieszkam...

- Musisz - powiedziała Pani Agatine.

- Na razie musisz, Collanie - powiedział Orlin Renne. Oba nieprzejednane głosy brzmiały współczuciem.

- Nie...!

Westchnienie, a potem cichy szept:

- Jeśli nie ze względu na nas, to dla... Falundira. Nie gwoździe.

- Agatine! Noże.

- Dla Falundira.

Jeden wbijał mu się w głowę, a drugi w serce. Krzyknął. Między rozchylone wargi przeciekło więcej środka „zalecanego w takich wypadkach”. Zemdlał.

13

Kiedy statek zacumował w Renig, Sarra Liwellan i Mai Alvassy pożegnały się pospiesznie. Obie zeszły na brzeg - Mai jako Sarra, Sarra zaś jako dosyć niski marynarz. Tylko jedna z nich wróciła na pokład. Agata Nalle bezbłędnie zaplanowała to w czasie: zawinęli do portu przed świtem po święcie Lusine i Lusira. Straż nocna szła już do domu, straż dzienna jeszcze spała, ulice były więc niemal zupełnie wyludnione. Spotkali zaledwie kilku służących i niewolników, wysłanych z porannymi zleceniami, oraz grupkę młodych urzędników portowych, przepitych winem, niewyspanych, zbyt niskiej rangi, by mogli pełnić intratną, popołudniową służbę.

Czekały na nich tylko trzy konie. Nie planowali, że pojedzie z nimi Elomar Adennos, on jednak obstawał przy tym. Sarra nie mogła go za to winić; zrobiłby wszystko, byle tylko nie zostać przy swoim krewnym, gderliwym Magu Dziekanie. Gdyby próbowali w tej chwili wynająć jeszcze jednego wierzchowca, zwróciliby na siebie uwagę, toteż Sarra zdecydowała, że wsiądzie na konia razem z Alinem. Ruszyli dziarsko i zdążyli ujechać całkiem spory kawałek drogi, nim zaspani obywatele Renig usiedli do śniadania.

- Nie ma zwyczaju upijać się w Dzień Bliźniąt - zauważył Alin - w przeciwieństwie do Dnia Świętego Kiya. Ale w Renig uważają, że każdy pretekst jest dobry.

- Gdybym mieszkała w Straconym Kraju, robiłabym to samo - powiedziała Sarra.

- Jak myślisz, dlaczego stąd wyjechałem?

Val roześmiał się.

- Jeśli zostaniesz tu na dłużej, Sarro, to albo też zaczniesz pić, albo zwariujesz.

Alin-0 i ja jesteśmy tego żywym przykładem!

Bez trudu mogła w to uwierzyć. W ciągu następnych dziesięciu dni przemierzali coraz bardziej jałowy kraj. Południe było zagospodarowane całkiem nieźle: prosperowały tam niewielkie farmy, miasteczka tkaczy, młyny wodne. Woda w rzekach nie nadawała się do picia w stanie surowym, głównie więc zasilała kamienie młyńskie, piece hutnicze i warsztaty tkackie. Ostinowie robili tu interesy przede wszystkim na dostarczaniu części do urządzeń napędowych.

W miarę jak oddalali się od wybrzeża i wjeżdżali w głąb kraju, ziemia stawała się coraz bardziej godna swojej nazwy. Bydło widzieli coraz rzadziej, w końcu zupełnie znikło z pastwisk. Alin wyjaśnił, że żadna krowa, której pozostał choć szczątek mózgu pomiędzy rogami, nie jadłaby tutejszej roślinności, żadna też krowa nie nauczyła się jeszcze ryc w ziemi w poszukiwaniu filtrujących wodę korzeni. Owce nie przeżuwały, lecz wyrzywały pożywienie z korzeniami, poza tym były głupsze od krów - jechali zatem przez kraj owiec.

- Tam, skąd pochodzimy Alin i ja - powiedział Val któregoś wieczoru, kiedy zasiedli przy ognisku - są tylko galazhi. Ryją ziemię rogami i kopytami i w ogóle nie żują.

- Za to potrafią przegryzać zębami miedziane rury - uzupełnił Alin, kiwając głową na potwierdzenie swoich słów. - Widziałem to. I w żaden sposób nie dają się złapać. Widzieliście poganiaczy bydła? W przypadku galazhi to na nic. Biegają szybciej od konia i w dodatku przez cały czas śmieją się z ciebie.

- Więc jak ludzie je wypasają?

- Ludzie tego nie robią - powiedział Elomar. Alin uśmiechnął się i wyjaśnił:

- Używamy potomstwa posagu taty. Dokuczaliśmy często matce, że poślubiła Tivę Senisona, ponieważ potrzebowała rozplodowca - nie jego, oczywiście, tylko jego psa!

- Jasne! - wykrzyknęła Sarra. - Ogary Senisona!

- Żadne zwierzę nie dogoni galazhi, nawet największy kot. Za to śmiertelnie boją się psów. Gdy tylko poczują ich zapach, są jak sparaliżowane.

- To naprawdę zabawne - dodał Val - bo wystarczy się uśmiechnąć do któregoś ze szczeniaków Sény'ego i już jest twój - łasi się, ślini i merda ogonem.

Alin wbił w niego lodowate spojrzenie błękitnych oczu.

- Powtórz to, a już jesteś martwy.

Val uśmiechnął się niewinnie. Sarra dopiero wtedy zrozumiała dowcip i zachichotała.

Tumany kurzu na horyzoncie to były stada galazhi. Sarra wiele razy miała okazję jeść steki, kotlety i kielbaski z ich pysznego, delikatnego mięsa, ale nigdy jeszcze nie widziała żywego zwierzęcia. Galazhi pozwalały się podejść tylko wówczas, gdy wydawały na świat młode, jednak zabijanie matek i dopiero co urodzonych jagniąt było nie tylko wstrętne, lecz również zupełnie nieopłacalne. Nim rozwinęto hodowlę psów Senisona - posag ojca Alina zapoczątkował kolejne przedsięwzięcie Ostinów - jedyną metodą upolowania galazhi było zagnać je na skraj urwiska i na miejscu zabijać. Ale już od dwudziestu lat ogromne psy doskonale radziły sobie ze stadami. Ochłonawszy z przerażenia, galazhi odbiegały nerwowo kilka kroków, po czym znów zamierały w bezruchu, wpatrzone jednym okiem w rozradowane, przegowane psy, które chciały się jedynie zaprzyjaźnić.

Dziesiątego dnia Luny Pasterzy, o zachodzie słońca, dotarli do Combel.

Największym marzeniem Sany było wziąć kąpiel, i to możliwie najbardziej gorącą.

Minęli przedmieścia, gdzie wzdłuż szerokich ulic wznosiły się eleganckie rezydencje, i dotarli na koniec do zajazdu w raczej podłej dzielnicy miasta.

- Chodzą tu patrole straży - mruknął Valirion. - Dziwne. Alin uwiązywał właśnie zdrożone konie, wykonał więc

tylko ruch głową.

- Spójrz tam.

Sarra wbiła wzrok w ciemność. Nie zobaczyła tego, co widział Alin, i nie omieszkała mu o tym powiedzieć.

- Granica między tą dzielnicą a następną - naprawdę paskudną - powinna być o pięć przecznic dalej. - Val i Alin wymienili spojrzenia. - Za rok będzie tutaj.

Zajazd chełpił się czymś, co właściciel nazywał „apartamentem”. Składały się nań dwa małe pokoje połączone drzwiami, których nie dawało się zamknąć. Nie było też wanny. Sarra zrobiła natychmiastowy użytek z dzbana i mied-

nicy. Po raz pierwszy od dziesięciu nocy spała w prawdziwym łóżku, toteż zmorzył ją głęboki sen i dopiero podczas porannego mycia stwierdziła, że pogryzły ją pluskwy. Val, Alin i Elomar przyszli na śniadanie do jej pokoju, tam bowiem znajdował się jedyny stół. Mag Uzdrowiciel i Alin spędzili noc w sąsiedniej sypialni, a w tym czasie Val udał się na poszukiwanie żywności.

Sarra spodziewała się raczej lichego śniadania, zatem zdziwiło ją, że jedzenie jest świeże i smaczne: owsianka i owoce, smażone kiełbaski z galazhi, jajka na grzance i miętowa herbata.

- Val traktuje swojego świętego bardzo poważnie - powiedział Alin między jednym a drugim kęsem.

- A więc święty się o niego troszczy - odparła Sarra z uśmiechem.

- Nic trudnego, gdy się ma pieniądze - mruknął Val, nabijając kiełbaskę na widelec.

- Czasy są ciężkie. Podatki i przymusowe dostawy...

- Dostawy? - Sarra podniosła wzrok znad swego kubka z herbatą. - Co masz na myśli?

Alin westchnął głośno i pokręcił głową.

- Stało się. Nigdy nie pytaj Maurgena o handel. Valirion obrzucił go nieprzychylnym spojrzeniem, a potem wdał się w wyjaśnienia.

- Stracony Kraj nie posiada lokalnego rządu, Sarro, odmiennie niż pozostałe Shiry. Mamy miejsce w Radzie i odpowiednią liczbę członków w Zgromadzeniu, ale to nic nie znaczy. Wszystkim kieruje Sieć.

- Tak jest w całym Lenfell - zauważyła.

- Ale tu jest inaczej. Naszej Sieci Handlowej nie prowadzi rodzina lub grupa rodzin, posiadających dobra w Straconym Kraju. To wszystko obcy. Weź choćby garbarnię Maurgenów. Sprzedajemy skórę szewcom, wytwórcom galanterii, rymarzom i tak dalej. Resztę bierze Sieć Handlowa. Mamy umowę z innym shirem, dotyczącą wymiany na artykuły, których nie wytwarzamy u siebie. Sieć płaci za skórę w gotówce, możemy więc kupować narzędzia, zatrudniać większą liczbę pracowników, wpłacać na Fundusz Posagowy.

Sarra nadal nie dostrzegała różnicy.

- Czyli pozbywacie się nadwyżek, których nie mogą przerobić wasi rzemieślnicy. Na tym właśnie polega handel, Val.

Alin parsknął gwałtownie, ale Val mówił dalej. ,

- Myślisz, że dostawy dla Sieci są dobrowolne? Powiedzmy, że warsztaty szewskie Obreiców dostają zamówienie na specjalne obuwie dla górników z

Brogdenguardu, potrzebują więc każdego skrawka skóry z garbarni Maurgenów. To źle! Musimy wywiązać się z naszych dostaw, nawet jeśli cena, którą daje Sieć, jest niższa niż proponowana przez Obreiców,

- W żaden sposób nie możemy osiągnąć zysków - dodał Alin. - Do tego dochodzą pensje dla urzędników Sieci, opłaty dla władz portowych, cła...

- ..nieuniknione łapówki - dokończył za niego Elomar. Val skinął głową.

- Poza tym Sieć ma pierwszeństwo. Nie ma nadwyżek? To źle! Zły rok i nie możesz wywiązać się z dostaw? Różnicę musisz uzupełnić w przyszłym roku albo zapłacić gotówką. Niektóre rodziny zalegają z dostawami za dwa lub trzy lata.

- Lub więcej - powiedział Alin. - Pamiętasz, jak wytwórnia szkła Oslirów wyleciała w powietrze w sześćdziesiątym czwartym? Słyszałem w Ryce, że Jaym chciał sprzedać się Skrętaczowi, żeby zdobyć pieniądze na odbudowę. - I zaraz dodał: - Nie zrobił tego. Jego babka się o tym dowiedziała.

- Chodziliśmy razem do szkoły - powiedział Val; wyglądał, jakby miał za chwilę wymiotować.

Sarra czuła się podobnie. Zduszenie wolnego handlu, złodziejstwo, malwersacje i przekupstwa - nie były jeszcze największym złem. Córki sprzedawano nie chciany mężom dla posagu; synowie nie mogli się żenić z braku środków; kobiety i mężczyźni pracowali jak niewolnicy, nie dostając w zamian nic lub prawie nic; kobiety i mężczyźni sprzedawali się jako niewolnicy, ponieważ nie mieli innego wyjścia.

A tymczasem inni ciągnęli zyski z tego obrzydliwego systemu.

Lusira Garvedian domagała się od niej, aby coś zrobiła. Sarra skończyła herbatę i dodała gospodarkę Straconego Kraju do swojej wydłużającej się w nieskończoność „listy rzeczy, z którymi należy coś zrobić”.

Elomar Adennos trafnie odczytał wyraz jej twarzy.

- Napraw zło Lenfell, kiedy już zdobędziesz środki, aby to zrobić. Teraz udajemy się na spotkanie, które, mam nadzieję, dopomoże ci w tym.

Val sprzedał konie kuzynowi Vekke, tak więc całą czwórką udali się pieszo do świetnie prosperującej dzielnicy Combel, nie opodal głównego rynku ze świątynią Gorynela Litościwego. Pośrodku okrągłego placu Sarra dostrzegła małą kępę ciernistych krzewów, a za nimi kopułę sanktuarium. W każdym innym miejscu budowle zdobiłyby złocenia, szkło i płaskorzeźby. Tutaj, gdzie przynajmniej dwa razy do roku szalały kwaśne burze, umieszczenie tego rodzaju dekoracji byłoby szaloną lekkomyślnością. Patrząc na tę z konieczności skromną, pozbawioną ozdób fasadę, Sarra dostrzegła problem, którego chyba nikt nie potrafił rozwiązać: odwieczne i postępujące niszczenie Straconego Kraju.

Ale... może się myliła. Sprawily to czary. Być może, czary mogłyby to naprawić. Postanowiła poruszyć również i tę kwestię podczas swojej wydłużającej się w nieskończoność rozmowy z Gorynelem Desse.

Dom publiczny „Buduar Maski” („Biała lub czarna, czarna lub biała, Drabina w młodości Maidil powstała”) był licencjonowanym, eleganckim zakładem, lecz mimo to ożywił w jej pamięci wspomnienia z Pinderonu. Przybyło jej trochę lat; nie rumieniła się już ze wstydu. Z wszelką pewnością jednak taka obfitość męskich wdzięków o tak wczesnej porze graniczyła z perwersją.

Właścicielka domu najwyraźniej znajdowała upodobanie w czerni i bieli. Płyty podłogi przywodziły na myśl szachownicę, po całym salonie rozstawione były ciężkie czarne albo białe kanapy, na których spoczywali młodzi mężczyźni w nader skąpym, czarnym albo białym przyodziewku. Ciemnoskórzy chłopcy w białych kaftanikach; jasnowłosi chłopcy w czarnych surdutach rozpiętych aż do pasa; muskularni młodzieńcy w białych jedwabiach wyszywanych czarnymi perełkami. Wszyscy zasłaniaли twarze czarno-białymi maskami na długich trzonkach, do których przyczepione były tasiemki, okręcone luźno wokół nadgarstków.

Sarra przykazała sobie myśleć tak, jak nauczyła ją Imilial Gorrst: oto znalazła się w restauracji, a mężczyźni są tylko

daniem z karty. Jak podejrzewała, znowu przyjdzie jej odegrać rolę potencjalnej klientki, tylko zamiast Orlina będzie przy niej Elomar. Val udzielił im jedynej wskazówki:

- Idźcie za moim przykładem.

Sarra zrobiła niewinną minę, starała się sprawiać wrażenie oczarowanej i czekała na przykład, za którym mogłaby pójść.

Właścicielka, odziana w suknię idealnie dopasowaną do wzoru na podłodze, przyjrzała się swoim gościom i wykrzyknęła:

- Valirion! Gdzie się podziewałeś, ty niewdzięczny chłopcze?

Val ucałował ją w oba błyszczące policzki.

- Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek, *domna*). - Zerwał z głowy czapkę, rozpiął surdut i wyrzucił nadąsanego młodzieńca z czarnej aksamitnej kanapy. Rozwalił się na niej i ciągnął: - Zeszczuplałaś, zmieniłaś uczesanie...

Chodząca szachownica nie przestawała utyskiwać.

- Gdybym tylko podpisała z tobą umowę! Byłeś tu zaledwie tydzień - jeden tydzień - a moje klientki do tej pory nie mogą o tobie zapomnieć!

- Otrzymałem lepszą propozycję - powiedział Val. Sarra spojrzała ukradkiem na Alina. Z kamienną twarzą stał obok Adennosa.

- Dam ci tyle samo - dwa razy tyle!

- Nawet ty nie masz tyle, *domna*.

Ponieważ ty, pomyślała Sarra z uśmiechem, masz teraz swojego Alina-O.

- ...Ale powiem ci coś - dodał Val. - Jestem właśnie w nastroju do zabawy. -

Niedbałym gestem wskazał na swoich towarzyszy. - Czy Pokój Śliwkowy jest wolny?

- Dla ciebie zawsze - i to ze zniżką, jeśli obsłużysz chociaż jedną klientkę.

Val skrzywił się z wyrzutem.

- Nie kuś, *domna*, najdroższa. Pokój Śliwkowy, normalna stawka, do jutra rana.

Przygryzła wargę, a potem skinęła głową.

- Och, zgoda. Ale tylko do szóstej, jutro wieczorem mam specjalnego gościa i pokój trzeba po was dobrze wysprzątać. - Z czułością uszczypnęła go w ucho. - Chcesz któregoś z chłopców?

Kilku wyglądało całkiem obiecująco. Kilku patrzyło na Sarre. Jeden patrzył na Alina - a ten zmierzył go spojrzeniem, które zmroziłoby wulkan.

- Nie, ale i tak dziękuję. Spodziewamy się później jeszcze kilku przyjaciół. Bądź dla nich miła, najśłodsza. Są nieśmiali.

- Och, to się rozumie. Cóż, mój piękny, nieznośny koguci-ku, idź zatem na górę z przyjaciółmi i rozgośćcie się.

Pięć minut później znaleźli się w pokoju, który w pełni zasługiwał na swoje miano. Ściany, dywany, zasłony, pościel, rama łóżka, kieliszki i dzban z winem na marmurowym stoliku - wszystko to ozdobił wzór ze śliwek, dużych, dojrzałych śliwek. I wszystko wokół było w odcieniu głębokiego fioletu. Wrażenie, że znaleźli się wewnątrz ciastka owocowego ogromnych rozmiarów, potęgowały jeszcze dwie ściany, składające się z samych lusterek, oraz lustro na suficie, ponad największym łóżkiem, jakie Sarra kiedykolwiek widziała.

- Na święte jądra Geridona! - wymamrotał Val. - Niczego tu nie zmieniała.

Alin, który oglądał z uwagą ceramiczną fioletową figurkę, przedstawiającą nagich kochanków, spytał łagodnie:

- Od kiedy? Och, od czasu kiedy zdobyłeś się na tę ofiarę i spędziłeś tu cały tydzień, żeby zdobyć referencje?

- Nie zaczynajcie - ostrzegła Sarra. - Alinie, gdzie jest Drabina?

- Tam - wskazał uchylone drzwi. - To zwyczajny ustęp.

- „Zwyczajny”? - parsknął Val. - W „Buduarze Maski”, Alinie-O, nic nie jest „zwyczajne”.

- Ty wiesz lepiej - odciął się jego kuzyn.

- Powiedziałam, nie - powtórzyła Sarra. - Będziesz zazdrosny kiedy indziej, Alinie.

- On nie jest zazdrosny - sprostował Val. - On jest zawistny.

- Nalegam, abyście poszli za radą Pani - odezwał się Elomar. Stał przed wykuszowym oknem z liliowymi szybami. - Mamy gości.

Sarra rozchyliła zasłony z lawendowej koronki. Na dole zobaczyła cztery okutane w płaszcze, zakapturzone postacie, skradające się ulicą w jaskrawym świetle słonecznym.

- W tym przypadku - zauważył Mag Uzdrawiciel - „nieśmiały” oznacza „nerwowy”.

- Po prostu się napraszają, żeby ludzie zwracali na nich uwagę - zgodziła się.
-- Ty też bądź dla nich miła, Sarro. — Val stanął tuż za nią. - Mieli się zjawić nie wcześniej niż o północy. Coś musiało się stać.

Spojrzała na niego badawczo.

- A co właściwie miałeś zamiar robić tu do północy?

- Cóż... ten pokój stwarza różne interesujące możliwości. - Zrobił przeproszający gest. - Matka oddałaby moją skórę, ze mną na dokładkę, do garbarni za moje zachowanie w stosunku do ciebie. Ale, mówiąc poważnie, wspomniałaś, że tęsknisz za kąpielą. Łazienka jest na końcu korytarza.

Bez trudu była w stanie wyobrazić sobie łazienkę. Boczny, ukryty schodami weszło czterech magów. Elomar powitał ich, a następnie dokonał szybkiej prezentacji.

- Mag Scholar Sirralin Mossen, jej syn, nowicjusz Tiron Mossen. Mag Uzdrowiciel Truan Halvos. Nowicjusz Keler Neffe.

Zaskoczenie sprawiło, że ich maniery też pozostawiały nieco do życzenia. Truan Halvos wydawał się w najwyższym stopniu zgorzony, z pewnością po raz pierwszy w życiu znalazł się w burdelu, choć musiał mieć co najmniej sześćdziesiąt lat.

Wzdragał się, ilekroć jego posępne spojrzenie odnajdywało kolejny fioletowy przejaw wyuzdania. Sarra starała się zachować na twarzy wyraz powagi - co wcale nie było łatwe, zwłaszcza gdy wzrok jej padał na piętnastoletniego Tirona Mossena. Z otwartymi szeroko ustami rozglądał się po Śliwkowym Pokoju w stanie kompletnego oszołomienia. Mrugał powiekami brunatnych oczu, czerwienił się i przełykał głośno ślinę, zmieszany, a zarazem zafascynowany.

Nowicjusz? - zdziwiła się Sarra, gdy w końcu się opamiętał i skłonił przed nią głowę. Ambrai zostało zniszczone, zanim się jeszcze urodził, nie mógł więc nawet widzieć Akademii, a co dopiero studiować na którymś z tamtejszych wydziałów.

Reakcją jego matki na widok pokoju był pełen rozbawienia zachwyt. Sirralin Mossen zupełnie nie wyglądała na Maga Scholara. Równie wysoka co Imi Gorrst, tylko nieco obficiej zaokrąglona, miała skórę koloru kawy i tak wydatne kości policzkowe, że niemal dotykały kącików jej oczu. Chociaż

musiała zbliżyć się już do czterdziestki, wyglądała najwyżej na trzydzieści - a spojrzenie, jakim obrzuciła Kelera Neffe, mówiło wyraźnie, że marzy tylko o tym, by znaleźć się tu z nim sam na sam i zachowywać tak, jakby wciąż miała lat dwadzieścia.

Neffe mrugnął do niej w odpowiedzi. Mógł mieć około trzydziestki, tak więc studia rozpoczął jeszcze w Akademii, lecz jego dalsza edukacja w zakresie stosowania czarów była zapewne mocno pobieżna - w najlepszym razie. Skłonił się, choć nie ucałował nadgarstka Sarry, a gruby pukiel miodowych włosów wysunął się spod jego czapki i opadł na szare oczy. Wepchnął z powrotem niesforny kosmyk i przeprosił.

- Nie ma potrzeby -- odparła Sarra. - W naszym małym gronie pozwalamy sobie na nieco swobody.

- Jesteś nader łaskawa, Pani - rzekł. - Ciotka Mairin kazałaby mi ogolić głowę za ten występ.

- Poznałam kiedyś twoją ciotkę Mairin, łatwo jest mi więc w to uwierzyć - powiedziała Sarra z uśmiechem. Znała zarówno Panią, jak i ród Neffe - do rodziny tej należał każdy liść, gałązka, kamień, kropla wody i żyła złota na Neffen, najmniejszej spośród zamieszkanym wysp archipelagu Seinshir. - Usiądźcie, proszę - dodała. - Val, podaj wino. Dlaczego przybyliście tak wcześnie?

- Dostaliśmy ostrzeżenie - odparła Sirralin Mossen. - Co prawda, bardzo miłe - bukiet z kwiatów i ziół, przewiązany wstążkami w barwach rodu Desse. Taka zapanowała ostatnio moda na przekazywanie sekretnych wiadomości. - Podziękowała Valowi, który podał jej kieliszek wina, i opowiadała dalej: - Prawdę mówiąc, Pani Sarro, zaczęłam już tracić zmysły w tej chacie za miastem. Spędziliśmy tam pięć dni, po tygodniu wędrówki z podobnej nory na skraju Ambrai. Umierałam z nudów w tym żalonym pogranicznym miasteczku od ostatniego Palenia Świec. Żadnych książek, nikogo, kto wart byłby poznania, rozmowy tylko o zbiorach i pogodzie. Jak zwykli ludzie to wytrzymują?

Obraz własnej osoby, jaki właśnie przedstawiła, nie robił, zdaniem Sarry, szczególnie dobrego wrażenia. Scholar Mossen najwidoczniej uważała magów w ogóle, a siebie w szczególności za kogoś lepszego od „zwykłych ludzi”. Cóż, przynajmniej nie jęczała jak Mag Dziekan. Poza tym ktoś jednak

uznał, że warto ją uratować, inaczej nie wezwano by jej do Combel. Sarra surowo przykazała sobie nie wydawać przedwczesnych sądów i skupiła się na najważniejszej części jej opowieści.

- Wiadomość z kwiatów i ziół?

- No właśnie. Kichałam przez całe dwie godziny. Mięta i aloes nie były jeszcze takie złe, ale róże...! To prawda, nazwano mnie na cześć patronki kwiatów, moja droga Pani Sarro, podobnie jak ciebie, mam jednak nadzieję, że ciebie obdarzyła mniej wrażliwym nosem!

Sarra spojrzała na Elomara.

- Ucieczka i ratunek - wyjaśnił w odpowiedzi na jej nieme pytanie. Potem zwrócił się do scholar Mossen. - Jakie róże?

- Jak to jakie?

- Czerwone, żółte, białe... Odpowiedział jej syn.

- Białe róże Łaska Maidil. A także prawie czarne, nazywają je Zamaskowany Księżyc. Dzięki temu trafiliśmy tutaj. Lubię kwiaty - dokończył nieśmiało i znowu się zarumienił.

Sarra ponownie spojrzała na Elomara. Wzruszył ramionami.

- Jak wyjaśniła scholar Mossen, język kwiatów to najnowsza sztuczka Gorshy. Powiem ci jednak, Pani, że nie podobają mi się te skojarzenia.

- I ten pośpiech. Val, która jest godzina w Neele?

- Neele?! - wykrzyknęła Sirralin Mossen.

- Siedem po pół do piętnastej. Już pora.

- Pewnego dnia - oświadczyła - z pewnością sprawdzę ten twój tak zwany dokładny czas z zegarem. Skąd możesz wiedzieć, ile minut...

- Dlaczego właśnie Neele?

- Miej wiarę - zaintonował Val. Potem w jego ciemnych oczach pojawił się nikczemny błysk. - Spodoba ci się ta Drabina, Sarro. Jest... niezwykła.

- Neele! Dlaczego nikt mnie wcześniej nie uprzedził? Moja bardzo bliska szkolna przyjaciółka mieszka o dwie ulice od...

- Och, bądźże cicho, proszę! - wybuchnął Truan Halvos. - Im szybciej opuścimy to bezwstydne miejsce, tym lepiej!

15 - Wyprawa

Kiedy już wcisnęli się do okrągłej toalety, Sarra wbiła wzrok w Alina.

- Jak niezwykła?

- Zupełnie - odparł Val.

- Zamknij się, Val - warknął jego współnik.

Na chwilę otoczyła ich znajoma pustka, a potem Sarra zrozumiała, co miał na myśli.

Drabina w Neele była to żelazna krata, osadzona w głębokim kanale wpadającym do miejskich ścieków.

14

Collan nie był więźniem. Nie mógł jedynie opuścić tego miejsca.

Co z jego punktu widzenia oznaczało mniej więcej to samo.

Zdarzało mu się już trafiać do więzienia. W zamku Wyte Lynn był to prawdziwy staromodny loch. Więzienie w Ken-roke znajdowało się na szczycie strzelistej wieży. W Dinn służyła do tych celów oddalona od brzegu wyspa. Udało mu się wydostać z tych wszystkich miejsc, a także z jednego czy dwóch innych - najłatwiej poszło tam, gdzie straż więzienną stanowiły kobiety. Jego doświadczenia ograniczały się jednak do uczciwych więzień ze stalowymi ryglami i żelaznymi kratami. Głębokich kamiennych studni. Klitek bez okien o powierzchni pięciu stóp kwadratowych. Korzystanie z narzuconej gościnności Sleginów było o wiele przyjemniejsze, bez wątpienia - ale za to ucieczka nastęczała o wiele więcej problemów.

Dostał piękny, przestronny pokój w sąsiedztwie młodych Sleginów. Zatem służący, którzy sprawowali pieczę nad synami Pani Agatine, strzegli również jego. Zamki i kraty usypiały zwykle czujność strażników, natomiast ludzkie oczy połączone były z ludzkim mózgiem. Nie mógł opuścić pokoju - nawet gdy szedł do toalety - tak by ktoś go nie widział.

Doprowadzało go to do szału. Wszyscy traktowali go niezwykle uprzejmie, niczym naprawdę ważnego i honorowego gościa, jak nazwał go raz Orlin Renne. Mógł poruszać się

swobodnie po terenie posiadłości i pobliskiego parku, ale nie po Ogrodach Roseguardu. Każdego wieczoru jadł kolację wraz z rodziną, potem śpiewał dla nich i udzielał Riddonowi Sleginowi pierwszych lekcji gry na lutni. Całymi dniami przesiadywał w bibliotece, ucząc się nowych pieśni lub innych wersji tych, które już znał. Pozwolono mu nawet szperać w prywatnej kolekcji śpiewników Sarry Liwellan. Oddawał się tym spokojnym, niewinnym zajęciom zamiast podejmować kolejne próby ucieczki, ponieważ tamtego pierwszego wieczoru Orlin Renne wcale nie był dla niego uprzejmy.

- Masz do wyboru jedno z dwojga - oświadczył mąż Pani Agatine, gdy Col obudził się po wypiciu potężnej dawki mikstury, podawanej mu przez Panią Agatine z powodów, których nie mógł sobie przypomnieć. - Możesz zatruć życie sobie i wszystkim w Roseguardzie, popełniając kolejne głupstwa, albo możesz cieszyć się z tego, że się tu znalazłeś. Ponieważ zostaniesz tu, Collanie Rosvenir. Choćbym miał zawinąć cię w nasz najlepszy dywan i powycinać w nim dziury, abys mógł przez nie jeść, oddychać, sikać i srać, zostaniesz.

W taki oto sposób Renne przedstawił mu swój punkt widzenia.

Poza tym zbliżał się przecież czas wyjazdu, a kiedy już dosiądzie konia, to na otwartym terenie zdoła uciec bez większych trudności.

Taką miał nadzieję. Trochę niepokoiła go ta historia z Magicznym Kimś-tam Rille. Słyszał, jaki wpływ mogą mieć czary na kogoś tak nie obeznanego z nimi jak on. J?o osiemnastu dniach spędzonych w tym aksamitnym więzieniu naprawdę zaczął się niepokoić. Powinni wyjechać za dwa dni, a Col do tej pory nie zauważył żadnych przygotowań. Życie w posiadłości Sleginów toczyło się swoim zwykłym rytmem. Na co czekali?

Nie pytał. Pani Agatine i Orlin Renne mogli ryzykować własne życie, ale nie życie swoich dzieci. Col liczył na to, że wyjadą we właściwym czasie i zabiorą go ze sobą. Polubił czterech chłopców Sleginów - a właściwie trzech młodych mężczyzn i jedenastoletniego Jeymiego. Riddon, niespełna dwudziestodwuletni, miał wrodzone zamiłowanie do gry na flecie i posiadał osiem różnych odmian tego instrumentu.

Gdyby Dom Bardów nadal istniał, Riddon tam właśnie by

się w tej chwili znajdował; obecnie jednak uczył nie, u kogo tylko mógł. Jeymi miał drewniane ręce i głos kota, kłotem u nadepnięto na ogon, umiał za to słuchać z zapartym tchem i rozczulał Co liana prawie do łez, ponieważ znalazł w nim swojego bohatera i wpatrywał się w niego z płomiinnym uwielbieniem. Elom miał lat dziewiętnaście i bzika na punkcie dziewczyn; Maugir - prawie siedemnaście i bzika na punkcie koni. Obaj byli kompletnie głusi na muzykę, ale zasób wiadssy Cola na temat zarówno dziewczyn, jak i koni, zapewnił mu Ich bezgraniczny podziw.

- Mój najstarszy syn dopiero co wyrósł z buntowniczego wieku - westchnęła Pani Agatine pewnego wieczoru, gdy Col zajęty był strojeniem instrumentu - a najmłodszy jeszcze go nie osiągnął, lecz pozostała dwójka robi tyle głupstw, że wystarczyłoby dla sześciu.

Riddon złożył matce przesadnie głęboki ukłon; Jeymi uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć, że pilnie obserwuje i czeka na swoją kolej; Elom przyłożył rękę do serca w geście urażonej niewinności; Maugir zdawał się bardzo z siebie zadowolony.

- Święci, spójrz tylko na twarze tych czterech! - powiedział Renne. - Wyobrażasz sobie, jak wyglądałoby nasze życie z dziewczynkami?

- Zabraniam ci nawet tak myśleć!

Col nigdy jeszcze nie spotkał małżeństwa, które, nie posiadając córek, gorzko by tego nie żałowało. Przypuszczał, że uważali za córkę tę Liwellan. Z całą pewnością czterej bracia mówili o niej tak, jakby była ich rodzoną siostrą: kochali ją, żartowali z niej, wybacжали różne słabostki i zapewniali Collana, że po niezbyt obiecującym okresie dojrzewania stała się wystarczająco piękna, aby przynosić im zaszczyt. Nie czuli się urażeni, że to ona, nie oni, odziedziczy majątek i pozycję Sleginów. Riddon najwyraźniej czuł ulgę, że matka uwolniła się już przynajmniej od tego problemu. Świeżo kreowana Pani Liwellan powinna wkrótce wrócić do Roseguardu - Collan miał nadzieję, że nastąpi to wcześniej niż ósmego dnia. Tego tylko brakowało, by jeszcze uganił się przez tydzień po całym Lenfell, starając się ją odnaleźć. I tak będą tworzyli niezły orszak: Pani Agatine, Orlin Renne,

ich synowie, *domna* Sela Trayos, Verald Jescarin, ich córka, Sarra Liwellan, tajemniczy mag Rille, sam Gollan - i Ostin jako przewodnik. Trzyście osób, błakających się po Sheve, jedna z nich w zaawansowanej dąży. Szaleństwo. Col westchnął w duchu i zaśpiewał balladę, której nauczył się w bibliotece Sleginów. Potem skinął głową Riddonowi, że czas już na niespodziankę dla jego rodziców: duet na mandolinę, flet i dwa głosy, dopracowany ostatecznie tego popołudnia. I tak mijał kolejny rodzinny wieczór. Col ziewał, zanim jeszcze zegar wybił czternastą, o której to godzinie Jeymi kładł się zwykle spać.

Wszyscy trzej starsi bracia musieli wlec najmłodszego do łóżka. Collan niemal upuścił pożyczoną mandolinę, kiedy rozkochany w nim Jeymi zaczął śdskać go na dobranoc. Po odejściu chłopców Pani Agatine wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Wiesz, że nie uda d się uciec po drodze - powiedziała, zaskakując go do tego stopnia, że kostka do gry wyslizgnęła mu się z palców. - Jeymi ruszy twoim śladem. Co zrobisz z jedenastoletnim chłopcem, podążającym za tobą jak deń?

Uznał, iż roztropniej będzie nie wspominać, że odgadła jego zamiary - choć i tak musiała to wyczytać z jego twarzy -i zamiast tego sam przypuścił atak.

- Już szósty dzień, ja jestem spakowany. A wy?

- Prawie - odparła pogodnie.

- Muszę przyznać - oświadczył Renne - że byłeś nadzwyczaj derpliwy. Albo nadzwyczaj uparty. Nie wspomniałeś nawet słowem o naszym wyjeździe.

- Co by mi to dało?

- Lubię ludzi praktycznych - powiedziała Pani Agatine. -Czy nie zaśpiewałbyś jeszcze, nim udamy się na spoczynek? Jutro dzień zacznie się dla mnie wcześniej.

Zaśpiewał więc, życzył im dobrej nocy i udał się do swojej sypialni, gdzie po półgodzinie rozpakował wszystkie swoje rzeczy, po czym znów je spakował, aby tylko znaleźć sobie jakieś zajęde. W przyptywie złościwości rozchylił zasłony i pomachał do swoich strażników za oknem.

Nigdy nie był w bardziej uroczym więzieniu. Tylko nie bardzo wiedział, jak się tu znalazł. Pamiętał, że wręczył bukiet Pani Agatine w jej gabinecie, a potem coś wypił. I tu popełnił

błąd. Chcieli go zatrzymać aż do odjazdu i udało im się to zrobić.
Cóż, nie upilnują go przez całą drogę. Ucieknie, choćby nawet miał związać
Jeymiego.

I niech święta Alilen odbierze mu resztę rozumu, jeżeli jeszcze raz pozwoli, aby
członek Sprzysiężenia wyświadczył mu jakąkolwiek grzeczność.

15

Sarra znów odczuła na sobie efekt Drabiny. Przeniosła się z Combel do Neele, z Neele do Dinn, a z Dinn ponownie do Neele w ciągu zaledwie czterech dni. Ponieważ dwa ostatnie miasta posiadały ten sam czas, uniknęła przynajmniej niemiłego wstrząsu, jaki towarzyszy przeskokom z wczesnego poranka od razu w późny wieczór. Może jej złe samopoczucie -lekki, lecz dokuczliwy ból głowy oraz ogólne zmęczenie -wynikało z częstego wystawiania jej chronionych przez zakaz czarów na oddziaływanie Drabin. A może po prostu znowu się przeziębiła.

Gdy tylko wydostali się ze ścieku na ulicy Naplijskiej, dołączyło do nich jeszcze trzech magów: Deikan Penteon, Dalia Shelan i Geris Mirrę. Obyło się bez żadnych kłopotów, co, rzecz jasna, wprawiło Alina w stan najwyższego zdenerwowania. Nikt z tej trójki nie znał pozostałych, a w dodatku z każdym z nich umówieni byli w innym miejscu. Gdy znaleźli się wreszcie w komplecie imogli podjąć marsz do dworu Bekke, zapadał właśnie zmierzch. Valirion nie miał nic przeciwko temu, by zatrzymali się na noc w pobliskiej gospodzie. Sarra odparła, że również nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby tylko ich jedenastka nie kojarzyła się natychmiast i każdemu z tajnym złotem Strażników Magii. Powędrowali zatem dalej w blasku dwóch księżyców.

Początkowo mieli pod stopami twarde cement, niebawem jednak zaczął się żwir, a wkrótce potem piach i wówczas to Deikan Penteon zaskarbił sobie na wieki wdzięczność Sarry, okazało się bowiem, że umie zwijać drogę.

- Nie jestem nawet w połowie tak dobry jak Gorsha Desse - tłumaczył się. - Na jednolitej powierzchni sprawa jest prosta, radzę też sobie z brukowaną ulicą, ponieważ kamienie nie są niczym spajane. Ale on potrafi stosować zakłęcie nawet na chodniku.

Tak więc zamiast trzech godzin, szli zaledwie nieco dłużej niż godzinę. Ich celem był podziemny zbiornik w połowie drogi do dworu Bekke, od którego przyjął nazwę trakt. Tam wędrowcy mogli odpocząć i trochę się odświeżyć. Po metalowej drabinie („Mała albo duża, duża albo mała, blaszana Drabina w ziemię się wkopała”) Alin wprowadził ich w trzech grupach do magicznej Drabiny. Brakowało zaledwie kilku minut do trzynastej, kiedy Sarra, przechodząca jako ostatnia wraz z Adennosem i Dalią Shelan, znalazła się w miejscu daleko przyjemniejszym niż po przybyciu do Neele. Drabina mieściła się w okrągłej spizarni gospody „Pod Nożem i Widelcem”, toteż zamiast natarczywych woni, których istoty lepiej było nie dociekać, w powietrzu unosiły się apetyczne, korzenne aromaty.

Val zdążył już uprzedzić właściciela, byłego niewolnika, który prowadził gospodę dla Pani Agatine, tak więc na górze czekały na nich przygotowane pokoje. Goście w głównej sali nawet nie zauważyli ich przybycia.

Oczekiwała ich również ostatnia trójka magów: Ilisa Neffe, jej mąż Tam osin Wolvar i wuj Tamosina, Tamos. Nastąpiło przy okazji coś w rodzaju połączenia rodzin, bowiem Ilisa była siostrą Kelera Neffe, tę zaś gałąź Wolvarow wiązało bliskie pokrewieństwo z Shelanami i Mossenami. Wobec takiego stanu rzeczy Sarra pozostawiła ich w jednym pokoju, a sama przeniosła się do drugiego razem z własnymi krewnymi, do których się chwilowo nie przyznawała.

Val nalał im wina. Alin chodził tam i z powrotem, gryząc się czymś w milczeniu. Sarra usiadła na łóżku, podłożyła sobie pod plecy kilka poduszek i dwoma łykami opróżniła do połowy kieliszek.

- To nie jest marszruta, którą przedstawiłeś mi na początku podróży - powiedziała.

- Cóż, nie - przyznał Val. - Musieliśmy wprowadzić kilka poprawek, opierając się na informacjach uzyskanych w Ryce. Alinie, usiądź.

Alin zignorował go i w dalszym ciągu przemierzał pokój.

- Informacjach, którymi nie uznałeś za stosowne się podzielić — zauważyła Sarra. - Dokąd udajemy się teraz?

- Z powrotem do Neele, gdzie czeka statek, który zabierze nas do Roseguardu. Może dotrzemy tam równocześnie z kapitan Nalle i „Różaną Koroną”, a może nie. Nie ma to większego znaczenia.

- Nie przyjedziemy tam jako my - domyśliła się - a więc tak czy inaczej muszę wcielić się w postać Mai Alvassy.

Val chwycił Alina za ramię, obrócił go i pchnął na krzesło.

- Mówiłem, usiądź. I powiedz mi, czym się martwisz.

- Nie uwierzysz, nie warto mówić.

- Spróbuj więc powiedzieć nam obojgu - zaproponowała Sarra.

Alin wypił wino i zapatrzył się w resztki na dnie kieliszka.

- Wszystko idzie zbyt łatwo - mruknął. - To mi się nie podoba. Czy wiesz, że te dwie grupy też dostały kwiaty? Tak samo jak ci, których zabraliśmy z Combel.

- I co z tego? - Val wzruszył ramionami. - Na dworze Ryka okazało się, że możemy być zmuszeni do większego pośpiechu, niż przypuszczaliśmy.

- To mi się nie podoba - powtórzył Alin.

- Czułbyś się lepiej, gdyby Gwardia Rady deptała nam po piętach albo gdyby tutejsza straż siedziała nam na karku, albo...

- Widzisz? - wybuchnął Alin. - Nie wierzysz mi. Mówiłem, że tak będzie.

- Alinie - powiedziała Sarra, chcąc go uspokoić, lecz tak by nie brzmiało to protekcjonalnie - jesteśmy tu, jesteśmy bezpieczni, obyło się bez pomyłek i bez kłopotów. Powinniśmy raczej podziękować świętej Miryenne za jej łaski i mieć nadzieję, że nadal będzie się do nas uśmiechać.

Popatrzył na nią posepnym wzrokiem.

- A jeśli nie?

- Wtedy - odparł beztrąsko Val - pomodlimy się do Garona Prawego i Pierga Złotej Rączki, patrona więźniów, który wyłamuje zamki.

Mówił niedbałym tonem, jednak w oczach miał niepokój -nie dlatego że udzieliły mu się obawy Alina, lękał się o samego Alina. Sarra poczuła lekkie ukłucie w okolicy serca. Kochać

kogoś tak bardzo, by odruchowo dzielić z nim każdy ból... być kochanym tak bardzo, by żaden ból nie pozostał bez ukojenia...

Może naprawdę warto.

A może ten rodzaj miłości zdarza się tylko pomiędzy osobami tej samej płci. Sarra rozważała to przez chwilę, myśląc o kobietach, które znała i lubiła. Mogła je darzyć przyjaźnią, czułością, czuć się dobrze w ich towarzystwie -ale nie pragnęła bliskości fizycznej bardziej intymnej niż uścisk. To nie było to, co zdarzało się jej czasem widzieć w oczach Alina i Vala. Lub Agatine i Orlina - lub jej własnych rodziców.

No cóż, pomyślała i westchnęła w duchu. Kobiety mnie nie interesują. To musi być mężczyzna. Pewnego dnia naprawdę powinnam się tym zająć.

Ostatecznie miała niebawem skończyć dwadzieścia trzy lata, była więc stanowczo za stara, by nadal pozostawać dziewicą, choćby nawet nosiła imię po świętej Siralli. Następnego ranka znów maszerowali traktem Ku Dworowi Bekke, tym razem z powrotem do Neele. Ich czternastka rozbiła się na trzy grupy, które wyruszyły w godzinnych odstępach. O zachodzie słońca mieli się spotkać u nabrzeża świętego Mittru i wejść na pokład „Gwiazdy Lata” - dowodził nią Ellevit, na papierze statek należał do Senisona, w rzeczywistości zaś do Lilen Ostin.

Lecz kiedy zebrali się wreszcie na zbutwiałej przystani, okazało się, że na żadnym z masztów nie powiewa biało-brązowa bandera Senisona z godłem Zakapturzonego Węża; na żadnym proporcu, zwisającym z rufy, nie widnieje Sztylet Ellevitow na zielonym i karmazynowym tle; i nie ma żadnego statku pod nazwą „Gwiazda Lata” w całej Zatoce Neele.

16

Collan obudził się ze straszliwym bólem głowy - tak jakby jego sen wypełniały owe wszystkie imiona, których dźwięk zwykle rozsadzał mu czaszkę. Ból był do tego stopnia nieznośny, że Col nie zadał sobie nawet trudu, by włożyć buty i koszulę, tylko czym prędzej wyruszył na poszukiwania medyka Pani Agatine. Zażył lekarstwo o identycznym smaku jak to, co dała mu do wypicia pierwszej nocy, wrócił do łóżka i spał aż do południa.

Następnie, już umyty, ogolony i ubrany jak należy, Col zapragnął coś zjeść, udał się zatem do kuchni, celowo wybierając okrężną drogę. Chociaż dzień wyjazdu wypadał - musiał wypadać - jutro, nie udało mu się dostrzec żadnych oznak, które świadczyłyby, że coś jest inaczej niż zwykle. Był po prostu kolejny dzień w Roseguardzie.

Lecz kiedy kucharz kroił dla niego chleb i pomidory, do kuchni wkroczyli energicznie trzej stajenni, chwycili torby podróżne i wyszli w pośpiechu. Col powłókł się do okna. Na bocznym dziedzińcu cała trójka dosiadła najpiękniejszych wierzchowców, jakie Col kiedykolwiek w życiu widział. Ich wyjazd obserwowali Orlin Renne i Rillan Veliaz, wielki koniuszy w Roseguardzie. Obaj mieli grobowe miny, kiedy jeźdźcy ze stukotem podków wypadli za bramę.

Kucharz przygotował dla niego półmisek chleba, sera, pomidorów, siekanej wątróbki oraz wino zmieszane z wodą. Col zabrał się do jedzenia i dopiero po minucie lub dwóch powiedział niedbale:

- Do Sleginholdu daleko.

- To prawda, minstreli. Będą musieli spać i jeść w siodle przez całą drogę. - Kucharz nie wydawał się specjalnie poruszony, ujawniając tak ważną informację. Uważał zapewne, że Col jest wtajemniczony w plany Pani Agatine.

Do kuchni wpadł Jeymi Slegin, omal nie upadł, próbując się zatrzymać, i wykrzyknął:

- Tu jesteś! Mama chce cię natychmiast zobaczyć, ale wolałbyś pewnie najpierw skończyć śniadanie.

- Jestem gotów - oświadczył Col, rozsmarował wątróbkę na chlebie, a na to położył ser i pokrojone pomidory, - To niegrzecznie kazać Pani czekać.

Zastali Agatine w owalnym gabinecie przyjęć, gdzie Zajęta była robieniem porządku na biurku. Nie spieszyła się przy tym i wcale nie wyglądała na zdenerwowaną, chowając papiery do kasetki, przyniesionej przez jej osobistą pokojówkę **ładną** blondynkę, którą Col z pewnością by się zainteresował, gdyby tylko ona zwracała uwagę na kogokolwiek poza własnym mężem, wielkim koniuszym.

- A te do świątyni - mówiła Agatine, gdy Col i Jeymi weszli do gabinetu. - I to już wszystko, Tarise.

- Tak, Pani. - Tarise podniosła głowę i zobaczyła obu wchodzących. - Przyszędł.

- Dobrze. Nie jesteś mi na razie potrzebna. - Tarise opuściła gabinet, zabierając ze sobą kasetkę, Agatine zaś zwróciła się do Cola. - *Domni Rosvenir*, wspomniałeś, że jesteś spakowany.

- Tak, Pani.

- Dobrze. Jeymi, poszukaj swoich braci. Tarise przyjdzie po was i powie, co macie robić.

- Tak, Pani - odpowiedział jej najmłodszy syn, poważny jak dworzanin, i zamknął za sobą drzwi.

- Czy jest już Taig Ostin? - spytał Col.

- Taig? Święci, nie. Dlaczego sądziłeś... och! Wstążki w barwach Ostinów. Nie, to znaczy, że udajemy się do Ostinholdu. Taig nie ma z tym nic wspólnego.

- Więc kto będzie przewodnikiem?

Uśmiechnęła się leciutko i wskazała gobelin na lewo od Cola. Tkanina rozchyliła się i do gabinetu wszedł Gorynel Desse.

Oczywiście. Któż by inny? - pomyślał Collan, a potem przestał myśleć, ponieważ wpadł we wściekłość.

- Ty synu Piątego Stanu! - warknął i ruszył na starego Maga Rycerza. - To ty wpakowałeś mnie w ten...

- Tak, to ja - odparł Desse. Zwracając się do Pani Agatine, spytał: - Jak bóle głowy?

- Co ty możesz wiedzieć o... - zaczął Col.

- Uspokój się, chłopcze. Zrozumiesz we właściwym czasie. A teraz wrzeszcz, jeśli chcesz, wyrzucić to z siebie. Masz jedną minutę.

- Dlaczego nie zaklniesz mnie, żebym milczał? - Collan splunął. - Dalej, spróbuj na mnie swoich czarów, i tak nie będę o tym wiedział!

- Cóż, jeśli chodzi o ścisłość, dowiedziałabyś się, ale o tym pomówimy kiedy indziej. Skończyłeś? Czy jesteś już gotów posłuchać, co należy zrobić, aby uratować ci życie?

17

Sarra nakazała swoim podopiecznym, by podzielili się na macierzyste grupy i rozproszyli po całym Neele. Sirralin Mossen, Deikan Penteon, Tamos Wolvar i Elomar Adennos otrzymali niewielkie Kule, które doskonale mieściły się w zaciśniętej dłoni, służyły zaś do utrzymywania łączności. Te maleńkie arcydzieła, wykonane przez Wolvara, miały zapłonąć na polecenie Adennosa, gdyby zapadła decyzja, że powinni się ponownie spotkać. Na nieco mniej niż minutę Kule ukażą wówczas miejsce spotkania, po czym zgasną na zawsze. Nikt, nawet Gorynel Desse, nie mógł się równać z Tamosem Wolvarem, prawdziwym mistrzem w dziedzinie Kul Magicznych.

Powrót do Dinn nie wchodził w rachubę. Chociaż właściciel gospody „Pod Nożem i Widelcem” wspierał Sprzysiężenie, to jednak Dinn leżało o wiele dalej od Roseguardu niż Neele. Potrzebna im była Drabina do Roseguardu. Lecz jedyna znana Alinowi znajdowała się w Starym Młynie w Kenroke. Nie zamierzali tracić czasu na rozważania, jak tam dotrzeć.

Sarra i jej towarzysze wybrali się po zakupy. Udawali zgodnie, że podziwiają wystawy sklepowe, niewiele jednak udało im się zobaczyć. Zbyt dużo wysiłku wkładali w to, by nie oglądać się bez przerwy za siebie.

- Musimy wrócić do Combel - powiedziała Sarra, wpatrując się w sztucce ułożone na czarnym filcu.

- Zgadza się. - Valirion ustawił się pod takim kątem, by w szybie odbijała się ulica za ich plecami. - Nikt za nami nie

idzie, a to bardzo źle wróży. - Najwyraźniej udzielił mu się nastrój Alina. - Słyszałaś, co Keier Neffe powiedział o tych kwiatach, które wszyscy dostali. To wreszcie go przekonało - Sarre zresztą też - że Alin martwił się nie bez przyczyny. Kiedy zatrzymali się przy nabrzeżu, pogrążeni w niewesołych dociekaniach, dlaczego nie czeka na nich „Gwiazda Lata”, Keler Neffe zerwał nagle z głowy czapkę i ze złością podarł ją na strzępy. Sarra warknęła na niego, by zechciał się uspokoić i wytłumaczyć, o co mu chodzi. Uczynił to, a wówczas wszyscy spochmurnieli jeszcze bardziej.

Jenira Neffe, prababka Kelera, pisywała niegdyś wiersze, a największym jej osiągnięciem w tej dziedzinie były „Strofy

o różach”. W liczącym bez mała setkę wersów poemacie, opartym na starożytnych balladach, zbieranych skrzętnie przez ponad dwadzieścia lat, znalazły się odniesienia do niemal wszystkich gatunków róż w Lenfell. Każdy Neffe, spokrewniony w prostej linii z Jenirą, musiał nauczyć się „Strof na pamięć, nim ukończył dziesięć lat; nawet bard Falundir zaczerpnął stamtąd kilka pomysłów i wykorzystał je w pieśni, która przesądziła o jego upadku.

Rzecz w tym, że o ile dla młodego Tirona Mossena czarne

1 białe róże wskazywały jedynie na „Buduar Maski”, to w „Strofach o różach” dwa kolory mówiły: „Nie ufaj posłańcowi”.

Tiron wpadł w popłoch zmieszany ze skruchą, lecz Sarra go uciszyła.

- To nie twoja wina i zakazuję ci nawet tak myśleć. Strażnikowi Neffe, tym bardziej jednak mam pretensje do ciebie.

- Ktokolwiek wysłał te kwiaty, śmieje się teraz z nas! -wybuchnął mag.

- A kto powiedział, że my nie możemy śmiać się z niego?

- Przypomniałeś sobie przecież - wtrącił Val. - Przynajmniej wiemy, że trzeba mieć się na baczności.

- Za późno — mruknął Neffe.

- Czy jesteśmy już martwi albo zakuci w łańcuchy? -zadrwiła Sarra. - No więc właśnie. Nie mówmy o tym więcej.

Kwiaty były przewiązane wstążkami w barwach rodu Desse; wydawało się zupełnym niepodobieństwem, aby Gory-nel mógł zdradzić. Ale we wszystkich wypadkach bukiety

podrzucono po prostu na progu. Nikt nie widział posłańca i nie znał jego imienia. Tylko dwie rzeczy nie budziły najmniejszych wątpliwości: szyfr kwiatowy został złamany, a w Sprzysiężeniu był zdrajca.

Nie włączyli się po nabrzeżach i nie rozpytywali, czy statek pod nazwą „Gwiazda Lata” zawinie niebawem do portu. Cała czternastka, rozbita na grupy, komunikujące się ze sobą przy użyciu małych Kul Magicznych Tamosa Wolvara, zniknęła w uliczkach Neele, na razie bezpieczna.

Do obowiązków Sarry należało doprowadzić ich tam, gdzie będą naprawdę bezpieczni. Gdy nie widzącym wzrokiem wpatrywała się w wystawy sklepowe, postanowiła, że użyją Drabiny w ściekach miejskich, by dostać się do Combel, a stamtąd w tradycyjny sposób pojadą do Renig.

- Lepiej do Longriding - mruknął Alin. - Jest tam Drabina do Ambrai.

- Rzeczywiście? - udała zdziwienie. Znała to przejście. Gorynel Desse dawno temu użył tej Drabiny, aby uratować Sarre i jej matkę. - A więc pojedziemy tam.

- Co takiego?! - wykrzyknął Val, a potem ugryzł się w język. Chwycił Sarre za ramię, pociągnął za sobą na biegnący środkiem ulicy trawnik i niemal siłą posadził ją na ławce w cieniu lipy.

- To szaleństwo! Ambrai? Siedziba Maga Dziekana? Skąd wiesz, czy zdrajca nie będzie nas śledził? I szedł za nami! Musimy przyjąć, że wszystkie znane nam Drabiny zostały odkryte.

- Dokąd przede wszystkim udałby się mag, gdyby miał jakieś kłopoty? Do Akademii Magów! I dlatego właśnie Glenin Feiran nie będzie nas tam szukać.

- Glenin?

- Naprawdę chcesz powiedzieć, że nie zastanawiałeś się, kto za tym wszystkim stoi?

- Sarra nawet nie musiała się zastanawiać, by to wiedzieć, była zatem pewna, że to prawda.

Val oparł się plecami o ławkę z kutego żelaza.

- Dobrze - powiedział. - Rozumiem. Ale ta podróż może długo potrwać.

- Co z tego? Będziemy w Straconym Kraju. Ty, Alin i Elo doskonale znacie tę ziemię. - Ujęła w obie dłonie jego palce, które wciąż zaciskał na jej ramieniu. - Val, czas, który tutaj

16 - Wyprawa

241

tracimy, to czas, którego ona potrzebuje, aby tu dotrzeć -i niebawem się zjawi, wiem o tym. Musimy doprowadzić tych magów do Roseguardu.

- A ty chcesz jechać przez Stracony Kraj, żeby zabrać Caillet.

- Tak! - Poczula, jak wilgotnieją jej oczy, i to ją zezłościło.

- Nic jej nie grozi w Ostinholdzie.

- Musimy ją zabrać pod opiekę Strażników Magii.

- Przeskok myślowy.

- Jeśli tak ci się podoba. A nawet jeśli ci się nie podoba. Po prostu nie wchodzi mi w drogę.

Wrócili do Alina i Ełomara, który też poczynili plany.

- Jest dzień, więc nie możemy wejść do Drabiny na środku ulicy Naplijskiej - powiedział Alin. - Ale z bocznej uliczki dochodzi tam tunel naprawczy.

- Przesłałem już obraz do Kul Magicznych - dodał Elo-mar. - Reszta powinna dołączyć do nas w ciągu godziny.

- Doskonale. Ruszamy do Combel natychmiast, żeby zabezpieczyć miejsce, a potem Alin wraca i sprowadza pozostałych.

Val przytaknął z ponurą miną, nie podobało mu się to wszystko. Ale nie wchodził jej w drogę. Trąciła go łokciem.

- To prawda, masz najgorsze maniery spośród wszystkich mężczyzn, jakich dotąd spotkałam... z wyjątkiem jednego. Ale nic na to nie poradzę, że kiedy wrzeszczysz na mnie, pomaga mi to w myśleniu!

18

Tego wieczoru Collan po raz pierwszy w życiu odbył podróż Drabiną.

Szkoda tylko, że był w tym czasie nieprzytomny.

Oczy Pani Agatine błyszczały podejrzanie, kiedy zapalała wieczorną świecę podczas kolacji - być może po raz ostatni. Nagły atak kaszlu Orlina Renne odwrócił uwagę synów od wzruszonej matki. Kiedy skończyli klepać go po plecach i poić wodą, Agatine doszła już do siebie.

Gorynel Desse nie jadł z nimi posiłku. Oficjalnie, w ogóle nie istniał. Lecz później, kiedy Col jak zwykle zaczął stroić lutnię, stary mag wślizgnął się do pokoju i usiadł w kącie, aby posłuchać. Nikt nie zwrócił na niego szczególnej uwagi.

Wkrótce po trzynastej zjawili się kolejni goście. Sela Tra-yos, Verald Jescarin oraz ich mała córeczka weszli do jadalni i usiedli na błękitnej aksamitnej kanapie. Tamsa pomachała Colowi ręką; mrugnął do niej, a dziewczynka zachichotała.

Domna Sela nie była już w zaawansowanej ciąży. Była w bardzo zaawansowanej ciąży, a rozwiązanie mogło nastąpić w każdej chwili. Zrozpaczony Col zastanawiał się, jak szybko będą mogli uciekać z Roseguardu z kobietą, która lada moment zacznie rodzić, ale najwyraźniej nikt się tym specjalnie nie przejmował. A więc z jakiej racji on miałby się martwić? To w końcu nie jego problem.

Zdażył zaśpiewać dwie ballady, gdy zjawily się następne dwie osoby: Tarise Nalle i jej mąż Rillan Veliaz. Ponury nastrój Cola odbił się na ludowej pieśni, którą grał; oto zebrali

się w tym miejscu najważniejsi uczestnicy Sprzysiężenia w całym Sheve - oraz jego znany na całym świecie Magiczny duchowy przywódca. Choć po tym wszystkim, co zdarzyło mu się robić przez ostatnie kilka lat, Collan nie mógł już uchodzić za przygodnego widza, to jednak gdyby schwytano go w takim towarzystwie, zostałyby nie tylko aresztowany, ale z całą pewnością stracony.

Śpiewał dalej, zastanawiając się, czy koi w ten sposób nerwy dorosłych, czy też odwraca uwagę dzieci. Tuż po czternastej Gorynel Desse niespodziewanie wstał.

- Dziękuję ci za uroczy wieczór, moja droga Agatine. Jeszcze niejeden taki spędzimy razem w Roseguardzie, przyrzekam ci to.

- Twoje słowa sprawiają mi ulgę, Gorsha - odpowiedziała cicho.

A więc nadszedł już czas. Z różnych szaf czterech synów Sleginów wydobyli spakowane torby podróżne, w tym także torbę Collana. Na każdego z obecnych przypadało po jednej, nawet jedna mała dla córki Seli - z wyjątkiem samej Seli, która i tak miała co dzwigać. Col zapakował do futerału swoją lutnię, schował do kieszeni kostki do gry i włożył płaszcz oraz czapkę, które Jeymi wyciągnął z szuflady. Desse poprowadził ich korytarzem tak wąskim, że jedna osoba z trudem mogła się tamtędy przecisnąć.

Przez obramowane kamienną framugą drzwi weszli do małego pokoju z widokiem na zatokę. Wystraszony Jeymi wyraził szeptem zdumienie, że w Pokoju na Słódko znajduje się Drabina.

- Drabina...?

Na więcej nie starczyło Collanowi czasu. Verald Jescarin, stojący tuż za nim, powiedział: „Wybacz, przyjacielu”, i delikatnie, lecz bardzo skutecznie uderzył go w głowę.

19

Sprzyjało im szczęście - a może święta Maidil: nikt nie zajmował Pokoju Śliwkowego. Drabina w toalecie była równie ciasna co Drabina w kanałach Neele, więc Alin musiał sprowadzić pozostałych jedenastu magów w dwóch grupach. Val odbył z nim obydwie podróże, ponieważ nie chciał odstępować swego kuzyna nawet na krok.

Nikt nie potrafił ustalić, którego ze świętych należy winić za to, że obie wyprawy mocno wryły im się w pamięć -być może Virankę, patronkę studni, chociaż nikt dotąd nie podejrzewał jej nawet o tak przewrotne poczucie humoru. A może wybrali po prostu zły moment. Albowiem w Neele zaczynał się właśnie dzień i mieszkańcy ulicy Naplijskiej robili to, co robi każdy, gdy tylko wstanie z łóżka. Na szczęście ci, którzy wstali wcześniej, kończyli akurat kąpiel, nie było więc jeszcze tak źle, jak mogłoby być - tak przynajmniej pocieszała się Sarra. W każdym razie dotarli do Gombel brudni, zmoczeni i cuchnący tak, że smród musiał dochodzić aż do Widmowego Lasu.

- A niech to - powiedział Keler Neffe. - Moja ostatnia czysta koszula.

- Przynajmniej miałeś czapkę -- odparła Sarra i zwalczyła pokusę, by przeciągnąć palcami przez swoje zlepione włosy*

Elomar wyciągnął okazałą roślinę - o fioletowych kwiatach, rzecz jasna - z doniczki, mieli więc już naczynie do mycia, które należało tylko napełnić wodą w pobliskiej łazience. Uważał, że nie byłoby mądrze, a Sarra najzupełniej się

z nim zgadzała, gdyby tłumy magów spacerowały tam i z powrotem korytarzem. Zatem wśród fioletów i luster myli się kolejno, a przy tym w miarę dokładnie, czekając na powrót Alina i Vala oraz reszty magów.

- Chyba musieliśmy tu wrócić - westchnął Truan Halvos. Nikt mu nie odpowiedział. Kilka minut później usłyszeli

inne głosy - a przede wszystkim głos Gerisa Mirre, który domagał się, aby Deikan Penteon zabrał nogę. Gdy obaj weszli do Śliwkowego Pokoju, aż zaniemówili ze zdumienia. Dalia Shelan pojawiła się zaraz po nich i natychmiast zatkała sobie dłonią usta, aby stłumić chichot. Ilisa Neffe, Tamosin Wolvar i Tamos Wolvar zareagowali równie gwałtownie.

- Święty Geridonie! - wyszeptała Ilisa ze szczerym przejęciem.

Jej mąż wskazał monstrualnych rozmiarów łożo i spytał:

- Chciałabyś mieć takie w naszym nowym domu? Jego wuj parsknął.

- Jest tak duże, że starczy wam za nowy dom!

W Combel, które od Neele dzieliło pół świata, dochodziła czwarta. „Buduar Maski” pogrążony był we śnie. Sarra nasłuchiwała uważnie, czy z sąsiednich pokoi dobiegają jakieś dźwięki, ale niczego nie usłyszała. Pozwoliła więc sobie na chwilę odprężenia. Wszyscy magowie dotarli na miejsce, byli bezpieczni, nie zostali jak dotąd odkryci, a trzech rdzennych Straceńców zaprowadzi ich teraz do Longriding. Nagły chłód, którego nawet by nie poczuła, gdyby nie wilgotne włosy i ubranie, ostrzegł ją na moment wcześniej, nim rozległ się głos.

- Wypęłzacie prosto z rynsztoka, jak widzę. Jakież to stosowne.

Z liliowego cienia wystąpiła młoda, wysoka kobieta. Gle-nin Feiran. Za nią postępowała drobniejsza postać, a silne palce Glenin zaciskały się na jej ramieniu. Serce Sarry na chwilę przestało bić. Dziewczyna otulona była szczelnie płaszczem i kapturem, lecz Sarra rozpoznała ten płaszcz: w błękitnym kolorze Liwellanów. Glenin postąpiła kolejny krok w głąb pokoju, ciągnąc za sobą Mai Alvassy. Jej szarozielone oczy napotkały wzrok Sarry. Wszyscy inni jakby dla niej nie istnieli, nie zwracała na nich najmniejszej uwagi.

- Moja mała zabawka może się stłukła, ale czary mają wiele zastosowań. Jeśli odpowiednio potraktować nimi umysł, którego nie chronią zakazy - powiedzmy, kapitan Nalle? - można się niejednego dowiedzieć. Nieszczęściem dla kapitana, mało kto wytrzymuje taki zabieg.

Geris Mirrę wreszcie złapał oddech.

- Nie ośmieliłabyś się...

-- Chcesz mi czegoś zabronić? - Glenin podniosła wolną rękę i wyciągnęła ją w jego kierunku. Długie ciało maga upadło bezgłośnie na fioletowy dywan.

Ilisa Neffe uklękła przy nim. Wystarczyło jedno spojrzenie na jej ściągniętą twarz, by Sarra zrozumiała, że ten człowiek nie żyje.

- Na czym to skończyłam? - spytała Glenin. - Ach, tak. Czy wiesz, że ta dziewczyna jest moją kuzynką? Lecz jej podobieństwo do ciebie jest doprawdy zastanawiające, Pani Sarro. To było bardzo sprytne. - Skierowała wzrok na Deikana Penteona. - Czy ciebie też mam przykładowo ukarać? Nie lubię, kiedy mi się przerywa.

- Nic nie róbcie - rozkazała Sarra, odzyskując w końcu głos. - Chroni ją zakaz. Nikt nie odważyłby się wystąpić przeciwko tylu Strażnikom Magii bez potężnych, ochronnych czarów.

Glenin z aprobatą pokiwała głową: zupełnie jak nauczyciel, gdy niezbyt rozgarnięty uczeń znajdzie wreszcie właściwą odpowiedź.

- Tylko Pani z Malerris mogłaby znać takie zaklęcia - powiedział Keler Neffe zimno. Jeden kącik ust Glenin zadrgał gwałtownie. Sarra spostrzegła to i zanotowała sobie w pamięci, by w odpowiedniej chwili wykorzystać przewagę, jaką daje zaskoczenie. Na razie jednak były pilniejsze sprawy.

A przede wszystkim reszta magów - oraz Valirion i Alin, którzy nie opuścili jeszcze ustępu, kryjącego Drabinę. Niech wszyscy święci sprawią, żeby tam pozostali.

- Jeśli wezwiemy pomocy, nikt nie odpowie - mówiła spokojnie Sarra. -

Zabezpieczyła cały budynek.

- Trafny domysł. Jestem pod wrażeniem, Pani Sarro.

- To nie był domysł. Ja bym tak właśnie zrobiła.

- Gdybyś miała w sobie czary.

Jeszcze nigdy w życiu Sarra tak gorzko tego nie żałowała.

- Gdybym miała twoje zasady - lub raczej gdybym była ich pozbawiona.

- No, niech to nie będzie bardziej przykre, niż trzeba.

- Przypuszczam, że zakaz rozciąga się od dachu aż do piwnic.

- Oczywiście.

- Lecz nie ma żadnych Gwardzistów Rady.

- Ani jednego. Trafiasz za każdym razem! Czyżbyś chciała powiedzieć, że mnie rozumiesz?

- Twoich celów - nie. Twoje metody zaś... - Pozwoliła sobie na lekki uśmiech. - Powiedzmy, że znam cię lepiej, niż mogłabyś przypuszczać.

Elomar Adennos pojawił się nagle u boku Sarry, jego obecność miała być dla niej milczącym ostrzeżeniem, że należy natychmiast przerwać ten wątek rozmowy.

- Czy masz jakiś inny cel poza dostarczeniem nam rozrywki? - zwrócił się do Glenin. - Muszę przyznać, że jak na razie jestem przeraźliwie znudzony.

Glenin raczyła go zauważyć.

- A oto i smukły amant Lusiry Garvedian, nieprawdaż? Jej rodzina ma okropny gust, jeśli chodzi o mężczyzn. Owszem, mam cel, który zapewni mi waszą skupioną uwagę. Jak już nadmienił ten młody człowiek - wskazała głową Kelera Neffe - występuję tu w imieniu Panów z Malerris. Wy wszyscy jesteście wrogami mojej Tradycji, a za dzień lub dwa, zgodnie z dekretem Rady, staniecie się wrogami całego Len-fell. Zostaniecie przewiezieni do Seinshiru, gdzie ci z was, którzy okażą się zdolni do rodzenia lub płodzenia Magicznych, będą nadal żyć. Reszta umrze. - Uśmiechnęła się do Sarry. - Czy to właśnie byś powiedziała?

Sarra milczała.

- Och, naturalnie. Zasady. Cóż, wrócimy do tej rozmowy w zamku Malerris - gdzie, jak rozumiem, zdążyłaś już dożyć wizytę?

Ktoś za plecami Sarry wciągnął gwałtownie powietrze. Sarra nie. A więc miała rację. Byli obserwowani.

- Obawiam się jednak, że nie pojedziesz tam tak od razu. Ty i ja, a także obecna tu moja kuzynka wybierzemy się najpierw do Longriding.

- Schwycić Taiga Ostina - powiedziała Sarra. Z niekłamana satysfakcją dostrzegła zdumienie na twarzy siostry.

- Wiesz, jesteś w tym naprawdę dobru przyznała Glenin.

- Dziękuję. Nadal jednak nie wiem, jak udało ci się tu trafić.

- Statek kapitan Nalle nigdy nie wypłynął z Renig. Sarra spostrzegła, jak Mai zwiesza głowę, i domyśliła się, że Agata Nalle oraz wszystkie kobiety i mężczyźni, znajdujący się na pokładzie „Różanej Korony”, nie żyją.

- Statek zawinie dzisiaj do Roseguardu. Nowym kapitanem jest Pan z Malerris, który kocha morze, a cała załoga jest bezgranicznie oddana Pierwszej w Radzie. Będzie to część sił, jakie wysyłamy, aby rozprawić się z Panią Agatine i jej bandą zdrajców - wszyscy oni zostaną pojmieni albo zginą, nie robi mi to szczególnej różnicy.

- Ponieważ nie są Magiczni - powiedziała Sarra. Zemdlilo ją z obrzydzenia, gdyż wiedziała, co Glenin za chwilę powie. Przeczucie. Przeskok myślowy, który sprawił, że wszystko w niej stężało.

- I dlatego nie przedstawiają żadnej wartości - odparła Glenin.

- Gdzie jest Mag Dziekan? - chciał wiedzieć Elomar Adennos. - Pani, czy żyje?

- Twój kuzyn, o ile mnie pamięć nie myli? Owszem, ten żaloszny stary głupiec wciąż jeszcze oddycha. Czeka w moim powozie na dole, jeśli chodzi o ścisłość.

- Ma być przynęta na Taiga Ostina - dodała Sarra. Glenin popełniła właśnie poważny błąd taktyczny. W obliczu niebezpieczeństwa nadrzędnym obowiązkiem każdego Strażnika Magii było ratowanie dziekana. Cokolwiek miałyby spotkać jednego lub wszystkich magów, dziekan musiał przeżyć. Magowie w tym pokoju dowiedzieli się właśnie o jego pojmaniu, zrobią więc wszystko co w ich mocy, aby go uwolnić.

Natomiast Glenin Feiran za wszelką cenę chciała go zatrzymać. Sarra nie miała zamiaru pozwolić, aby ci wszyscy Magiczni - a wśród nich piętnastoletni chłopiec - oddali życie za Lusatha Adennosa.

Mogła zwyciężyć. Przeczucia śpiewały w niej, ten słowny pojedynek z Glenin upajał ją tak samo jak gra, którą prowa-

działa z Anniyas. Na dworze Ryka robiła to dla zabawy, dla pobudzenia sprawności intelektu; tutaj zaś chodziło o życie. Lecz nadal była to gra - i Sarra mogła zwyciężyć.

Glenin nic jeszcze nie wiedziała o Valu i Alinie.

Nie wiedziała też o niej.

Ani o Caillet...

Coś zamigotało na granicy świadomości Sarry, jakby maleńka cząstka potęgi, którą mogła czuć, lecz nie mogła jej użyć. Jej czarów strzegł zakaz, postawiony przez Strażników Magii, wiedziała to - i dlatego wiedziała, że to, co płynie od Glenin, jest inne. Elomar mówił kiedyś o „posmaku” czarów. Wiedziała już, co miał na myśli. To, co dochodziło do Sarry od Glenin, to było Malerris -lecz było to również Ambrai, a także Feiran.

- Kiedy już schwytasz Taiga w Longriding - powiedziała do Glenin - umieścisz w nim zakaz, a potem odeślesz go z powrotem do Sprzysiężenia, aby zniszczył je od wewnątrz.

- Naprawdę jesteś w tym dobra! Byłoby mi przykro patrzeć, jak twoja nić zostaje przecięta i usunięta z Wielkich Krosien.

- Ale nigdy do tego nie dopuścisz - mruknęła Sarra.

- Dopóki nie urodzisz kilku Magicznych, nie.

- Nigdy do tego nie dopuścisz, Glenin. - Poczowała na plecach dotknięcie palców Elomara, kolejne milczące ostrzeżenie. Ale wiedziała, co robi, wiedziała, że musi tylko zyskać na czasie i skupić na sobie uwagę Glenin, a stanie się to coś, co płuńeło tuż poza zasięgiem jej zmysłów.

- To nie ja podejmę decyzję. Nie jestem Strażnikiem Krosien ani...

- Nigdy - powtórzyła Sarra po raz ostatni i zaczerpnęła powietrza, aby powiedzieć jej dlaczego.

Nie powiedziała tego. Tamos Wolvar, mistrz Kul Magicznych, ukończył swoje dzieło: wielką, migotliwą powłokę magiczną, która otoczyła Glenin i Mai wirującą mgiełką białych i tęczyowych rozbłysków. Ogromna Kula Magiczna mieniła się opalizującym światłem i tryskała ognistymi iskrami, a wewnątrz niej tkwiła Glenin, chwiejąc się na nogach.

Sirralin Mossen pierwsza zaczęła działać. Jedną ręką chwyciła syna, drugą Kelera Neffe i pobiegła w stronę Drabiny. Dalia Shelan i Deikan Penteon wspólnymi siłami zaciąg-

nęli tam Truana Halvosa. Za nimi podążała Iksa Neffe, popychana przez męża - który jednocześnie podtrzymywał swego wuja, Maga Scholar, ten bowiem zaczynał ślaniać się już z wysiłku. Wewnątrz sferycznej powłoki Glenin podjęła walkę.

- Sarro! Szybciej! -Elomar Adennos odciągnął ją do tyłu, podczas gdy ogromna Kula iskrzyła i strzelała płomieniami z trudem utrzymywanych w ryzach czarów. Mai Alvassy upadła, objęła rękami głowę, a kolanami zasłoniła twarz. Kołysała się w przód i w tył; jakimś sposobem Sarra domyśliła się, że Mai krzyczy.

- Powiedz Alinowi, żeby ich stąd zabrał! Z powrotem do Neele, wszystko jedno...

- Właśnie to robi, Pani Sarro - rzekł Elo. - Idę po dziekana.

Wypełniona czarami sferyczna powłoka Tamosa Wolvara miotała niebieskie, zielone i czerwone błyskawice. On sam zacisnął powieki i zwiślał bezwładnie w ramionach bratanka, lecz pomimo wysiłków Glenin Kula wytrzymywała. Glenin wyczarowała swoją własną, podręczną Kulę, z której natychmiast wystrzeliła błyskawica.

Sarra przyglądała się temu bezradnie i czekała na sposobność, nie wiedząc, czy takowa w ogóle się nadarzy. Mai uniosła swoją udreżoną twarz, nieme wargi ułożyły się w słowa: „Zostaw mnie!”, lecz Sarra stanowczo potrząsnęła głową. Wolvar nagle jęknął, a wewnątrz Kuli rozbłysło z trzaskiem kolejne wyładowanie. Twarz Glenin była naprężona z wysiłku, ale w jej oczach zapaliły się iskry triumfu. Mag Scholar słabł. Ściany jej więzienia niebawem pękną.

Wcześniej pękła mała Kula Glenin. Mai Alvassy nagle poderwała się z kolan i sięgnęła po ów jarzący się przedmiot, pełen skoncentrowanych czarów. Zacisnęła na nim palce, a jej usta rozwarły się w krzyku, który Sarra poczuła raczej, niż usłyszała. Glenin zaczęła się z dziewczyną szarpać i kopać z wściekłością butami do konnej jazdy. Mai, nie zważając na to, zdołała wyrwać Kulę z dłoni jej twórcy, a wówczas Kula eksplodowała.

Glenin upadła. Kula Tamosa Wolvara pękła jak bańka mydlana, a wraz z nią rozprysnęły się na kawałki wszystkie lustra. Szkło posypało się ze ścian i spadło dźwięczącym

deszczem na absurdalnie wielkie fioletowe łożo. Okna wypadły na zewnątrz, wlokąc za sobą koronkowe firanki. Sarra uniosła ramiona, żeby osłonić twarz, trochę zbyt późno; ostre odłamki wbiły się jej w policzki.

Kiedy uświadomiła sobie, że zdążyła przynajmniej zamknąć oczy, dobiegł ją drżący głos Tamosina Wolvara.

- To jej nie zabiło, Pani Sarro. Wewnątrz jej Kuli były jej własne czary, a wuj Tamos nigdy nie używa śmiertelnych czarów, nawet przeciwko Malerryjczykom.

Sarra spojrzała na niego, nie bardzo rozumiejąc. Trzymał w ramionach starca, a kiedy szedł w jej kierunku, usłyszała, jak szkło wciąż spadające na dywan chrzęści pod jego butami.

- Nadal czuję jej zakazy - dodał młody mag - choć ona sama z pewnością jest nieprzytomna. - Nieprzytomny był też scholar Wolvar, zwisający bezwładnie w ramionach bratanka.

- Go... co z nim? Będzie żył?

- Tak. Nie jest już młody, ale wciąż jest najlepszy. - Spojrzał z odrazą na ciało Glenin. - Nawet przeciwko takim jak ona. Niech Miryenne się nad nami zmiłuje, bo powrócił nasz odwieczny wróg.

- Jej zakazy nadal działają? - Sarra nigdy o czymś podobnym nie słyszała. Przecież Magiczny musi być przytomny i w pełni świadomy, żeby utrzymać zakazy, prawda?

- Zatem... nie można jej zabić - usłyszała własny głos.

- Nie. Musimy się spieszyć, nim Malerryjka się ocknie. Malerryjka. Jej siostra stała się Malerryjką. I od tej chwili

Sarra nie miała już dwóch sióstr.

Mam tylko jedną, pomyślała. W Ostinholdzie. Błagam, niech ona będzie w Ostinholdzie, a nie w Longriding, gdzie Glenin zamierza szukać Taiga!

- Idźcie do Drabiny - rozkazała. - Ja pójdę po Mai.

- Pani - powiedział cicho Tamosin - ona nie żyje.

- Nie...! - Lecz kiedy Sarra spojrzała na Mai, zobaczyła krew sączącą się z jej kształtnego nosa i otwartych ust. Umarła, poświęciła siebie, aby ich ocalić - zabiły ją czary Glenin.

- Sarro!

Znajome dłonie zacisnęły się na jej ramionach i odwróciły ją od rozciągniętego na podłodze ciała Mai. Ujrzała przed sobą twarz kuzyna.

- Sarro, posłuchaj mnie! - Val potrząsnął **nią** lekko. - Słuchaj! Alin zabrał tamtych z powrotem **do Neele. Dalej** sami muszą się o siebie zatroszczyć. Elo zajął się **Magiem** Dziekanem. Musimy się stąd wynieść. Natychmiast, **Sarro**,

- Mai nie żyje - szepnęła.

- Wiem. Przykro mi.

- Glenin... - Sarra zakrztusiła się tym imieniem.

- Nie możemy jej zabić i nie możemy zabrać jej **ze sobą**. Żaden z naszych magów nie jest wystarczająco potężny, **żeby** się z nią zmierzyć - może nawet Gorsha. Musimy się spieszyć, Sarro. Pomóż nam.

To właśnie powinien czynić przywódca. Pomagać ludziom robić to, co muszą zrobić - i troszczyć się o ich bezpieczeństwo, kiedy już to zrobili. Tarise myliła się: Sarra nie będzie w Sprzy-siężeniu rycerzem, staczającym bitwy na słowa lub miecze. Ani uzdrowicielem, który doprowadza wszystko do porządku, ani też scholarem, udzielającym mądrych rad. Odegra rolę, jaką wyznaczyła sobie na tamtym wykresie, narysowanym przed laty w Pinderonie. To ona sprawi, iż rzeczy będą się stawały.

Tak jak Glenin.

Malerryjka.

Sarra miała za sobą Strażników Magii i Sprzysiężenie; Glenin - Panów z Malerris i Radę. Nasze siły są prawie równe, pomyślała. Tylko że ja wiem, kim jestem - i wiem o Cailet.

- Sarro...

- W porządku. Nic mi nie jest. - Odsunęła się od Vala i popatrzyła wokoło - wszędzie, tylko nie na siostrę. Tamosin Wolvar sprowadzał wuja po schodach. Sarra wypadła na podest i zawołała:

- Elo! Potrzebne nam konie! Sześć, i to zaraz! - Coś sobie przypomniała. - Nie, zaczekaj, Glenin przyjechała powozem, prawda? Skorzystamy z niego. Scholar Wolvar i tak nie utrzyma się w siodle.

- Alin już siedzi na koźle! - krzyknął Elomar w odpowiedzi.

Alin wrócił z Neele? Oczywiście, że wrócił. W Neele nie było Valiriona.

Val darł prześcieradła, którymi zamierzał związać i zakneblować Glenin. Sarra nie miała pojęcia, co spodziewał się przez to osiągnąć. Być może, po prostu chciał to zrobić.

250

- Sarro, zejdź na dół, nim ona się obudzi!

Ona, Malerryjka, myślała Sarra. Czy zabiłabym ją, gdybym mogła? Czy Auvry Feiran zabiłby matkę i mnie? „Gdybym miała twoje zasady...”

Podeszła do ciała Mai.

- Co robisz?! - usłyszała za sobą okrzyk Valiriona.

- Pomóż mi. Musimy zostawić ją i Gerisa Mirrę tak, żeby ich znaleźli.

- I sprawili im odpowiedni pogrzeb? - Przedarł ostatni kawałek prześcieradła i odszedł od łóżka. - Sarro, nie mamy czasu.

- Na to mamy czas. Muszę się też postarać, żeby po śmierci była bardziej do mnie podobna niż za życia. - Odpięła małe złote kolczyki Mai i założyła jej swoje perły, zdjęła z szyi Mai długi złoty łańcuszek z krążkiem identyfikacyjnym i zastąpiła go własnym.

- Ale Glenin będzie wiedziała! - Val zdjął krążek Gerisa, aby oddać go potem jego rodzinie, a następnie odpiął od kołnierza zabitego maga odznakę nowicjusza uzdrowiciela.

- Tak. Glenin będzie wiedziała.

Co jeszcze mojego powinna nosić Mai? Pierścień z Sokołem Liwellanów - za duży na palec Mai. Złoty pierścień z Wieżą w herbie nie wchodził na palec Sarry.

Włożyła go do kieszeni razem z krążkiem. Wyśle oba Pierganowi Rille do Domburronshiru - nie, odda je Elinowi i Pierowi Alvassy, którzy należeli do Sprzysiężenia.

- Glenin będzie wiedziała - powtórzyła Sarra z roztargnieniem. - Ale dlatego właśnie musimy zostawić Mai w takim miejscu, by znaleźli ją inni. Właścicielka tego domu, straż, sąsiedzi... - Ale nie Gwardia Rady, bo oni nie odesłaliby ciała do Roseguardu na pogrzeb. Roseguard! Glenin powiedziała, że płynie tam okręt flagowy Pani Agatine z rueprzyjaciółmi na pokładzie...

- Sarro, każdy, kto dę widział, natychmiast się zorientuje.

- Co?

- Jesteście podobne, ale nie identyczne.

- Nie rozu... - I wtedy zobaczyła w jego oczach, co miał zamiar zrobić, i zaczęła krzyczeć.

- Zejdź na dół, Sarro.

- Nie! Nie możesz, nie pozwolę d...

- Sarro, idź!

I ponieważ wiedziała, że on ma rację, chociaż nienawidziła go za to, po raz ostatni obrzuciła spojrzeniem ciała na podłodze: Mag Nowicjusz, który umarł zbyt młodo; Malerryj-ka, która była jej siostrą; jasnowłosa dziewczyna o twarzy Sarry. Która wkrótce nie będzie miała twarzy. Od tej chwili Glenin dla mnie nie żyje, myślała Sarra. Została już tylko Cailet. Tylko Cailet...

